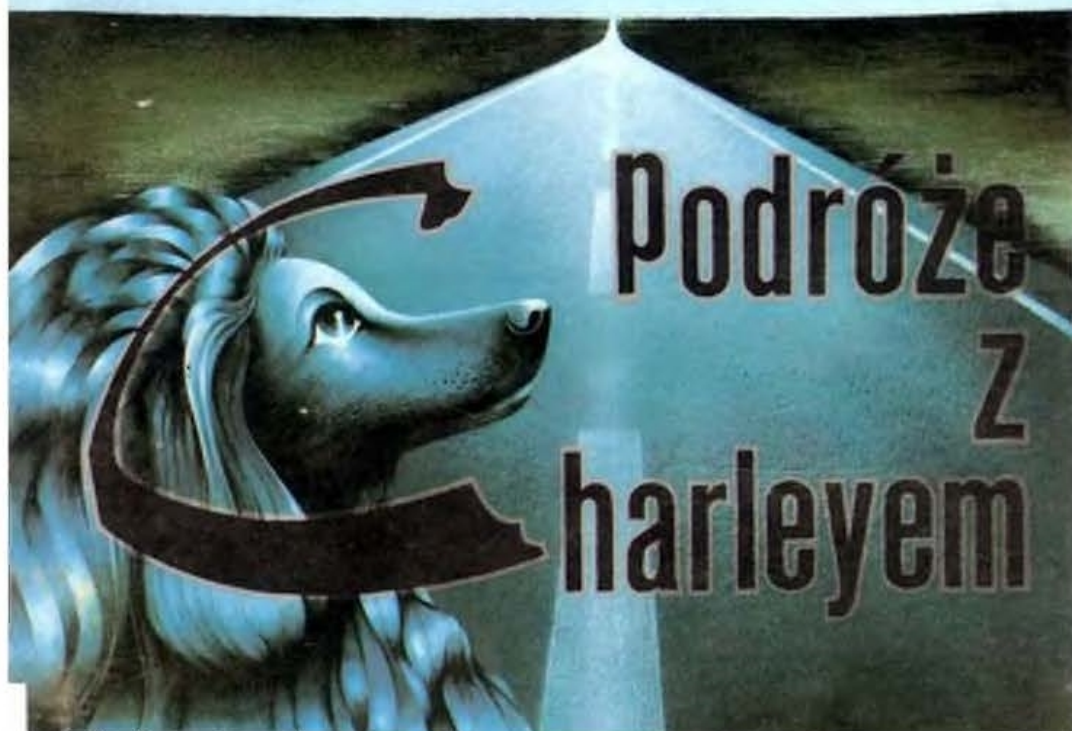


John
STEINBECK



Podrože
z
harleyem

John
STEINBECK

C Podróże
Z
harleyem

W poszukiwaniu Ameryki

Przełożył Bronisław Zieliński



Część pierwsza

Kiedy byłem bardzo młody i czułem natarczywe pragnienie znalezienia się gdzie indziej, ludzie dojrzały zapewniali mnie, że dojrzałość uleczy te zachcianki. Kiedy zaś lata określiły mnie jako dojrzałego, przepisany mi lekarstwem miał być wiek średni. W średnim wieku zapewniano mnie, że starszy wiek uśmierzy moją gorączkę, a teraz, kiedy mam lat pięćdziesiąt osiem, może załatwi to zgrzybiałość. Nic nie poskutkowało. Cztery chrapliwe ryki syreny okrętowej nadal jeżą mi włosy na karku i wprawiają moje stopy w ruch. Odgłos odrzutowca, rozgrzewanego motoru, nawet kłopotanie podkutych kopyt na bruku wywołuje dawny dreszcz, suchość ust i zmęczenie oka, rozpala dłonie i wywraca żołądek wysoko pod żebrami. Inaczej mówiąc, nie poprawiam się; a mówiąc dalej, jak ktoś raz jest włóczęgą, zawsze będzie włóczęgą. Obawiam się, że ta choroba jest nieuleczalna. Stwierdzam to, nie żeby pouczyć innych, ale poinformować siebie samego.

Kiedy wirus niepokoju zaczyna opanowywać człowieka niesforne, a droga odchodząca daleko Stąd wydaje się szeroka, prosta i miła, ofiara musi najpierw znaleźć w sobie dostateczny i dobry powód do wyjazdu. Nie jest to trudne dla prawdziwego włóczęgi. Ma on w sobie cały las powodów, z którego może wybierać. Następnie musi uplanować swoją podróż w czasie i przestrzeni, obrać kierunek i miejsce przeznaczenia. Na koniec zaś musi ustalić szczegóły wędrówki. Jak jechać, co zabrać ze sobą, jak długo podróżować. Ta część owego procesu jest nieodmienna i nieśmiertelna. Notuję ją tylko dlatego, ażeby nowicjusze we włóczęgowości, niczym nastolatki w nowo wyklutym grzechu, nie uważali, że sami ją wymyślili.

Z chwilą kiedy wędrówka jest już zaplanowana, przygotowana i wprowadzona w czyn, pojawia się nowy element, który wysuwa się na plan pierwszy. Wyprawa, safari, eksploracja jest pewną istotnością, różną od wszystkich innych podróży. Ma swoją osobowość, temperament, indywidualność, jedyność. Podróż jest osobą samą w sobie; nie ma dwóch jednakowych. A wszelkie plany, zabezpieczenia, regulacje i przymusy są bezowocne. Po latach zmagania stwierdzamy, że nie my robimy podróż; to podróż robi nas. Przewodniki, plany jazdy, rezerwacje, ustalone i nieuniknione, rozbijają się w drzazgi o osobowość podróży. Dopiero kiedy to się uzna, może rzetelny włóczęga odsapnąć i wziąć się do dzieła. Dopiero wtedy odpadają rozczarowania. Pod tym względem podróż jest jak małżeństwo. Niezawodnym sposobem popełnienia błędu jest myśleć, że się nad nią panuje. Teraz, kiedy to powiedziałem, czuję się lepiej, jakkolwiek tylko ci, którzy sami tego doświadczyli, potrafią mnie zrozumieć.

Mój plan był jasny, zwarty i chyba rozsądny. Przez wiele lat podróżowałem po różnych częściach świata. W Ameryce mieszkam w Nowym Jorku albo też wpadam do Chicago czy San Francisco. Ale Nowy Jork nie bardziej jest Ameryką, niż Paryż Francją czy Londyn Anglią. Dlatego też odkryłem, że nie znam własnego kraju. Ja, pisarz amerykański, piszący o Ameryce, pracowałem z pamięci, a pamięć jest w najlepszym razie niedoskonałą, spaczoną zbiornicą. Od dawna nie słuchałem mowy Ameryki, nie wąchałem trawy, drzew i nieczystości, nie oglądałem jej wzgórz i wody, barw i odcieni światła. Znałem przemiany jedynie z książek i gazet. Ale, co więcej, nie wyczuwałem kraju od lat dwudziestu pięciu. Krótko mówiąc, pisałem o czymś, czego nie znałem, a wydaje mi się, że u tak zwanego pisarza jest to przestępstwem. Moje wspomnienia zostały skrzywione przez dwadzieścia pięć lat, które tymczasem minęły.

Niegdyś podróżowałem starym wozem piekarskim, dwudrzwiowym gruchotem z materacem na podłodze. Zatrzymywałem się tam, gdzie zatrzymywali się lub gromadzili ludzie, słuchałem, patrzyłem, dotykałem, i w ten sposób uzyskiwałem obraz mojego kraju, którego dokładność zmniejszały tylko moje własne niedostatki.

I tak się stało, że postanowiłem przyjrzeć się znowu, spróbować na nowo odkryć ten kraj-potwora. Inaczej nie mógłbym pisać ukazywać owych drobnych, diagnostycznych prawd, które są fundamentami większej prawdy. Nasunęła się jedna duża trudność. W ciągu minionych dwudziestu pięciu lat moje nazwisko stało się dosyć znane.

A przekonałem się z doświadczenia, że kiedy ludzie o kimś słyszeli, dobrze czy źle, wówczas się odmieniają; przez nieśmiałość czy inne cechy, które wywołuje rozgłos, stają się czymś, czym nie są w zwykłych okolicznościach. Ponieważ tak jest, podróż moja wymagała, ażebym zostawił w domu swoje nazwisko i tożsamość. Musiałem być perypatetycznymi oczami i uszami, czymś w rodzaju ruchomej płyty żelatynowej. Nie mogłem wpisywać się do rejestrów hotelowych, spotykać się z ludźmi, których znałem, przeprowadzać rozmów z innymi, a nawet zadawać dociekliwych pytań. Następnie zaś dwoje czy więcej ludzi zakłóca ekologiczny układ danego terenu. Musiałem jechać sam i być samowystarczalny, niby jakiś beztroski żółw niosący swój dom na grzbiecie.

Mając to wszystko na uwadze napisałem do centrali wielkiej firmy produkującej ciężarówki. Wyszczególniłem moje cele i potrzeby. Chciałem dostać ciężarówkę pickup wagi trzech czwartych tony, mogącą przejechać wszędzie nawet w trudnych warunkach, a na tej ciężarówce chciałem mieć zbudowany niewielki domek, na wzór kajuty małego statku. Przyczepą trudno jest manewrować na górskich drogach, nie można, a często nie wolno jej zaparkować, wreszcie podlega ona wielu restrykcjom.

W odpowiednim czasie nadszedł szczegółowy opis mocnego, szybkiego, wygodnego pojazdu ze zmontowanym wierzchem typu campera - małym domeczkiem, w którym było podwójne łóżko, czteropalnikowy piecyk, grzejnik, lodówka i oświetlenie uruchamiane za pomocą butanu, chemiczna toaleta, schowek na ubrania, miejsce na rzeczy, okna zaopatrzone w siatki przeciwko owadom - dokładnie to, czego chciałem. Został mi on dostarczony w lecie do mojej małej rybackiej posiadłości pod Sag Harbor, przy krańcu Long Island. Jakkolwiek nie zamierzałem wyruszyć przed Świętem Pracy, kiedy to kraj powraca do normalnego życia, chciałem jednakże przywyknąć do tej mojej żółwiej skorupy, wyposażyć ją i nauczyć się jej. Przyszła w sierpniu - piękna rzecz, tęga, a jednak zgrabna. Wóz był nieomal równie łatwy do prowadzenia jak samochód osobowy. Ponieważ zaś moja planowana podróż wywołała pewne żartobliwe uwagi wśród moich przyjaciół,

nazwałem go Rosynantem, co, jak zapewne pamiętacie, było imieniem rumaka Don Kichota.

Jako że nie robiłem tajemnicy z tego projektu, wyniknął szereg kontrowersji między moimi przyjaciółmi i doradcami (projektowana podróż płodzi całe ławice doradców). Mówiono mi, że ponieważ moje fotografie są rozpowszechnione tak szeroko, jak tylko to zdołał uczynić mój wydawca, okaże się dla mnie niepodobieństwem poruszać się bez rozpoznania. Niech mi będzie wolno z góry powiedzieć, że na dystansie przeszło dziesięć tysięcy mil, w trzydziestu czterech stanach, nie zostałem rozpoznany ani razu. Przypuszczam, że ludzie identyfikują rzeczy tylko w kontekście. Nawet ci, którzy mogliby mnie poznać na tle uważanym dla mnie za właściwe, w żadnym przypadku nie zidentyfikowali mnie w Rosynancie.

Zwracano mi uwagę, że imię „Rosynant”, wymalowane na boku mojego wozu szesnastowiecznymi hiszpańskimi literami, wywoła tu i ówdzie zaciekawienie i dociekliwość. Nie wiem, ile osób rozpoznało to imię, ale z pewnością nikt o nie nigdy nie zapytał.

Następnie mówiono mi, że zamiary człowieka obcego rozjeżdżającego się po kraju też mogą stać się przedmiotem dociekań albo nawet podejrzeń. Z tej przyczyny umieściłem na stojaku w ciężarówce strzelbę śrutową, dwa sztucery i kilka wędek, ponieważ wiem z doświadczenia, że jeśli ktoś jedzie zapolować lub łowić ryby, jego zamiary są rozumiane, a nawet pochwalane. W istocie rzeczy moje czasy myśliwskie należą do przeszłości. Teraz już nie zabijam ani nie łowię niczego takiego, czego nie mógłbym rzucić na patelnię; za stary jestem na zabijanie dla sportu. Ta dekoracja sceniczna okazała się niepotrzebna.

Mówiono, że moje nowojorskie numery rejestracyjne wywołują zainteresowanie i może pytania, jako że były jedynymi zewnętrznymi znakami rozpoznawczymi, jakie miałem. I tak też się stało - może dwadzieścia albo trzydzieści razy w ciągu całej podróży. Ale tego rodzaju kontakty miały niezmiennie ten sam przebieg, mniej więcej następujący:

Miejscowy człowiek: - Nowy Jork, co?

Ja: - Uhm.

Miejscowy człowiek: - Byłem tam w dziewięćset trzydziestym ósmym czy może w trzydziestym dziewiątym? Alice, czy myśmy pojechali do Nowego Jorku w trzydziestym ósmym czy w trzydziestym dziewiątym?

Alice: - To było w trzydziestym szóstym. Pamiętam, bo tego roku umarł Alfred.

Miejscowy człowiek: - Tak czy owak, strasznie mi się tam nie podobało. Nie mieszkałbym tam nawet gdyby ktoś mi płacił.

Niektórzy szczerze się niepokoiли, że będę podróżował sam jeden, narażony na ataki, napaści, rabunek. Dobrze wiadomo, że drogi nasze są niebezpieczne. I tu przyznaję, że miałem bezsensowne obawy. Od szeregu lat nie byłem sam, bezimienny, bez przyjaciół, bez żadnego tego zabezpieczenia, jakie daje rodzina, znajomi i popiecznicy. W owym niebezpieczeństwie nie ma nic realnego. Jest to z początku tylko uczucie wielkiego osamotnienia, bezradności - jakieś uczucie opuszczenia. Z tej przyczyny zabrałem w podróż jednego towarzysza - starego pudła francuskiego imieniem Charley. Właściwie ma on na imię Charles le Chien. Urodził się w Bercy, na przedmieściach Paryża, a szkolony był we Francji, i chociaż zna trochę pudlowej angielszczyzny, reaguje szybko tylko na rozkazy wydawane po francusku. W przeciwnym razie musi je sobie przekładać, a to mu zwalnia tempo. Jest bardzo dużym pudłem, koloru zwanego bleu i jest granatowy, kiedy jest czysty. Charley to urodzony dyplomata. Woli negocjacje od walki, i słusznie, bo w walce jest bardzo kiepski. Tylko raz w ciągu swoich dziesięciu lat znalazł się w opałach - kiedy

spotkał psa, który nie chciał negocjować. Charley stracił wtedy kawałek prawego ucha. Ale jest dobrym, czujnym psem - ma ryk lwa, przeznaczony do maskowania przed włóczącymi się po nocy obcymi fakt, że nie potrafiłby przegryźć *comet de papier**, aby się zeń wydostać. Jest dobrym przyjacielem i towarzyszem podróży i woli podróżowanie od wszystkiego, co może sobie wyobrazić. Jeżeli często występuje w niniejszej relacji, to dlatego, że wniósł duży wkład do podróży. Pies, szczególnie tak egzotyczny jak Charley, jest łącznikiem między obcymi. Wiele rozmów po drodze zaczynało się od: „Co to za pies?”

Metody wszczynania rozmowy są uniwersalne. Wiedziałem od dawna i odkryłem to na nowo, że najlepszym sposobem przyciągnięcia uwagi, pomocy i rozmowy jest zabłądzić. Człowiek, który widząc rodzoną matkę dogorywającą z głodu na ścieżce, kopie ją w brzuch, żeby sobie oczyścić drogę, z radością poświęci kilka godzin swojego czasu na udzielanie błędnych wskazówek komuś zupełnie obcemu, kto utrzymuje, że zabłądził.

* Papierowa torebka (franc.).

Pod dużymi dębami na mojej posiadłości pod Sag Harbor stał Rosynant, piękny i godny, i sąsiedzi przychodzili w odwiedziny, tacy sąsiedzi, o których nawet nie wiedzieliśmy, że ich mamy. Widziałem w ich oczach coś, co miałem widzieć wciąż i wciąż we wszystkich zakątkach kraju - palące pragnienie odjazdu, ruszenia się, wybrania się w drogę, dokądkolwiek, byle daleko od każdego Tutaj. Mówili spokojnie o tym, jak bardzo chcą wyjechać któregoś dnia, przenosić się z miejsca na miejsce, swobodni i nie zakotwiczeni, nie ku czemuś, ale od czegoś. Widziałem to wejrzenie i słyszałem tę tęsknotę wszędzie, we wszystkich stanach, jakie odwiedziłem. Prawie każdy Amerykanin łaknie zmiany miejsca.

Jeden mały chłopiec lat około trzynastu przychodził co dzień. Stawał nieśmiało z boku i patrzył na Rosynanta; zaglądał przez drzwi, nawet kładł się na ziemi i badał tęgie resory. Był cichym, wszędobylskim małym chłopcem. Przychodził nawet po nocy, aby popatrzeć na Rosynanta. Po tygodniu nie mógł już dłużej wytrzymać. Słowa utorowały sobie zajadle drogę poprzez jego nieśmiałość. Powiedział:

- Jakby pan mnie ze sobą zabrał, to wszystko bym robił. Gotowałbym, zmywał wszystkie naczynia i robił całą robotę, i opiekowałbym się panem.

Na nieszczęście dla mnie znałem jego marzenia.

- Chętnie bym cię wziął - powiedziałem. - Ale komitet szkolny i twoi rodzice, i cała masa innych mówi, że nie mogę.

- Wszystko będę robił - odrzekł. I myślę, że tak by było. Przypuszczam, że ani na chwilę nie dał za wygraną, dopóki nie odjechałem bez niego. Miał to marzenie, które ja miałem całe życie, i nie ma na to lekarstwa.

Wyposażenie Rosynanta było długim i przyjemnym procesem. Zabrałem o wiele za dużo rzeczy, ale nie wiedziałem, co mnie spotka. Przybory na wszelki wypadek, linki do holowania, mały wielokrążek, wrębiarka i łom, narzędzia do wyrabiania, naprawiania i improwizowania. A dalej była żywność zapasowa. Miałem się znaleźć dość późno na północo-zachodzie i mogły mnie złapać śniegi. Przygotowałem się co najmniej na tydzień odcięcia od świata. Z wodą sprawa była prosta; Rosynant miał zbiornik trzydziestogalonowy.

Przypuszczałem, że trochę popiszę w drodze, może eseje, chyba notatki, z pewnością listy. Zabrałem papier, kalkę, maszynę do pisania, ołówek, notatniki i nie tylko to, ale także słowniki, krótką encyklopedię oraz tuzin innych książek źródłowych, i to ciężkich. Myślę, że nasza zdolność do samourody jest nieograniczona. Wiedziałem doskonale, że rzadko robię notatki, a jeśli tak, to albo je gubię, albo nie mogę ich odczytać. Wiedziałem również po trzydziestu latach uprawiania mojego zawodu, że nie potrafię pisać na gorąco o jakimś wydarzeniu. Musi ono przefermentować. Muszę robić to, co jeden mój przyjaciel nazwał „przeżuwaniem” przez jakiś czas, dopóki coś się nie uleży. I mimo tej samoświadomości wyposażylem Rosynanta w ilość materiałów piśmiennych wystarczającą na dziesięć tomów. Poza tym załadowałem sto pięćdziesiąt funtów tych książek, do których czytania jeszcze się nie zabrałem - a oczywiście są to książki, do których czytania nigdy się nie zabiorę. Konserwy, naboje śrutowe, naboje kulowe, pudełka z narzędziami i o wiele za dużo odzieży, koców i poduszek, i dużo za dużo trzewików i butów, watowana bielizna na mrozy, plastikowe talerze i kubki, plastikowe wiadro do zmywania naczyń, zapasowa butla z gazem.

Przeciążone resory wzdychały i osiadały coraz niżej i niżej. Sądzą teraz, że zabrałem mniej więcej cztery razy za dużo wszystkiego.

Otóż Charley jest psem, który czyta w myślach. W ciągu jego życia wiele było podróży i nieraz musiał zostawać w domu. Wie, że wyjeżdżamy, na długo przed wyciągnięciem walizek, i chodzi tam i z powrotem, martwi się, skomli i popada w stan

łagodnej hysterii, choć taki jest stary. Podczas tygodni przygotowań plątał się cały czas pod nogami i naprzykrzał diabelnie. Nabrał zwyczaju chowania się w ciężarówce, gdzie zakradał się i usiłował skulić, aby być jak najmniejszym.

Zbliżało się Święto Pracy, dzień przełomowy, kiedy miliony dzieci miały powrócić do szkół, a dziesiątki milionów rodziców znaleźć się na szosach. Byłem przygotowany do wyruszenia możliwie jak najprędzej potem. I właśnie mniej więcej wtedy doniesiono, że huragan Donna dmie z Morza Karaibskiego w naszym kierunku. My, na czubku Long Island, zaznaliśmy tego dość, aby czuć wysoki respekt. Kiedy się zbliża huragan, przygotowujemy się jak do oblężenia. Nasza zatoczka jest nieźle osłonięta, ale nie za dobrze. Kiedy Donna sunęła ku nam, napełniłem lampy naftowe, zamontowałem ręczną pompę na studni i poprzywiązywałem wszelkie rzeczy ruchome? Mam jacht z kabiną, długości dwudziestu dwóch stóp, „Fayre Eleyne”. Uszczelniłem wszystkie jego otwory i wyprowadziłem go na środek zatoki, rzuciłem ogromną, staroświecką kotwicę na półcalowym łańcuchu i zakotwaczyłem na długim luzie. Tak mógł stać na wietrze o szybkości stu pięćdziesięciu mil, chyba żeby mu wywaliło dziób.

Donna sunęła przed siebie. Wydobyliśmy radioaparat na baterie, żeby móc słuchać wiadomości, bo prąd by wysiadł, jeśliby Donna uderzyła. Ale była jeszcze jedna dodatkowa troska - stojący między drzewami Rosynant. W koszmarach na jawie widziałem drzewo walące się na ciężarówkę i rozgniatające ją jak pluskwę. Ustawiłem ją z dala od miejsca, gdzie drzewo mogło upaść, ale to nie znaczyło, że cała korona nie przeleci pięćdziesięciu stóp w powietrzu i nie zmiażdży wozu.

Wczesnym rankiem dowiedzieliśmy się z radia, że oberwiemy, a o dziesiątej usłyszeliśmy, że oko huraganu przejdzie przez nas i że dotrze tu o pierwszej zero siedem - o jakiejś takiej dokładnej godzinie. Nasza zatoka była spokojna, bez jednej zmarszczki, ale woda wciąż ciemna, a „Fayre Eleyne” stała zgrabnie na kotwicy, z poluzowanym łańcuchem.

Nasza zatoka jest lepiej osłonięta od innych, toteż wiele małych łodzi przyplłynęło, aby się tu zakotwiczyć. I spostrzegłem z przerażeniem, że wielu ich właścicieli nie wie, jak się to robi. Wreszcie przyplłynęły dwa ładne jachty, z których jeden holował drugi. Rzucono lekką kotwicę i tak je zostawiono, przy czym dziób jednego uwiązany był do rufy drugiego, obydwa zaś znajdowały się blisko „Fayre Eleyne”. Poszedłem z megafonem na kraniec mojego mola i próbowałem zaprotestować przeciwko takiej głupocie, lecz właściciele albo mnie nie słyszeli, albo nic nie wiedzieli, albo nie dbali o to.

Wiatr uderzył w tym momencie, który nam zapowiedziano, i rozdarł wodę jak czarne prześcieradło. Grzmocił niczym pięścią. Cała korona jednego z dębów runęła otarłszy się o domek, w którym byliśmy. Następnym podmuch wgniół do środka jedno z dużych okien. Wcisnąłem je na powrót i zamocowałem wbijając siekierą kliny u góry i u dołu. Elektryczność i telefony przestały działać za pierwszym podmuchem, co, jak wiedzieliśmy, musiało się stać. Zapowiadano fale wysokości ośmiu stóp. Patrzyliśmy, jak wiatr szarpał ziemię i morze niczym sfora zajadłych terierów. Drzewa kładły się i gięły jak trawa, a na smaganej wodzie wezbrała śmietana pian. Jedna z łodzi zerwała się i wjechała na brzeg, a za nią druga. Domy budowane podczas dobrotliwej wiosny i wczesnego lata były oblewane falami po okna pierwszego piętra.

Nasz domek stoi na małym pagórku, trzydzieści stóp nad poziomem morza. Ale wezbrany przyplływ przewalał się przez moje wysokie molo. Kiedy wiatr zmienił kierunek, przesunąłem Rosynanta, ażeby stale był za osłoną naszych wielkich dębów. „Fayre Eleyne” trzymała się dzielnie, obracając się od zmiennego wiatru jak chorągiewka na dachu.

Jachty uwiązane jeden do drugiego poplątały się teraz, hol dostał się pod śrubę i ster, a oba kadłuby uderzały i tarły o siebie. Inny stateczek wywłókł swoją kotwicę i wjechał na błotnisty brzeg.

Charley jest psem bez nerwów. Ogień armatni czy grzmoty, eksplozje czy wichury nie robią na nim żadnego wrażenia. Wśród ryczącej burzy wyszukał sobie ciepłe miejsce pod stołem i poszedł spać.

Wiatr ustał równie nagle jak przyszedł i chociaż fale ciągle toczyły się nierytmicznie, nie były już szarpane wichrem, a przyływ podnosił się coraz wyżej. Wszystkie mola na naszej zatoczce pozniakały pod wodą i widać było tylko ich pale lub poręcze. Cisza była jak ostry szum. Radio powiedziało nam, że jesteśmy w oku Donny, w tej nieruchomej i przerażającej ciszy pośrodku przewalającej się nawałnicy. Nie wiem, jak długo trwała owa cisza. Czekanie wydawało się długie. A potem huragan uderzył w nas, z drugiej strony, wiatrem z przeciwnego kierunku. „Fayre Eleyne” okręciła się miękko i ustawiła dziobem do wiatru. Jednakże dwa związane jachty wywlokły kotwice, naparły na „Fayre Eleyne” i osaczyły ją. Zmagając się i protestując została pociągnięta z wiatrem i przyciśnięta do sąsiedniego mola i słyszeliśmy, jak jej kadłub skrzypi trąc o dębowe pale. Wiatr miał szybkość ponad dziewięćdziesięciu pięciu mil.

Wtedy pogałem, borykając się z wiatrem, dokoła krańca zatoki ku molu, o które obijały się jachty. Zdaje się, że moja żona, od której „Fayre Eleyne” została nazwana, pobiegła za mną nakazując mi krzykiem, żebym się zatrzymał. Powierzchnia mola była cztery stopy pod wodą, ale pale sterczały i można było ich się przytrzymywać. Torowałem sobie drogę krok za krokiem, zanurzony po kieszenie na piersiach, a wiatr wiejący ku lądowi chlustał mi wodą w usta. Mój jacht jęczał i skrzypiał trąc o pale, i miotał się jak wystraszone ciele. Wreszcie skoczyłem i wydostałem się na pokład. Po raz pierwszy w życiu miałem przy sobie nóż, kiedy mi był potrzebny. Osaczające „Eleyne” rozhuśtane jachty przypierały ją do mola. Przeciąłem linę kotwiczną i hol, odepchnąłem je kopniakiem, i wtedy zniosło je na błotnisty brzeg. Natomiast łańcuch kotwiczny „Eleyne” był nietknięty, a ten jej wielki hak wciąż tkwił na dnie - sto funtów żelaza o pazurach w kształcie grotów, szerokich jak łopaty.

Motor „Eleyne” nie zawsze jest posłuszny, ale tym razem zaskoczył za pierwszym dotknięciem. Trzymałem się na pokładzie sięgając lewą ręką do koła sterowego, przepustnicy i sprzęgła. A ten jacht usiłował mi pomóc - bo, jak myślę, taki był wystraszony. Wyprowadziłem go dalej i prawą ręką podciągnąłem łańcuch kotwiczny. W zwykłych warunkach, podczas ciszy, ledwie mogę podciągnąć tę kotwicę oburącz. Ale tym razem wszystko poszło świetnie. Pociągnąłem hak, a on poderwał się i uwolnił swoje pazury. Wtedy wydzwignąłem go z dna, ustawiłem się w wiatr, dałem gazu i ruszyliśmy w ten przeklęty wicher, i zaczęliśmy go pokonywać. Było to tak, jak gdybyśmy przeciskali się przez gęsty kleik. O sto jardów od brzegu rzuciłem kotwicę, a ona znikła pod wodą i uczepliła się dna, „Fayre Eleyne” zaś naprostowała się, podniosła dziób i jakby odetchnęła z ulgą.

I oto znalazłem się o sto jardów od brzegu, a Donna ujadła nade mną jak sfera białomordych ogarów. Żadna łódka nie utrzymałaby się na wodzie nawet minuty. Spostrzegłem przepływający obok kawał gałęzi i po prostu skoczyłem za nim. Nie było to niebezpieczne. Jeżeli bym zdołał utrzymać głowę nad wodą, musiało mnie znieść na brzeg, ale przyznaję, że te gumowe półwellingtony, które miałem na nogach, zrobiły się dosyć ciężkie. Nie mogło minąć więcej niż trzy minuty, a już zgruntowałem, zaś ta moja druga Fayre Eleyne razem z sąsiadem wyciągnęła mnie z wody. Dopiero wtedy zacząłem trząść się cały, ale przyjemnie było zobaczyć nasz mały stateczek trzymający się dobrze i bezpiecznie na kotwicy. Musiałem sobie coś

naderwać ciągnąc kotwicę jedną ręką, bo w domu potrzebowałem trochę pomocy; szklanka whisky na stole kuchennym też była jakąś pomocą. Później próbowałem podnieść tę kotwicę jedną ręką i nie dałem rady.

Wiatr uciął szybko i pozostawił nas wśród szczątków - przewody elektryczne zerwane i brak telefonu przez tydzień. Ale Rosynant nie poniósł żadnych szkód.

Część druga

Myszę, iż w długofalowym planowaniu podróży jest utajone przeświadczenie, że do niej nie dojdzie. W miarę jak zbliżał się ów dzień, ciepłe łóżko i wygodny dom stawały się coraz bardziej pożądane, a moja droga żona nieskończenie cenna. Wyrzekanie się tego na trzy miesiące dla okropności niewygód i niewiadomego wydawało się szaleństwem. Nie miałem ochoty jechać. Musiało stać się coś, co by nie dopuściło do mojego wyjazdu, ale się nie stało. Oczywiście mogłem się rozchorować, ale to był jeden z moich głównych, choć tajonych powodów do wyjazdu w ogóle. Poprzedniej zimy zapadłem dość poważnie na jedno z tych wymyślnie nazwanych schorzeń, które są szeptem nadchodzącej starości. Kiedy z tego wyszedłem, otrzymałem zwykłe w takich razach pouczenie o zwolnieniu tempa, zmniejszeniu wagi, ograniczeniu spożycia cholesterolu. Zdarza się to wielu ludziom i przypuszczam, że doktorzy nauczyli się na pamięć owej litanii. Przytrafiło się to tylu moim przyjaciółom. Pouczenie kończy się: „Trzeba zwolnić tempo. Już pan nie jest taki młody, jak kiedyś”. I byłem świadkiem, jak wielu zaczynało opatulać swoje życie w watę, tłumić odruchy, tamować i stopniowo wycofywać się z męskości w jakiś rodzaj duchowego i fizycznego półinwalidztwa. Zachęcały ich do tego żony i krewni, a jest to tak słodką pułapką.

Któż nie lubi być ośrodkiem troskliwości? Na tyłu mężczyzn przychodzi coś w rodzaju drugiego dzieciństwa. Oddają swoją bujność za obietnicę małego przedłużenia życia. W efekcie głowa domu staje się najmłodszym dzieckiem. I z niejaką zgrozą szukałem w sobie tej możliwości. Bo zawsze żyłem gwałtownie, piłem potężnie, jadłem za dużo albo wcale, przesypiałem całą dobę albo nie spałem dwie noce, pracowałem za ciężko i za długo w zapamiętaniu albo przez jakiś czas nurzałem się w gnuśności. Dźwigałem, ciągnąłem, rąbałem, wspinałem się, uprawiałem miłość z radością i przyjmowałem kociokwki jako konsekwencje, nie jako karę. Nie chciałem oddać ognistości za mały zysk w metrażu. Moja żona poślubiła mężczyznę; nie widziałem powodu, żeby odziedziczyła niemowlę. Wiedziałem, że dziesięć czy dwanaście tysięcy mil przy kierownicy ciężarówki, w samotności i bez opieki, na wszelkich rodzajach dróg, będzie ciężką robotą, ale dla mnie stanowiło to antidotum na .zatrucie chorego zawodowo człowieka. A w życiu nie mam ochoty wymieniać jakości na ilość. Jeżeli ta projektowana podróż miała okazać się ponad moje siły, to czas był jechać w każdym razie. Widuję zbyt wielu ludzi opóźniających swoje odejście przez chorobliwą, powolną niechęć do opuszczenia sceny. Jest to zarówno niedobry teatr jak niedobry sposób życia. Mam wielkie szczęście posiadania żony, która lubi być kobietą, co oznacza, że lubi mężczyzn, nie starszawe niemowlęta. Jakkolwiek to ostatnie uzasadnienie podróży nie było nigdy dyskutowane, jestem pewny, że je rozumiała.

Przyszedł ów ranek, pogodny, z rdzawym odcieniem jesieni w słonecznym świetle. Rozstaliśmy się z żoną bardzo prędko, bo oboje nie cierpimy pożegnań, a żadne z nas nie chciało pozostać, gdy drugie odjedzie. Ona nacisnęła gaz swojego wozu i buchnęła do Nowego Jorku, a ja, z Charleyem u boku, poprowadziłem Rosynanta na prom do Shelter Island, potem na drugi do Greenport i na trzeci, z przylądka Orient na brzeg Connecticut przez cieśninę Long Island, bo chciałem ominąć ruch uliczny Nowego Jorku i odsądzić się dość daleko. I muszę się przyznać do uczucia szarego zgnębienia.

Na pokładzie promu słońce paliło ostro, a wybrzeże stałego lądu było zaledwie o godzinę drogi. Obok nas płynął piękny szlup, z fokiem wydętym jak szal, a wszystkie przybrzeżne statki brnęły poprzez cieśninę albo kołysały się ciężko w stronę Nowego Jorku. A potem, o pół mili, wynurzył się na powierzchnię okręt podwodny i dzień utracił coś ze swojej jasności. Dalej rozciął wodę inny taki ciemny stwór, a potem jeszcze jeden; oczywiście, mają one swą bazę w New London i to jest ich siedziba. I może tym swoim jadem zachowują pokój na świecie. Chciałbym móc lubić okręty podwodne, bo wtedy mógłbym uważać je za piękne, ale są przeznaczone do niszczenia i chociaż mogą badać dno morskie i kreślić jego mapy oraz wytyczać nowe szlaki handlowe pod lodami Arktyki, ich głównym celem jest groźba. Zbyt dobrze pamiętam, jak płynąc przez Atlantyk na statku do przewożenia wojsk wiedziałem, że gdzieś po drodze czają się te mroczne stwory wypatrując nas swoimi jednoszypułowymi oczyma. Światło jakoś mętnieje dla mnie, kiedy je widzę, i pamiętam popalonych ludzi, wyciąganych z tłustego od oliwy morza. A dzisiaj okręty podwodne zbrojne są w masowy mord, co jest naszym głupim, jedynym sposobem odstraszania od masowego mordu.

Tylko kilka osób stało na wietrze, na górnym pokładzie terkoczącego promu. Młody człowiek w nieprzemakalnym płaszczu, o kukurydzianych włosach i oczach koloru ostróżki, czerwono obrzeżonych od tępego wiatru, obrócił się do mnie i wskazał ręką.

- To jest ten nowy - powiedział. - Może siedzieć trzy miesiące pod wodą.
- Jak pan je rozróżnia?
- Ja je znam. Pływam na nich.
- Na atomowych?
- Jeszcze nie, ale mam stryja na takim i może niedługo sam będę.
- Pan nie jest w mundurze.
- Właśnie wracam z urlopu.
- Podoba się panu ta służba?
- Pewnie, że tak. Żołd dobry, a ma się rozmaite rodzaje... przyszłości.
- Chciałby pan siedzieć pod wodą trzy miesiące?
- Człowiek do tego przywyka. Jedzenie jest dobre, są filmy i... chciałbym przepłynąć pod biegunem; a pan nie?
- Chyba tak.
- I są te filmy i rozmaite... przyszłość.
- Skąd pan jest?
- A stamtąd - z New London - tam się urodziłem. Mój ojciec i dwaj kuzyni są w służbie. Taka z nas podwodna rodzina.
- Te okręty mnie niepokoją.
- E, to by panu przeszło. Niedługo nawet by pan nie myślał, że pan jest pod wodą - to znaczy, jeżeli panu nic nie dolega. Miał pan kiedy klaustrofobię?
- Nie.
- No więc. To pan by prędko przywykł. Może byśmy zeszli na filiżankę kawy? Jest jeszcze masa czasu.
- Bardzo chętnie.

I możliwe, że on. ma rację, a ja się mylę. Ten świat jest jego, już nie mój. W jego ostróżkowych oczach nie ma gniewu ani lęku, ani nienawiści, więc może wszystko jest w porządku. To tylko posada z dobrym wynagrodzeniem i przyszłością. Nie powinienem obciążać go moimi wspomnieniami i moim lękiem. Może tamto więcej się nie powtórzy, ale to już jego sprawa. Teraz to jest jego świat. Może rozumie rzeczy, których ja nigdy się nie nauczę.

Piliśmy kawę z papierowych kubków, a on pokazał mi przez kwadratowe okienka promu suche doki i szkielety nowych okrętów podwodnych.

- Przyjemne w nich jest to, że jak przychodzi burza, można się zanurzyć i ma się spokój. Człowiek śpi jak małe dziecko, a w górze rozpętuje się piekło.

Podał mi wskazówki, jak mam wyjechać z miasta, jedne z niewielu dokładnych, jakie otrzymałem w ciągu całej podróży.

- No, to tymczasem - powiedziałem. - Mam nadzieję, że będzie miał pan dobrą ... przyszłość.

- Nie jest najgorsza, wie pan. Do widzenia panu.

I jadąc przez Connecticut boczną drogą obrzeżoną drzewami i ogrodami, wiedziałem, że dzięki niemu poczułem się lepiej i pewniej.

Przez całe tygodnie studiowałem mapy, w dużej i małej skali, ale mapy wcale nie są rzeczywistością - potrafią być tyranami. Znam ludzi, którzy są tak pogrążeni w mapach drogowych, że nigdy nie widzą okolicy, przez którą przejeżdżają, i innych, którzy wytyczywszy sobie trasę, trzymają się jej niczym kołami szyn. Zajechałem Rosynantem na mały teren piknikowy utrzymywany przez stan Connecticut i wydobyciem mój atlas map. I nagle Stany Zjednoczone stały się niewiarygodnie olbrzymie i w ogóle niemożliwe do przebycia. Zastanawiałem się, jakim sposobem, u diabła, uwikłałem się w projekt, który był niewykonalny. Przypominało to rozpoczęcie pisania powieści. Kiedy stoję wobec rozpaczliwej niemożliwości napisania pięciuset stron, nachodzi mnie obrzydliwe uczucie porażki i wiem, że nigdy nie zdołam tego zrobić. Dzieje się tak za każdym razem. A potem stopniowo piszę jedną stronę i jeszcze jedną. Mogę sobie pozwolić na wzięcie pod uwagę tylko jednego dnia pracy i wyłączam możliwość, że kiedykolwiek to skończę. Tak było i teraz, kiedy patrzyłem na kolorowy obraz monstrualnej Ameryki. Liście na drzewach wokół campingu były grube i ciężkie i już nie rosły, ale zwisały wiotko, czekając, żeby pierwszy przymrozek spryskał je barwą, a drugi spędził na ziemię i zakończył ich rok.

Charley jest psem wysokim. Gdy siedział obok mnie, jego głowa nieomal sięgała mojej. Przysunął mi nos do ucha i powiedział: „Ftt”. Jest jedynym znanym mi psem, który potrafi wymawiać spółgłoskę „f”. To dlatego, że ma krzywe przednie zęby; i właśnie ta tragedia nie dopuszcza go do wystaw psów; i właśnie dlatego, że jego górne przednie zęby z lekka zachodzą na dolną wargę, Charley może wymawiać „f”. Słowo „Ftt” zazwyczaj oznacza, że chętnie powitałby krzak albo drzewo. Otworzyłem drzwi szoferki i wypuściłem go, on zaś dokonał swojej ceremonii. Nie musi o tym myśleć, żeby to zrobić dobrze. Wiem z doświadczenia, że w niektórych sprawach Charley jest inteligentniejszy ode mnie, jednakże w innych jest przepastnie nieoświecony. Nie umie czytać, nie umie prowadzić samochodu, nie chwyta matematyki. Natomiast w dziedzinie tych swoich czynności, którymi zajmował się teraz, w owym powolnym, dostojnym obwąchiwaniu, a potem użyźnianiu jakiegoś miejsca, nie ma sobie równego. Oczywiście, jego horyzonty są ograniczone, ale jak szerokie są moje?

Pojechaliśmy dalej, wśród jesiennego popołudnia, kierując się ku północy. Ponieważ byłem samowystarczalny, więc myślałem, że byłoby miło, gdybym mógł zapraszać spotykanych po drodze ludzi do siebie na drinka, ale zaniedbałem zapakowania alkoholu. Jednakże przy bocznych drogach w owym stanie są ładne składziki butelkowe. Wiedziałem, że kilka stanów jest „suchych”, ale zapomniałem które, a dobrze było zrobić sobie zapas.

Mały sklep stał dość daleko od drogi, w gaiku cukrowych klonów. Miał dobrze utrzymany ogródek i skrzynki z kwiatami. Właścicielem był staro-młody człowiek o szarej twarzy, jak podejrzewam abstynent. Otworzył bloczek zamówieniowy i z

cierpliwą starannością rozprostował kalki. Nigdy nie wiadomo, co ludzie zechcą pić. Zamówiłem whisky, bourbon i szkocką, dzin, wermut, wódkę, koniak średniej jakości, starą nalewkę jabłkową i skrzynkę piwa. Uważałem, że to może załatwić większość sytuacji. Było to duże zamówienie jak na niewielki sklep. Właściciel był przejęty.

- Musi być niezłe przyjęcie.

- Nie... To tylko zapasy na drogę.

Pomógł mi wynieść pudełka; otworzyłem drzwi Rosy nanta.

-- Pan tym jedzie?

- Jasne.

- Dokąd?

- A wszędzie.

I wtedy zobaczyłem to, co miałem widzieć tylokrotnie w ciągu podróży - wyraz tęsknoty.

- Boże! Chciałbym też pojechać.

- Nie podoba się panu tutaj?

- Owszem. Dobrze jest, ale chciałbym pojechać.

- Nawet pan nie wie, dokąd jadę.

- Obojętne. Chciałbym pojechać gdziekolwiek.

W końcu musiałem opuścić drogi ukryte między drzewami i w miarę możliwości omijać miasta. Hartford, Providence i tym podobne są dużymi miastami kipiącymi produkcją, mrowiącymi się od pojazdów. Przedostanie się przez miasto zabiera o wiele więcej czasu niż przejechanie paruset mil. A w zawiłym układzie ruchu ulicznego, usiłując się przezeń przedrzeć, nie ma się możliwości widzenia czegokolwiek. Przejechałem przez setki miast i miasteczek, w najrozmaitszym klimacie i w najróżniejszych okolicach i oczywiście każde jest inne, a ludzie różnią się tam w pewnych rzeczach, ale pod niektórymi względami wszystkie one są do siebie podobne. Amerykańskie miasta są jak borsucze jamy - obwiedzone śmieciem, i to wszystkie - otoczone stosami popsutych i rdzewiejących samochodów, i nieomal zasypane odpadkami. Wszystko to, czego używamy, dostarczane jest w pudełkach, kartonach, skrzynkach, w tym tak zwanym opakowaniu, w którym się kochamy. Góry rzeczy, które wyrzucamy, są znacznie większe od tego, co zużywamy. Po tym, jeżeli nie po czym innym, widać szaloną i lekkomyślną wybujałość naszej produkcji, a wskaźnikiem wydaje się tu marnotrawstwo. Jadąc przed siebie rozmyślałem, jak to we Francji czy we Włoszech każda z tych wyrzuconych rzeczy byłaby zachowana i użyta do czegoś. Nie mówię tego dla krytyki takiego czy innego systemu, ale zastanawiam się, czy przyjdzie czas, kiedy nie będziemy już mogli pozwolić sobie na nasze marnotrawstwo - odpadki chemiczne w rzekach, odpadki metalowe wszędzie, a odpadki atomowe zagrzebane głęboko w ziemi lub zatopione w morzu. Kiedy wioska indiańska grzęzła nazbyt głęboko w brudzie, mieszkańcy przenosili się gdzie indziej. A my nie mamy dokąd się przenieść.

Obiecałem mojemu najmłodszemu synowi, że pożegniam się z nim przejeżdżając koło jego szkoły w Deerfield, w Massachusetts, ale dotarłem tam za późno, żeby go budzić, więc wjechałem na górę, znalazłem jakąś mleczarnię, kupiłem sobie mleka i poprosiłem o pozwolenie obozowania pod jabłonią. Kierownik mleczarni miał doktorat z matematyki, a musiał także mieć pewne wykształcenie filozoficzne. Podobała mu się jego praca i nie miał chęci być gdzie indziej - jeden z bardzo niewielu zadowolonych ludzi, jakich spotkałem w ciągu całej podróży.

Wolę zapuścić zastonę na moje odwiedziny w szkole Eaglebrook. Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywarł Rosynant na dwustu nastoletnich więźniach wykształcenia, właśnie przygotowujących się do odbycia zimowego wyroku.

Zwiedzali mój wóz stadami, było ich po piętnastu na raz w małej kabinie. I rzucali na mnie wzrokiem uprzejme przekleństwa, ponieważ ja mogłem jechać, a oni nie. Syn mój prawdopodobnie nigdy mi nie wybaczy. Wkrótce po odjeździe przystanąłem, by się upewnić, czy nie mam gdzieś ukrytych pasażerów.

Moja trasa wiodła na północ przez Vermont, a potem na wschód, do New Hampshire w Górach Białych. Przydrożne stragany uginały się pod złocistymi dyniami, rudawymi melonami oraz koszami czerwonych jabłek tak jędrnych i słodkich, że zdawały się eksplodować sokiem, kiedy je nadgryzałem. Kupiłem sobie jabłek i cały galon świeżo wyciśniętego jabłecznika. Wydaje mi się, że każdy wzdłuż głównych szos sprzedaje mokasyny i rękawice z jeleniej skóry. Ci zaś, którzy tego nie robią, sprzedają ciagutki z koziego mleka. Do owej pory nie widywałem na wsi sklepów towarów fabrycznych z obuwem i odzieżą. Wioski są chyba najładniejsze w całym kraju, schludne i biało pomalowane, i od stu lat nie zmienione - nie licząc moteli i domów turystycznych - z wyjątkiem ruchu i brukowanych ulic.

Kilmat szybko się zmieniał na zimny, a drzewa buchnęły kolorem, czerwienią i żółtością nie do wiary. To jest nie tylko kolor, ale i blask, jak gdyby liście wchłaniały światło jesiennego słońca, a potem je z wolna wydzielają. W kolorach tych jest coś z ognia.

Dotarłem przed zmierzchem wysoko w góry. Szyld nad potokiem oferował na sprzedaż świeże jajka, więc ruszyłem pełną drogą, kupiłem trochę jajek, poprosiłem, aby mi pozwolono obozować obok potoku, i zaproponowałem zapłatę.

Farmer był szczupłym mężczyzną o twarzy, którą uważamy za jankeską, i spłaszczał samogłoski, co w naszym mniemaniu jest jankeską wymową.

Nie trzeba płacić - powiedział. - Ziemia nie jest tu uprawiana. Ale chciałbym obejrzeć ten pański sprzęt.

Odpowiedziałem:

- Pan pozwoli, że znajdę sobie równe miejsce i zrobię porządek, a wtedy może pan zajdzie na filiżankę kawy - albo na coś innego.

Cofałem się i ruszałem do przodu, aż wreszcie znalazłem równe miejsce, gdzie słyszałem szum bystrego potoku; było już prawie ciemno. Charley parokrotnie powtarzał „Ftt”, co tym razem znaczyło, że jest głodny. Otworzyłem drzwi Rosynanta, zapaliłem światło i zastałem wewnątrz kompletny chaos. Często sztautowałem łódź na wypadek huśtawki i przechyłu, ale szybkie hamowanie i ruszanie z miejsca ciężarówką to zupełnie inna sprawa. Podłogę zaścielały papiery i książki. Moja maszyna do pisania usadowiła się niepewnie na stosie plastikowych talerzy, sztucer wypadł i oparł się o piecyk, a cała ryza papieru, pięćset arkuszy, rozsypała się, niczym śnieg pokrywając wszystko. Zapaliłem lampę gazową, utkałem szczątki w małym schowku i nastawiłem wodę na kawę. Rano trzeba mi było zreorganizować mój ładunek. Nikt nie wie, jak to robić. Techniki trzeba nauczyć się tak, jak ja jej się nauczyłem - przez niepowodzenia.

Z chwilą zapadnięcia ciemności zrobiło się przenikliwie zimno, ale lampa i palniki gazowe piecyka nagrzały przytulnie mój domek. Charley zjadł kolację, dokonał swego obowiązkowego obchodu i ułożył się w wyścielonym dywanem kącie pod stołem, który miał być jego miejscem przez następne trzy miesiące.

Istnieje tyle nowoczesnych pomysłów ułatwiających życie. Na mojej łodzi odkryłem aluminium: naczynia kuchenne, patelnie i półmiski do jednorazowego użytku. Smaży się rybę i wyrzuca patelnię za burtę. Byłem dobrze wyposażony w te rzeczy. Otworzyłem puszkę solonej wołowiny, wyklepałem zawartość na taką patelnię i postawiłem ją na azbestowej podkładce na małym ogniu, ażeby podgrzała się bardzo powoli. Kawa zaledwie była gotowa, gdy Charley wydał swój lwi ryk. Nie

potrafię powiedzieć, jakie to pocrzepiające być powiadomionym, że ktoś się zbliża w ciemnościach. Gdyby zaś ów zbliżający się żywił w sercu złe zamiary, ten głos potężny kazałby mu się zatrzymać, jeśli nie znał z gruntu pacyfistycznej i dyplomatycznej natury Charleya.

Właściciel farmy zapukał do drzwi, więc poprosiłem go do środka.

- Ładnie tu u pana - powiedział. - Tak, ładnie tu jest.

Wsunął się na miejsce przy stoliku. Stolik ten można opuszczać na noc, a z sofki robi się podwójne łóżko.

- Ładnie - powtórzył znowu.

Nalałem mu filiżankę kawy. Mam wrażenie, że kawa pachnie jeszcze lepiej, kiedy jest mróz.

- A może małe coś na boku? - zapytałem. - Coś żeby ją podeprzeć?

- Nie, tak będzie dobrze. Doskonale.

- Ani kropelki jabłkówki? Zmęczyłem się prowadzeniem, sam bym chętnie łyknął.

Popatrzył na mnie z tym hamowanym rozbawieniem, które jest uważane za milkliwość przez niejankesów.

- A napije się pan beze mnie?

- Nie, chyba nie.

- No, to nie chcę panu tego odbierać - ale tylko kapeczkę.

Nalałem więc nam obu porządną porcję dwudziestojednoletniej nalewki jabłkowej i wśliznąłem się na siedzenie po drugiej stronie stolika. Charley odsunął się, żeby zrobić miejsce, i położył mi brodę na stopie.

Na drogach obowiązuje dżentelmeneria. Bezpośrednie czy osobiste pytania nie są przyjęte. To jednak należy do zwykłych dobrych manier wszędzie na świecie. Farmer nie pytał mnie o nazwisko ani ja jego, ale zauważyłem, że jego bystre oczy pobiegły ku broni palnej przytrzymywanej gumowymi pasami i ku wędkom przymocowanym do ściany.

Chruszczów był właśnie w ONZ, co stanowiło jedną z niewielu przyczyn, dla których chciałem znaleźć się w Nowym Jorku. Zapytałem:

- Słuchał pan dzisiaj radia?

- Tego komunikatu o piątej.

- Co było w ONZ? Zapomniałem posłuchać.

- Nie dałby pan wiary - odrzekł. - Pan Ch. ściągnął but i walił w stół.

- Dlaczego?

- Nie podobało mu się to, co mówili.

- Wydaje się to dziwną formą protestu.

- Ano, zwrócił na siebie uwagę. Mniej więcej tyle było w wiadomościach.

- Powinni mu dać młotek, żeby mógł zostać w butach.

- Dobra myśl. Może mógłby być w kształcie buta, żeby się nie czuł nieswojo. -

Pociągnął jabłkówki z głębokim uznaniem. - To bardzo dobre - powiedział.

- Co ludzie tu myślą o tym całym odgryzaniu się Rosjanom?

- Nie wiem, jak inni, ale ja uważam, że kiedy ktoś się odgryza, to tak, jakby walczył w straży tylnej. Chciałbym, żebyśmy zrobili coś takiego, żeby to oni musieli się nam odgryzać.

- Może pan ma i rację.

- Wydaje mi się, że my wciąż się bronimy.

Napełniłem na nowo filiżanki kawą i dolałem nam obu trochę jabłkówki.

- Myśli pan, że powinniśmy atakować?

- Uważam, że przynajmniej powinniśmy czasem przejąć piłkę.

- Ja nie robię ankiet, ale jak tutaj idą wybory?
- A bo ja wiem - odparł. - Ludzie nic nie gadają. Zdaje się, że to będą najtajniejsze wybory, jakieśmy mieli. Ludzie po prostu nie chcą wypowiadać żadnego zdania.

- Może go wcale nie mają?
- Możliwe albo może po prostu nie chcą mówić. Pamiętam inne wybory, kiedy bywały całkiem ostre kłótnie. Teraz nie słyszałem ani jednej.

I tego dowiedziałem się w całym kraju - żadnych sporów, żadnych dyskusji.

- Czy tak samo jest... gdzie indziej? - Musiał zauważyć mój numer rejestracyjny, ale nie chciał o tym wspomnieć.

- Mnie się wydaje, że tak. Czy pan myśli, że ludzie boją się mieć własne zdanie?
- Może niektórzy. Ale znam takich, co się nie boją, a też nie mówią.
- Ja też się z tym spotykałem - odrzekłem. - Ale naprawdę nie wiem.
- Ja też. Może to wszystko jest częścią jednego i tego samego. Nie, dziękuję; więcej nie. Czuję, że pańska kolacja już prawie gotowa. Będę się zbierał.

- Częścią czego?
- Ano, weź pan mojego dziadka i jego ojca - jeszcze żył, kiedy miałem dwanaście lat. Mieli różne rzeczy, których byli pewni. Mogli na pewno przewidzieć, co może się zdarzyć. A teraz - co może się zdarzyć?

- Nie wiem.
- Nikt nie wie. Co jest warte własne zdanie, jak się nic nie wie? Mój dziadek znał ilość włosów w brodzie Wszchemogącego. Ja nie wiem nawet, co stało się wczoraj, nie mówiąc już o jutrze. On wiedział, z czego jest skała czy stół. Ja nie rozumiem nawet tej formułki, która mówi, że nikt nie wie. Nie mamy na czym się oprzeć - nie mamy jak myśleć o różnych rzeczach. No, już pójdę. Zobaczmy się jutro rano?

- Nie wiem. Wyjadę wcześniej. Chcę przejechać prosto przez Maine do Deer Isle.
- O, to ładna miejscowość, nie?
- Jeszcze nie wiem. Nigdy tam nie byłem.
- No więc ładna jest. Spodoba się panu. Dziękuję za... kawę. Dobrej nocy.

Charley popatrzył za nim, westchnął i zasnął na powrót. Zjadłem soloną wołowinę, posłałem sobie łóżko i wygrzebałem „Powstanie i upadek Trzeciej Rzeszy” Shirera. Ale nie mogłem czytać, a kiedy zgasilem światło, nie mogłem usnąć. Szum potoku po skałach był dobrym, uspokajającym odgłosem, ale rozmowa z farmerem wciąż we mnie tkwiła - to był myślący, rozumny człowiek. Nie mogłem mieć nadziei, że znajdę wielu jemu podobnych. I może utrafił w sedno. Ludzie mieli z milion lat, żeby przyzwyczaić się do ognia jako rzeczy i jako pojęcia. Od chwili, kiedy człowiek oparzył sobie palce dotknąwszy trafionego piorunem drzewa, do momentu, kiedy inny człowiek przeniósł kawałek takiego drzewa do jaskini i stwierdził, że go grzeje, minęło ze sto tysięcy lat, a od tego czasu do wielkich pieców Detroit - jak wiele?

Teraz zaś mamy w ręku moc o ileż potężniejszą, a nie mieliśmy czasu rozwinąć sposobu myślenia, bo człowiek musi mieć uczucia, potem słowa, nim zdoła się zbliżyć do myśli, to zaś, przynajmniej w przeszłości, wymagało długiego czasu.

Koguty piały, zanim usnąłem. I nareszcie poczułem, że moja podróż się rozpoczęła. Myślę, że przedtem właściwie w nią nie wierzyłem.

Charley lubi wstawać wcześniej i chce, żebym ja też wcześniej wstawał. I dlaczego by nie? Zaraz po śniadaniu idzie z powrotem spać. Z biegiem lat wypracował sobie szereg pozornie niewinnych sposobów wyciągania mnie z łóżka. Potrafi się otrząsać razem z obrozą tak hałaśliwie, że umarły by się obudził. Jeżeli to nie działa, dostaje ataku kichania. Ale może najbardziej irytującą jego metodą jest spokojne siadanie przy łóżku i wpatrywanie mi się w twarz ze słodką i przebaczącą miną; wtedy budzę

się z głębokiego snu z uczuciem, że jestem obserwowany. Nauczyłem się trzymać oczy mocno zaciśnięte. Ale niech tylko mrugnę powieką, on zaczyna kichać i przeciągać się, i na tę noc już jest dla mnie po spaniu. Często ta walka woli trwa dłuższy czas, przy czym ja zaciskam oczy, a on mi przebacza, lecz prawie zawsze wygrywa Charley. Ponieważ tak lubi podróżować, chciał wyruszyć wcześniej, a dla Charleya „wcześnie” oznacza pierwsze przemieszanie świtu z ciemnością.

Wprędce odkryłem, że jeśli podróżujący obcy człowiek chce podsłuchać, co mówi ludność, to miejscami, do których powinien się zakraść i siedzieć cicho, są bary i kościoły. Jednakże niektóre miasta nowoangielskie nie mają barów, a kościół jest tylko w niedzielę. Dobrą alternatywą jest przydrożna restauracja, gdzie mężczyźni zbierają się na śniadanie przed pójściem do pracy albo przed polowaniem. Po to, by zastać ludzi w owych miejscach, trzeba wstać bardzo wcześnie. I nawet to ma swoje ujemne strony. Wcześnie wstający ludzie nie tylko niewiele mówią do obcych, ale prawie nie rozmawiają między sobą. Rozmowa przy śniadaniu ogranicza się do serii lakonicznych mruknięć. Przyrodzona małomówność nowoangielska osiąga swoją wspaniałą doskonałość przy śniadaniu.

Nakarmiłem Charleya, pozwoliłem mu na niewielki spacer i wyruszyłem w drogę. Lodowaty opar okrywał wzgórze i zamarzał na mojej przedniej szybie. Normalnie nie jadłem śniadania, ale tym razem musiałem, bo inaczej nie spotkałbym nikogo, dopóki bym nie zatrzymał się dla nabrania benzyny. Stałem przed pierwszą oświetloną restauracją przydrożną i zasiadłem przy kontuarze. Klienci tkwili nad filiżankami kawy pozwijani jak paprocie. Normalna rozmowa przebiega następująco:

KELNERKA: To samo?

KLIENT: Uhm.

KELNERKA: Dość zimne dla pana?

KLIENT: Uhm.

(Dziesięć minut).

KELNERKA: Nalać?

KLIENT: Uhm.

Taki klient jest naprawdę rozmowny. Niektórzy redukują to do czknięcia, a inni nie odpowiadają w ogóle. Poranna kelnerka w Nowej Anglii wie samoty żywot, ale wprędce przekonałem się, że jeśli próbowałem tchnąć życie i wesołość w jej pracę jakąś pogodną uwagą, opuszczała oczy i odpowiadała: „Aha” albo „Uhm”. Mimo to uważałem że nastąpił pewien kontakt, ale nie potrafię powiedzieć jaki.

Najlepszą nauką było poranne radio, które bardzo polubiłem. Każde parotysięczne miasto ma swoją radiostację, która zastępuje dawną lokalną gazetę. Mówi się tam o kupnie i sprzedaży, o życiu towarzyskim, cenach towarów i wiadomościach. Nadawane płyty są te same w całym kraju. Jeżeli „Anielska nastolatka” jest na pierwszym miejscu w Maine, jest także na pierwszym miejscu w Montanie. W ciągu dnia można usłyszeć „Anielską nastolatkę” trzydzieści albo czterdzieści razy. Ale oprócz lokalnych wiadomości i kronik zakradają się także pewne reklamy obce. W miarę jak jechałem coraz dalej i dalej na północ i robiło się zimniej, zwróciłem uwagę, że stale rośnie liczba reklam nieruchomości na Florydzie, a wobec zbliżającej się długiej i surowej zimy, zaczynałem rozumieć, dlaczego Floryda jest złotym słowem. Po drodze stwierdziłem, że coraz więcej osób myśli o niej pożądliwie i że tysiące już się tam przeniosły, a dalsze tysiące chcą to zrobić i robią. Reklamy, czyniąc ukłon w stronę federalnego systemu komunikacyjnego, zapowiadały niewiele poza faktem, że ziemia na sprzedaż znajduje się na Florydzie. Niektóre z nich ograniczały się do oświadczenia, że jest ona nad poziomem

przyływu. Ale to było obojętne; sama nazwa Florydy niosła zapowiedź ciepła, swobody i komfortu. Było to nieodparte.

Przebywałem nieraz w dobrym klimacie i nudzi mnie to piekielnie. Lubię raczej pogodę niż klimat. W Cuernavaca w Meksyku, gdzie niegdyś mieszkałem i gdzie klimat jest tak bliski doskonałości, jak tylko można sobie wyobrazić, stwierdziłem, że ci, co wyjeżdżają, zazwyczaj udają się na Alaskę. Chciałbym się przekonać, jak długo ktoś z okręgu Aroostook może wytrzymać Florydę. Sęk w tym, że przeniósłszy i zainwestowawszy tam swoje oszczędności, nie bardzo może powrócić. Kości zostały rzucone i nie sposób ich zebrać na nowo. Ale zastanawiam się, czy człowiek ze wschodu Stanów, siedzący w fotelu z nylonu i aluminium na niezmiennie zielonym trawniku i oganiający się od komarów w październikowy florydzki wieczór - czy taki człowiek nie czuje w żołądku żgnięcia wspomnień wysoko pod żebrami, w bolesnym miejscu. I rzucam wyzwanie jego obrazowemu umysłowi, ażeby w wilgotne, wieczne lato potrafił nie wrócić do tego krzyku barw, do czystego ułtucia mroźnego powietrza, do zapachu płonącego sosnowego drewna i do pieścotliwego ciepła kuchni. Bo jakże można znać barwy wśród wiecznej zieleni i na co jest ciepło bez zimna, które dodaje mu słodkości?

Jechałem tak wolno, jak na to pozwalał zwyczaj i niecierpliwe przepisy. Jest to jedyny sposób, ażeby coś zobaczyć. Co kilka mil dany stan dostarczał miejsc przeznaczonych na wypoczynek przy szosach, miejsc osłoniętych, niekiedy położonych w pobliżu ciemnych strumieni. Były tam malowane bębny od oliwy jako kosze na śmieci, i stoły piknikowe, a niekiedy kominki lub miejsca do pieczenia na ruszcie. Co jakiś czas zjeżdżałem Rosynantem z szosy i wypuszczałem Charleya, aby obwąchał listę poprzednich gości. Następnie podgrzewałem sobie kawę, rozsiadałem się wygodnie na tylnym schodku mojego wozu i kontemplowałem las i wodę, i stromo wystające góry, zwieńczone u szczytu drzewami szpilkowymi i jodłami, i przyprószone śniegiem. Dawno temu dostałem na Wielkanoc jajko z widoczką. Zaglądając do środka przez mały otvorek na czubku, widziałem śliczną małą farmę, coś w rodzaju farmy ze snów, a na kominie domu bociana siedzącego na gnieździe. Uważałem to za farmę z bajki, równie zmyśloną jak krasnoludki siedzące pod muchomorami. A potem, w Danii, zobaczyłem tę farmę, albo jej siostrę, i była prawdziwa, taka sama jak w owym jajku. A w Salinas, w Kalifornii, gdzie dorastałem, mieliśmy wprawdzie czasem przymrozki, ale klimat był chłodny i mglisty. Kiedy zobaczyliśmy kolorowe zdjęcia jesiennego lasu w Vermoncie, było to także coś bajkowego i szczerze mówiąc nie wierzyliśmy w to. W szkole uczyliśmy się na pamięć „W śnieżycy” i małych wierszyków o Starym Jacku Mrozie i jego pędzlu do malowania, ale jedyną rzeczą, jaką Jacek Mróz dla nas zrobił, było to, że kładł cienką błonkę lodu na korycie do pojenia, a i to rzadko. Stwierdzenie, że nie tylko tamto szaleństwo kolorów było prawdą, ale że owe zdjęcia stanowiły zaledwie błąd i niedokładną imitację, było dla mnie zaskoczeniem. Nie potrafię nawet wyobrazić sobie barw lasu, kiedy ich nie widzę. Zastanawiałem się, czy stały kontakt nie powoduje nieuwagi, i zapytałem o to kobietę z New Hampshire. Odpowiedziała, że jesień nigdy nie omieszka jej zadziwić, zachwycić. „Jest to jakaś gloria - mówiła - i nie można jej zapamiętać, tak że zawsze przychodzi jako niespodzianka”.

W potoku przy miejscu wypoczynkowym dostrzegłem pstrąga, który wypływał z ciemnej wody i tworzył na niej rozchodzące się srebrzyste kręgi, a Charley dojrzał go także, pobrodził i zamoczył się głuptas. Nigdy nie myśli o przeszłości.

Wsiadłem do Rosynanta, ażeby wynieść moją biedną odrobinę śmiecia do bębna po oliwie: dwie puste puszki - z jednej jadłem ja, z drugiej Charley. A między książkami, które zabrałem ze sobą, zobaczyłem dobrze znaną okładkę i wyniosłem ją

na słońce - złotą rękę, trzymającą zarazem węża i zwierciadło ze skrzydłami, pod spodem zaś literami naśladowującymi ręczne pismo, „The Spectator pod redakcją Henry Morleya”.

Wydaje się, że miałem dzieciństwo szczęśliwe dla pisarza. Mój dziadek, Samuel Hamilton, kochał dobre pisarstwo i znał się na nim, i miał kilka córek-sawantek, między nimi moją matkę. Dzięki temu w Salinas, w wielkiej, ciemnej, orzechowej szafie na książki z oszklonymi drzwiami, można było znaleźć przedziwne i cudowne rzeczy. Moi rodzice nigdy ich nie dawali, oszklone drzwi najwyraźniej ich strzegły, więc zacząłem tę szafę plądrować. Nie broniono tego ani mnie nie zniechęcano. Dzisiaj myślę, że gdybyśmy zabraniali naszym niedokształconym dzieciom dotykania wspaniałych rzeczy z naszej literatury, może by je kradły i znajdowały w nich potajemną radość. Bardzo wczesnie powziąłem miłość do Josepha Addisona * której nie utraciłem nigdy. Gra on na instrumencie mowy tak, jak Casals gra na wiolonczeli. Nie wiem, czy wywarł wpływ na styl mojej prozy, ale chciałbym mieć nadzieję, że tak. Siedząc na słońcu w Górach Białych, w roku 1961, otworzyłem dobrze zapamiętany pierwszy tom, wydrukowany w roku 1883. Zajrzałem do pierwszego numeru „Spectatora” - z czwartku, 1 marca 1711. Zaczynał się od słów:

*Non fumum ex fulgore, sed ex fumo dare lucern
Cogitat, et speciosa dehinc miracula prornat.*
Horacy **

Pamiętam dobrze, jak lubiłem zwyczaj Addisona pisania rzeczowników dużą literą. Pod ową datą pisze on:

„Zaobserwowałem, że Czytelnik rzadko Książkę z Przyjemnością odczytuje, póki nie dowie się, czy jej Autor czarnowłosym jest czyli też jasnowłosym Człowiekiem o łagodnej czy cholerycznej Dyspozycji, Żonatym czy Kawalerem, wraz z innymi podobnej Natury Szczegółami, które wielce Zrozumieniu Autora sprzyjają. Ażeby zaspokoić ową Ciekawość, tak u Czytelnika naturalną, traktuję Artykuł niniejszy tudzież następny jako Wstępną Rozprawę do moich dalszych Pism i podam w nich Relację o kilku Osobach w Pracy tej Udział biorących. Jako że główne Zadanie Kompilowania, Porządkowania i Poprawiania mnie przypaść ma w Udziale, muszę tę sobie uczynić Sprawiedliwość, ażeby rozpocząć Dzieło od własnej mojej Historii”.

Niedziela, 29 stycznia 1961 roku. Tak, Josephie Addiso-nie, słyszę i będę posłuszny w granicach Rozsądku, albowiem wydaje się, że owa Ciekawość, o której mówisz, bynajmniej nie osłabła. Stwierdziłem, że wielu Czytelników interesuje się bardziej tym, co noszę, niż tym, co myślę, i że chciwiej pragną dowiedzieć się, jak coś robię, niż, co robię. Jeżeli zaś idzie o moją Pracę, to niektórzy Czytelnicy bardziej przejmują się tym, co ona przynosi, niż tym, co mówi. Ponieważ Sugestia Mistrza jest Rozkazem niepomąłu przypominającym Pismo Świąte, więc uczynię tu Dygresję i jednocześnie zastosuję się do Wskazówek.

*Poeta, dramaturg i eseista angielski (1672—1719) * wspólnie z R. Steelem twórca nowożytnego czasopiśmiennictwa; 1711—14 wydawał dziennik literacki „Spectator”.

**Nie zamyśla on dawać dymu z płomienia, lecz z dymu światło, aby potem wydobyć osobliwe dziwy. Horacy, List do Pizonów, str. 143—144, przekład T. Sinki).

Wśród ogółu ludzi jestem wysoki - równe sześć stóp - jakkolwiek wśród mężczyzn z mojej rodziny uważany jestem za karła. Ich wzrost sięga od sześciu stóp i dwóch cali do sześciu stóp i pięciu i wiem, że obaj moi synowie, kiedy wyciągną się na całą wysokość, przerosną mnie. Jestem bardzo szeroki w ramionach, a w obecnej mojej kondycji wąski w biodrach.

Nogi moje są długie w proporcji do tułowia i podobno kształtne.

Włosy mam szarosiwe, oczy niebieskie, a policzki rumiane, którą to cerę odziedziczyłem po matce-Irlandce. Moja twarz nie pozostała obojętna na przemijanie czasu i zarejestrowała je bliznami, zmarszczkami, bruzdami i erozjami. Noszę brodę i wąsy, ale golę sobie policzki; rzeczona broda, posiadająca ciemny, skunksowy pas pośrodku i białe brzegi, upamiętnia pewnych moich krewnych. Kultuwuję tę brodę nie z podawanych zazwyczaj przyczyn, takich jak choroba skóry czy ból przy goleniu, ani w tajemnym celu przysłonięcia wątlej dolnej szczęki, ale jako czystą i bezwstydną ozdobę, w dużej mierze tak jak bażant, który znajduje przyjemność we własnym ogonie. A wreszcie w naszych czasach, broda jest jedyną rzeczą, której kobieta nie może zrobić lepiej od mężczyzny, jeśli zaś może, to sukces ma zapewniony tylko w cyrku.

Mój kostium na podróż był praktyczny, choć odrobinę dziwaczny. Gumowe półwellingtony z korkowymi wkładkami utrzymywały moje stopy w cieple i suchości. Bawełniane spodnie koloru khaki, zakupione w sklepie z wojskowymi rzeczami z demobilu, okrywały mi nogi, a moje górne rejony cieszyły się myśliwską kurtką z welwetowymi mankietami i kołnierzem, a z tyłu kieszenią na zwierzynę, dość obszerną, by przeschmuglować do domów noclegowych YMCA indiańską księżniczkę. Czapkę miałem tę samą, którą noszę od wielu lat - granatową, sukienną czapkę brytyjskiej marynarki z krótkim daszkiem i umieszczonymi nad nim lwem i jednorożcem, jak zwykle walczącymi o angielską koronę. Ta czapka jest dosyć wyświechtana i pokryta osadem soli, ale została mi подарowana przez kapitana pewnego torpedowca, na którym wypłynąłem z Dovru podczas wojny - łagodnego dżentelmena i mordercę. Kiedy się z nim rozstałem, zaatakował torpedowiec niemiecki i wstrzymał ogień usiłując go zdobyć w całości, jako że nigdy jeszcze takiego nie zdobyto, i w trakcie tego dał się zatopić. Od tej pory zawsze noszę jego czapkę dla uczczenia go i przez pamięć o nim. Poza tym lubię ją. Jakoś mi odpowiada. Na Wschodzie nikt nie spojrział na nią dwa razy, ale gdy później, w Wisconsin, Dakocie Północnej, Montanie, zostawiłem morze daleko za sobą, wydało mi się, że zwraca ona uwagę, więc kupiłem to, co dawniej nazywaliśmy krowiarskim kapeluszem - stetsona o niezbyt szerokim rondzie, okazały, ale konserwatywny kapelusz z Dalekiego Zachodu, taki, jaki nosili moi borykający się z krowami stryjowie. Dopiero kiedy w Seattle dotarłem do innego morza, włożyłem na powrót marynarską czapkę.

Tyle zgodnie z nakazem Addisona; teraz Czytelnik mój powróci ze mną do tego campingu w New Hampshire. Gdy tam siedziałem kartkując pierwszy tom „Spectatora” i zastanawiając się, jak to umysł zazwyczaj robi na raz dwie rzeczy, o których coś wie, i prawdopodobnie kilka, o których nic mu nie wiadomo, zajechał luksusowy wóz i dosyć tęga i wysztafiowana kobieta wypuściła dosyć tęgiego i wysztafiowanego szpica płci żeńskiej. Tego ostatniego faktu byłbym nie zauważył, ale Charley się poznał. Wynurzywszy się zza kubła na śmieci uznał ją za piękną, jego francuska krew rozgorzała i przystąpił do zalecanek niewątpliwych nawet dla gnuśnych oczu pani mademoiselle. Istota owa wrzasnęła niczym zraniony królik, wyskoczyła eksplozywnie z samochodu i byłaby porwała swoją pieszczoszkę na łono, gdyby mogła schylić się tak nisko. Zdołała jednak tylko wymierzyć klapsa w

głowę wysokiemu Charleyowi. On zaś zupełnie naturalnie i od niechcienia dziabnął ją w rękę przed przystąpieniem do romansu. Do tego momentu nigdy dobrze nie rozumiałem sensu zdania „wstrząsnąć ziemią w posiadach”. Po pierwsze nie wiedziałem, co to są posiadki. Sprawdziłem to później. Ale ta cholerna baba z całą pewnością nią wstrząsnęła. Złapałem ją /a rękę, zobaczyłem, że skóra nie jest nawet przecięta, więc capnąłem jej sukę, która czym prędzej ugryzła mnie porządnie i puściła mi krew, zanim zdążyłem chwycić owe-(>o potworka za gardło i zacząć go łagodnie dusić.

Charley uważał całą tę scenę za nonsens. Zmoczył kubek na śmieci po raz dwudziesty i na tym rzecz zakończył.

Potrzeba było pewnego czasu, ażeby uspokoić damę. Przyniosłem z wozu butelkę koniaku, który mógłby ją zabić, a ona golnęła sobie łyk, który powinien był ją zabić.

Można by pomyśleć, że po tym, co dla niego zrobiłem, Charley przyjdzie mi z pomocą, ale on nie lubi nerwowców, a nie cierpi pijaków. Wdrapał się do Rosynanta, wpełznął pod stół i poszedł spać. Sic semper cum Francuzi.

Na koniec dama pogrzmiała przed siebie z zaciągniętym ręcznym hamulcem i dzień, który sobie budowałem, legł w gruzach. Addison poszedł z dymem, pstrąg już nie znaczył kręgami sadzawki, a słońce przesłoniła chmura nasycając chłodem powietrze. Spostrzegłem, że jadę szybciej, niż chciałem, a poza tym zaczęło padać - zimny, stalowy deszcz. Nie zwracałem na samotne wioski takiej uwagi, na jaką zasługiwały, i niebawem wjechałem w stan Maine i podążałem dalej na wschód.

Chciałbym, żeby którekolwiek dwa stany porozumiały się ze sobą co do limitu szybkości. Mniej więcej wówczas, kiedy przyzwyczajamy się do pięćdziesięciu mil na godzinę, przejeżdżamy granicę stanu i już jest sześćdziesiąt pięć. Zastanawiam się, dlaczego nie mogą jakoś tego uzgodnić. Natomiast w jednej sprawie zgadzają się wszystkie stany - każdy stwierdza, że jest najświetniejszy ze wszystkich, i oznajmia o tym fakcie olbrzymimi literami, kiedy przekracza się jego granicę. Wśród prawie czterdziestu stanów nie widziałem ani jednego, który by nie miał do powiedzenia jakiegoś dobrego słowa o sobie. Wydawało się to odrobinę niedelikatne. Byłoby może lepiej pozwolić odwiedzającym, aby przekonali się sami. Ale możliwe, że nie przekonaliśmy się, gdyby nam nie zwrócono na to uwagi.

Przygotowania do zimy w Nowej Anglii są uciążliwe. W lecie zaludnienie musi być duże, a drogi i szosy zapchane uchodzącymi przed lepkiem upałem Bostonu i Nowego Jorku. Teraz stoiska z hot-dogami, kioski z lodami, sklepy, sprzedające osobliwości, mokasyny i rękawiczki z jeleniej skóry, były pozamykane i przesłonięte okiennicami, a wiele z nich miało napisy: „Otwarcie w lecie przyszłego roku”.

Nigdy nie mogę przywyknąć do tysięcy stojących przy szosach sklepów z antykami, pękających od autentycznego i poświadczanego śmiecia z dawniejszych epok. Wydaje mi się, że ludność trzynastu kolonii liczyła mniej niż cztery miliony dusz, a każdy widać musiał wyrabiać gorączkowo stoły, krzesła, szkło, porcelanę, formy do świec i dziwacznych kształtów drobiazgi z żelaza, miedzi i mosiądzu na sprzedaż w przyszłości turystom z dwudziestego stulecia. Wzdłuż szos Nowej Anglii znajduje się dostateczna ilość antyków do sprzedania, ażeby umeblować domy pięćdziesięciomilionowej ludności. Gdybym miał zmysł handlowy i dbał choć o ciupinkę o moich nie narodzonych prawnuków, o których nie dbam, pozbierałbym wszystkie rupiecie i popsute samochody, przeczesał miejskie śmietniska i ułożył ten plon w wielkie stosy i skropił całość ową substancją, którą marynarka używa do dezynfekowania okrętów. Po upływie stu lat potomkowie moi mieliby pozwolenie odgrzebania tego ukrytego skarbu i byłiby światowymi królami antyków. Jeżeli zdezelowane, popękane i połamane rzeczy, których przodkowie nasi usiłowali się pozbyć, przynoszą teraz tyle pieniędzy, to pomyślcie, ile przyniesie oldsmobile model 1954 albo maszynka do grzanek z roku 1960 - a dobry shaker do coctaili! - Boże, możliwości są nieograniczone. Przedmioty, za których wywożenie musimy płacić, mogłyby przynosić fortuny.

Jeżeli wydaję się nadmiernie zainteresowany rupieciami, to dlatego, że tak jest, i mam ich mnóstwo - pół garażu różności i połamanych kawałków. Używam tych rzeczy do naprawiania innych. Niedawno zatrzymałem wóz przed placem sprzedawcy złomu nie opodal Sag Harbor. Kiedy patrzałem z uznaniem na jego asortyment, przyszło mi nagle do głowy, że mam więcej niż on. Ale widać w istocie mam prawdziwe i niemal zachłanne zamiłowanie do bezwartościowych przedmiotów. Moim usprawiedliwieniem jest, że kiedy w tej epoce planowej dezaktualizacji towarów jakaś rzecz mi się psuje, zazwyczaj mogę znaleźć w swojej kolekcji coś, aby ją naprawić - czy będzie to klozet, czy motor, czy kosiarka do trawy. Chociaż, jak mi się zdaje, prawda wygląda tak, że po prostu lubię rupiecie.

Kiedy rozpoczynałem mój objazd, wiedziałem, że co kilka dni będę musiał zatrzymać się na postojach dla samochodów albo w motelach, nie tyle po to, żeby się przespać, co dla gorącej rozkosznej kąpieli. W Rosynancie grzałem sobie wodę w kociołku do herbaty i myłem się całą gąbką, ale kąpanie się w wiadrze daje niewiele czystości, a żadną satysfakcję. Głębokie zanurzenie się w wannie pełnej gorącej wody jest czystą radością. Natomiast już na początku podróży wymyśliłem sposób prania rzeczy, który trudno byłoby przewyższyć. Zabierałem się do tego jak następuje. Miałem duże plastikowe wiadro na śmiecie, z pokrywą i kabłąkiem. Ponieważ normalny ruch wozu przewracał je, więc za pomocą kawałka mocnej, elastycznej linki z obszytej bawełną gumy uwiązałem to wiadro do drążka na ubranie w moim schowku, gdzie mogło się huścić, ile dusza zapagnie, nie roniąc zawartości. Po jednym dniu otworzyłem je, aby wyrzucić śmieci do przydrożnego zbiornika, i znalazłem najgruntowniej przemieszane i przemacerowane odpadki, jakie w życiu widziałem. Przypuszczam, że wszystkie wielkie wynalazki rodzą się z jakiegoś takiego doświadczenia. Następnego rana wymyłem plastikowe wiadro, włożyłem do niego dwie koszule, bieliznę i skarpetki, nalałem gorącej wody z proszkiem do prania i zawiesiłem je na gumowej linie u drążka, gdzie huściło się i tańczyło jak szalone

przez cały dzień. Tego wieczora oplukałem rzeczy w strumieniu i chyba nikt nie widział tak czystej bielizny. W Rosynancie przeciągnąłem sznur nylonowy blisko okna i rozwiesiłem ją, żeby wyschła. Od tej pory rzeczy moje były prane jednego dnia jazdy, a suszyły się następnego. Poszedłem nawet dalej i prałem w ten sposób prześcieradła i poszwy na poduszki. Tyle o schludności - ale to jeszcze nie załatwiało sprawy gorących kąpeli.

Niedaleko za Bangorem zatrzymałem się na postoju i wziąłem sobie pokój. Nie był kosztowny. Szyld oznajmiał: „Znaczna obniżka cen na zimę”. Było tam niepokalanie czysto: wszystko plastikowe - podłogi, zasłony, blaty stołów z nie płamiącego się, niepalnego plastyku, abażury z plastyku. Tylko pościele i ręczniki były z naturalnego materiału. Poszedłem do prowadzonej łącznie z motelem małej restauracji. Ona też była cała plastikowa - obrusy, maselniczki. Cukier i sucharki poowijane w celofan, dżem w malutkiej plastikowej trumience, opieczętowanej celofanem. Był wczesny wieczór, a ja byłem jedynym klientem. Nawet kelnerka miała na sobie zmywalny fartuch. Nie wyglądała na zadowoloną, ale i nie na niezadowoloną. Po prostu była nijaka. Ale nie sądzę, żeby ktokolwiek był nijaki. Coś musi tkwić w człowieku, chociażby po to, by skóra się nie zapadła. To obojętne oko, apatyczna ręka, ten atlasowy policzek przyprószonej jak pączek plastikowym pudrem - musiały mieć jakieś wspomnienia czy marzenia. Spytałem na chybił trafił:

- Kiedy pani jedzie na Florydę?
- W przyszłym tygodniu - odrzekła obojętnie. A potem coś drgnęło w tej bolesnej próżni. - Zaraz, a skąd pan wie, że jadę?

- Widocznie czytam w pani myślach.

Popatrzała na moją brodę.

- Pan na występy?

- Nie.

- To jak pan może czytać w moich myślach?

- Może zgadłem. Podoba się pani tam?

- No pewnie! Jeżdżę co roku. Masa posad kelnerek w zimie.

- Co pani tam robi, to znaczy dla rozrywki?

- A nic. Tak się objam.

- Czy pani łowi ryby albo pływa?

- Nie bardzo. Tylko się objam. Nie lubię tego piasku, swędzi mnie.

- Zarabia pani dobrze?

- Tam przyjeżdża hołota.

- Hołota?

- Wolą wydawać forszę na wódę.

- Niż co?

- Niż dawać napiwki. To samo tutaj, z tymi letnikami. Hołota.

Dziwna rzecz, jak jedna osoba może nasycić pokój witalnością, emocją. A znowu inni, i ta dziewczyna do nich należała, potrafią wypompuwać całą energię i radość, wysać do sucha przyjemność i nie mieć z tego żadnej pożywki. Tacy ludzie rozpylają szarość w powietrzu dokoła siebie. Prowadziłem wóz bardzo długo i może energia była zmniejszona, a odporność słaba. Kelnerka mnie załatwiła. Poczuję się taki zgnębiony i nieszczęśliwy, że miałem ochotę wpełznąć w plastikowy futerał i umrzeć. Jakaż musi z niej być towarzyszką, jaka kochanka! Próbowałem ją sobie wyobrazić w tej drugiej roli, ale nie mogłem. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie dać jej pięciu dolarów napiwku, ale wiedziałem, co by się stało. Nie byłaby zadowolona. Po prostu wzięłaby mnie za wariata.

Wróciłem do mojego czystego pokoiku. Nigdy nie pijam sam jeden. To niezbyt zabawne. I nie sędzę, żebym to miał robić, chyba że stanę się alkoholikiem. Ale tego wieczora wydobyłem z moich zapasów butelkę wódki i zabrałem ją do swojej celi. W łazience stały dwie szklanki do wody w zalepionych celofanowych torebkach ze słowami: „Te szklanki są wysterylizowane dla waszej ochrony”. Sedes był opieczętowny paskiem papieru z informacją: „Ten sedes został wysterylizowany promieniami ultrafioletowymi dla waszej ochrony”. Każdy mnie ochraniał i to było okropne. Zerwałem torebki ze szklanek. Zgwałciłem stopą opieczętownie sedesu. Nalałem sobie pół szklanki wódki, wypilem, nalałem jeszcze raz. Potem zanurzyłem się głęboko w gorącą wodę w wannie i byłem zupełnie nieszczęśliwy i nic nigdzie nie wydawało się dobre.

Charley zaraził się tym ode mnie, ale jest to pies dzielny. Wszedł do łazienki, i oto ten stary głuptas zaczął się bawić jak szczeniak plastikową matą do kąpeli. Co za siła charakteru, co za przyjaciel! Potem rzucił się do drzwi i począł ujadać, jak gdyby mnie napadano. I gdyby nie cały ten plastik, może by mu się udało.

Pamiętam jednego starego Araba w Afryce Północnej, człowieka, którego ręce nigdy nie dotknęły wody. Podał mi miętową herbatę w szklance tak oblepionej brudem od ciągłego używania, że była matowa, ale dał mi też swoje towarzystwo i ta herbata była przez to wyśmienita. I bez żadnej ochrony zęby mi nie powypadały ani nie dostałem ropiejących wrzodów. Zacząłem formułować sobie nowe prawo dotyczące stosunku ochrony do przygnębienia. Smętna dusza może nas zabić prędzej, o wiele prędzej niż zarazek.

Gdyby Charley nie otrząsnął się, nie podskoczył i nie powiedział: „Ftt”, może bym i zapomniał, że co wieczór dostaje dwa psie sucharki i wychodzi na spacer, żeby sobie rozjaśnić w głowie. Włożyłem czyste ubranie i wyszedłem z nim w usianą gwiazdami noc. A pokazała się także Aurora Borealis. Widziałem ją tylko parę razy w życiu. Wisiała i poruszała się majestatycznymi zwojami niby nieskończona suwnica nad sceną bezkresnego teatru. Barwy różanej, lawendowej i fiołkowej, przesuwała się i pulsowała na tle mroku, a przez nią świeciły wyostrzone mrozem gwiazdy. Zobaczyć taką rzecz w chwili, kiedy tak bardzo tego potrzebowałem! Przez moment zastanawiałem się, czy nie złapać tej kelnerki i nie wypędzić jej na dwór kopniakiem w tyłek, ażeby na to popatrzyła, ale nie miałem odwagi. Potrafiłaby sprawić, że wieczność i nieskończoność roztopiłyby się i wyciekły między palcami. Powietrze słodko parzyło mrozem, a Charley, biegnąc przodem, powitał szczegółowo cały szpaler przystrzyżonego ligustru parując w tym czasie. Kiedy wrócił, był zadowolony i radosny. Dałem mu trzy sucharki, zmiętosilem sterylne łóżko i poszedłem spać w Rosynancie.

Nie było wcale do mnie niepodobne, że kierując się na zachód pojedę na wschód. Zawsze miałem taką tendencję. Jechałem na Deer Isle z bardzo dobrego powodu. Moja stara przyjaciółka i współpracownica, Elisabeth Otis, jeździła na tę wyspę co roku. Kiedy o niej mówi, oczy jej nabierają zaświatowego wyrazu i całkowicie brakuje jej słów. Gdy planowałem swoją podróż, powiedziała:

- Oczywiście zatrzymasz się na Deer Isle.
- Kiedy to jest z drogi.
- Nonsens - odpowiedziała tonem, który znam doskonale. Z jej głosu i zachowania wywnioskowałem, że jeśli nie pojedę na Deer Isle, lepiej, abym się więcej nie pokazywał w Nowym Jorku. Potem zatelefonowała do panny Eleanor Brace, u której zawsze się tam zatrzymuje, i już było po wszystkim. Byłem załatwiony. O Deer Isle wiedziałem tylko tyle, że nie podobna nic o niej powiedzieć,

ale że jeżeli tam nie pojedę, to znaczy, że jestem wariatem. Poza tym czekała na mnie panna Brace.

W Bangor zabłądziłem gruntownie przy całym tym ruchu, ciężarówkach, ryku klaksonów i zmianach świateł. Pamiętałem z grubsza, że powinienem znaleźć się na szosie US 1, odszukałem ją i przejechałem dziesięć mil w niewłaściwym kierunku, z powrotem w stronę Nowego Jorku. Dano mi pisemne wskazówki, jak jechać, wskazówki szczegółowe, ale czy kiedyś zauważyliście, że instrukcje od kogoś, kto zna okolicę, płaczą wam wszystko jeszcze bardziej, nawet jeżeli są ściśle? Zabłądziłem także i w Ellsworth, co podobno jest niemożliwe. Potem drogi zwężyły się, a mnie mijały z hukiem ciężarówki wiozące drewno. Błąkałem się prawie przez cały dzień, mimo że odnalazłem Blue Hill i Sedgwick. O późnej porze tego rozpaczliwego popołudnia zatrzymałem wóz i podszedłem do majestatycznego policjanta stanu Maine. Cóż to był za mężczyzna, niczym z granitu wykopywanego pod Portlandem, doskonały model do jakiegoś przyszłego konnego posągu. Zastanawiam się, czy przyszli bohaterowie będą rzeźbieni w marmurowych jeepach albo wozach patrolowych?

- Zdaje się, że zabłądziłem. Czy pan mógłby mi podać kierunek?
- A dokąd pan chce jechać?
- Próbuję dostać się na Deer Isle.

Przypatrzył mi się bacznie, a kiedy upewnił się, że nie żartuję, przekreślił się w biodrach i wskazał mi niewielką połąć wody, ale nie zadał sobie trudu, żeby przemówić.

- To jest tu?

Kiwnął głową z góry na dół i pozostawił ją w dole.

- No, a jak się tam dostać?

Zawsze słyszałem, że ludzie z Maine są raczej mrukliwi, ale dla tego kandydata na Mount Rushmore * dwukrotne wskazywanie czegoś w ciągu jednego popołudnia byłoby nieznośną gadatliwością. Zatoczył brodą malutki łuk w kierunku, z którego przyjechałem. Gdyby nie robiło się już późne popołudnie, byłbym popróbował wydobyć z niego jeszcze jakieś słowo, choćby to było skazane na niepowodzenie. - Dziękuję panu - powiedziałem i to zabrzmiało mi tak, jak gdybym paplał bez końca.

Najpierw był bardzo wysoki żelazny most, wygięty lukiem wyniosłym jak tęcza, a trochę dalej niski most kamienny, zbudowany w kształcie litery S - i już byłem na wyspie Deer Isle. Moje pisemne wskazówki mówiły, że winienem skręcać w każde rozwidlenie drogi, które idzie w prawo, a słowo „każde” było podkreślone. Wtoczyłem się na jakieś wzgórze i skręciłem w prawo, w sosnowy las, na węższą drogę, potem skręciłem w prawo na bardzo wąską drogę i znowu skręciłem w prawo na koleiny widoczne na igłach sosnowych. To takie proste, kiedy się to już raz zrobi. Nie mogłem uwierzyć, że znajdę to miejsce, lecz o sto jardów dalej był duży, stary dom panny Eleanor Brace i ona sama, czekająca, ażeby mnie powitać. Wypuściłem Charleya i oto nagle gniewna smuga szarości strzeliła przez polankę między sosnami i wpadła do domu. Był to George. Nie powitał mnie, a w szczególności nie powitał Charleya. Nigdy właściwie nie przypatrzyłem się George'owi, ale jego posępna obecność była wszędzie wyczuwalna. Bo George jest starym popielatym kotem, który nagromadził w sobie tak intensywną nienawiść do ludzi i rzeczy, że nawet kiedy siedzi ukryty na piętrze, czujecie, że modli się, abyście odjechali. Gdyby miała spaść bomba i zetrzeć z powierzchni ziemi wszystko, co żyje, z wyjątkiem panny Brace, George byłby uszczęśliwiony. Tak zaprojektowałby sobie świat, gdyby to od niego zależało. I nie mógł nigdy wiedzieć, że zainteresowanie nim Charleya było czysto

kurtuazyjne; gdyby zaś się tego dowiedział, byłby urażony w swojej mizantropii, bo Charley w ogóle nie interesuje się kotami, nawet w celach ścigania.

Nie sprawialiśmy George'owi żadnego kłopotu, bo obie noce spędziliśmy w Rosynancie, ale mówiono mi, że kiedy goście spią w domu, George idzie do sosnowego lasu i obserwuje z daleka, pomrukując z niezadowoleniem i wyrzucając z siebie całą swą niechęć. Panna Brace przyznaje, że jeśli idzie o pożytek z kota - jakkolwiek on może być - George jest bezwartościowy. Nie jest dobrym towarzyszem, nie jest sympatyczny i ma niewielkie walory estetyczne.

- Może łapie myszy i szczury - podsunąłem uczynnie.

- Nigdy - odparła panna Brace. - Nawet mu to na myśl nie przyjdzie. I wie pan co? George jest dziewczynką.

Musiałem hamować Charleya, bo niewidzialna obecność George'a była wszędzie. W bardziej oświeconych czasach, kiedy lepiej rozumiano czarownice i skrzaty, George skończyłby, czy raczej skończyłaby, na stosie, bo jeżeli istniał kiedykolwiek skrzat, wysłannik szatana, kompan złych duchów, to jest nim George.

Nie trzeba być wrażliwym, ażeby wyczuć dziwność Deer Isle. A jeśli ludzie, którzy jeździli tam od wielu lat, nie potrafią jej opisać, to cóż mogę zrobić po dwóch dniach? Jest to wyspa, która tuli się jak osesek do piersi Maine, ale takich jest dużo. Oświetle, ciemne wody zdają się wsysać światło, ale to już widywałem. Sosnowe lasy szumią, a wiatr zawodzi nad otwartą przestrzenią, która przypomina Dartmoor. Stonington, główne miasto Deer Isle, wcale nie wygląda na miasto amerykańskie, ani jeżeli idzie o otoczenie, ani o architekturę. Jego domy schodzą warstwicami do spokojnej wody zatoki. To miasto bardzo przypomina Lyme Regis na wybrzeżu Dorset i chętnie bym się założył, że ci, co tu się osiedlili, pochodzili z Dorset czy Somerset, czy z Kornwalii. Mowa w Maine jest bardzo podobna do mowy z zachodniej Anglii, z podwójnymi samogłoskami wymawianymi tak jak w języku anglosaksońskim, lecz podobieństwo to jest podwójnie silne na Deer Isle. A ludzie mieszkający poniżej Kanału Bristolskiego są tajemniczy, może nawet są czarownikami. Jest coś za ich oczyma, coś ukrytego tak głęboko, iż może sami o tym nie wiedzą. I tak samo jest z mieszkańcami Deer Isle. Krótko mówiąc, wyspa ta jest jak Avalon; musi zniknąć, gdy nas tam nie ma. Albo weźmy na przykład tajemnicę szopowatych kotów - ogromnych kotów bez ogonów, o szarej, czarno pręgowanej sierści, od czego właśnie nazywane są szopowatymi. Są one dzikie; żyją po lasach i odznaczają się wielką zajadłością. Od czasu do czasu ktoś z miejscowych ludzi przynosi małego kotka i chowa go, i to jest dla niego przyjemność, nieomal honor, ale te koty rzadko dają się nawet w przybliżeniu oswajać. To miasto bardzo przypomina Lyme Regis na wybrzeżu Dorset i chętnie bym się założył, że ci, co tu się osiedlili, pochodzili z Dorset czy Somerset, czy z Kornwalii. Mowa w Maine jest bardzo podobna do mowy z zachodniej Anglii, z podwójnymi samogłoskami wymawianymi tak jak w języku anglosaksońskim, lecz podobieństwo to jest podwójnie silne na Deer Isle. A ludzie mieszkający poniżej Kanału Bristolskiego są tajemniczy, może nawet są czarownikami. Jest coś za ich oczyma, coś ukrytego tak głęboko, iż może sami o tym nie wiedzą. I tak samo jest z mieszkańcami Deer Isle. Krótko mówiąc, wyspa ta jest jak Avalon; musi zniknąć, gdy nas tam nie ma. Albo weźmy na przykład tajemnicę szopowatych kotów - ogromnych kotów bez ogonów, o szarej, czarno pręgowanej sierści, od czego właśnie nazywane są szopowatymi.

* Góra w stanie Dakota Południowa, w której zboczu wyrzeźbione są kolosalne głowy prezydentów: Waszyngtona, Jeffersona, Lincolna i T. Roosevelta.

Są one dzikie; żyją po lasach i odznaczają się wielką zajadłością.

Od czasu do czasu ktoś z miejscowych ludzi przynosi małego kotka i chowa go, i to jest dla niego przyjemność, nieomal honor, ale te koty rzadko dają się nawet w przybliżeniu oswajać. Ryzykuje się ustawiczne drapanie i gryzienie. Koty te najwyraźniej zapomniały o swoim pochodzeniu z Isle of Man i nawet krzyżując się z kotami domowymi przekazują im swoją bezogonowość. Ludzie opowiadają, że wielcy przodkowie tych kotów zostali przywiezieni przez kapitana jakiegoś okrętu i wkrótce zdziczeli. Zastanawiam się jednak, skąd biorą swoje rozmiary. Są dwa razy większe od wszystkich kotów z Isle of Man, jakie widziałem. Czy jest możliwe, że krzyżowały się ze żbikami albo rysiami? Nie wiem. Nikt tego nie wie.

Niedaleko przystani w Stoningtonie leżały letnie łodzie wyciągnięte na brzeg dla przechowania. I nie tylko tam, ale i w innych pobliskich zatoczkach są duże pułapki na homary; w czarnej wodzie mrowią się owe homary z Maine o ciemnych skorupach, najlepsze na świecie. Panna Brace zamówiła trzy sztuki, nie więcej niż półtorafuntowe, jak powiedziała, i tego wieczora ich wyborność została bezspornie udowodniona. Nie ma takich homarów; zwyczajnie ugotowane, bez żadnych wymyślnych sosów, tylko ze stopionym masłem i cytryną, nigdzie nie mają sobie równych. Nawet przesłane na żywo statkiem czy samolotem daleko od swoich mrocznych siedzib, od razu coś tracą.

We wspomniałym sklepie w Stoningtonie, na poły składzie towarów żelaznych, a na poły magazynie sprzętu okrętowego, kupiłem lampę naftową z blaszanym lusterkiem do Rosynanta. Miałem obawę, że kiedyś wyczerpie mi się butan, a wówczas jak będę czytał w łóżku? Przykręciłem lampę do ścianki nad łóżkiem i przycięłem knot tak, żeby tworzył złocistego motyla ognia. I często podczas podróży używałem tej lampy dla ciepła i koloru, zarówno jak dla światła. Była dokładnie taka sama jak lampy, które stały we wszystkich pokojach na ranczu, kiedy byłem dzieckiem.

I nigdy nie wymyślono milszego oświetlenia, choć starzy ludzie mówią, że olej wielorybi daje ładniejszy płomień.

Wykazałem już, że nie potrafię opisać Deer Isle. Jest w niej coś, co nie otwiera drzwi słowom. Ale potem zostaje ona z nami, a co więcej, rzeczy, o których nie wiedzieliśmy, żeśmy je zobaczyli, powracają po wyjeździe. Jedno pamiętam bardzo wyraźnie. Możliwe, że sprawiła to pora roku i rodzaj światła albo jesienna klarowność powietrza. Każda rzecz odcinała się od innych - skała, zaokrąglony kawał wygładzonego przez morze drewna wyrzuconego na plażę czy linia dachu. Każda sosna była sobą i czymś odrębnym, nawet jeżeli stanowiła część lasu. Czy mógłbym powiedzieć, mocno naciągając analogię, że tutejsi ludzie mają tę samą właściwość? Z pewnością nigdy nie napotkałem tak zapalczywych osobników. Za nic bym nie chciał próbować ich zmusić do uczynienia czegoś, na co nie mieliby ochoty. Usłyszałem wiele historii o Deer Isle - pamiętam, że nazywa się Isle, a nie Island - i otrzymałem wiele związanych rad. Powtórzę tylko jedną przestrożę udzieloną mi przez mieszkańca Maine i nie wymienię nazwiska tej osoby z obawy przed represjami.

- Niech pan nigdy nie pyta o drogę kogoś z Maine - usłyszałem.

- A to dlaczego?

- Bo jakoś uważamy, że zabawnie jest źle kierować ludzi, i nie uśmiechamy się, kiedy to robimy, ale śmiejemy się wewnątrz. Taka jest nasza natura.

Zastanawiam się, czy to prawda. Nie mogłem nigdy tego sprawdzić, bo dzięki własnym wysiłkom błędzę bardzo często bez niczyjej pomocy.

Mówiłem dotąd z uznaniem, nawet z serdecznością o Rosynancie, ale nie o samej ciężarówce, na której zmontowany był domek mieszkalny. Była nowym modelem, z mocnym silnikiem V-6. Miała automatyczną przekładnię i specjalnie dużą prądnicę, ażeby dostarczać mi oświetlenia wewnątrz kabiny, gdybym go potrzebował. System chłodzenia był tak naładowany mieszanką przeciwko zamarzaniu, że mógłby wytrzymać polarny klimat. Mam wrażenie, że samochody osobowe produkcji amerykańskiej są tak robione, ażeby się zużywały i musiały być zastępowane nowymi. Z ciężarówkami jest inaczej. Posiadacz ciężarówki wymaga znacznie więcej tysięcy mil dobrej służby niż właściciel wozu pasażerskiego. Nie da się oszołomić ozdobami, płetwami czy innymi cackami, a jego pozycja nie wymaga kupowania mniej więcej co roku nowego modelu dla zachowania twarzy w towarzystwie. Wszystko w mojej ciężarówce zrobione było trwale. Jej rama była ciężka, metal twardy, silnik duży i tęgi. Oczywiście, traktowałem ją dobrze, jeżeli idzie o zmianę oleju i smarowanie, i nie rozjeżdżałem jej do granic wytrzymałości ani jej nie zmuszałem do akrobacji wymaganych od wozów sportowych. Szoferka miała podwójne ścianki i zainstalowano w niej dobry grzejnik. Kiedy wróciłem zrobiwszy ponad dziesięć tysięcy mil, silnik był dopiero dobrze dotarty. I ani razu nie zawiódł ani nie zająknął się w czasie całej podróży.

Jechałem wybrzeżem Maine, przez Millbridge i Addison, i Machias, i Perry, i South Robbinston, póki wybrzeże się nie skończyło. Nigdy nie wiedziałem albo też zapomniałem, ile ze stanu Maine wystercza jak duży palec w Kanadę, z Nowym Brunswikiem po stronie wschodniej. Wiemy tak mało o naszej własnej geografii. Ba, Maine ciągnie się ku północy prawie aż do ujścia rzeki Świętego Wawrzyńca; jego górna granica przebiega ze sto mil na północ od Que-becu. A jeszcze jedną rzeczą, o której łaskawie zapomniałem, było, jak niewiarygodnie olbrzymia jest Ameryka. W miarę jak jechałem na północ przez małe miasteczka

i coraz większe lasy roztaczające się aż po horyzont, pora roku zmieniała się szybko i całkiem nieproporcjonalnie. Może dlatego, że oddalałem się od kojącej dłoni morza, a może i z tej racji, że posuwałem się bardzo daleko na północ. Widać było, że domy ucierpiały od śniegów, a wiele z nich było zawalonych i opustoszałych, wdeptanych w ziemię przez zimy. Poza miastami dostrzegało się ślady świadczące, że niegdyś mieszkali tu, bytowali i gospodarowali ludzie, którzy później zostali stąd przepędzeni. Lasy powracały na dawne miejsca, a tam, gdzie niegdyś jeździły wozy farmerów, teraz toczyły się tylko wielkie ciężarówki z drzewem. Zwierzyna także wróciła; na drogach błądziły jelenie i były tropy niedźwiedzi.

Istnieją obyczaje, postawy, mity, kierunki i przemiany, które wydają się należeć do samej struktury Ameryki.

I mam zamiar przedyskutować je tak, jak mi się nasunęły po raz pierwszy. Podczas owych dyskusji musicie wyobrazić mnie sobie jadącego po jakiejś wąskiej drodze albo stojącego przy moście czy też gotującego duży garnek fasoli z soloną wieprzowiną. Pierwsza z tych spraw łączy się z polowaniem. Nie mogłem pominąć polowania, nawet gdybym chciał, bo otwarcie sezonu jest ozdobą jesieni.

Odziedziczyliśmy wiele różnych zapatrywań po naszych niedawnych przodkach, którzy zmagali się z tym kontynentem niczym Jakub z aniołem, przy czym wygrywali pionierzy. Od nich przejęliśmy mniemanie, że każdy Amerykanin jest urodzonym myśliwym. I każdej jesieni ogromna liczba mężczyzn wyrusza, aby udowodnić, że bez uzdolnień, treningu, wiedzy czy praktyki są niezawodnymi strzelcami kulą czy śrutem. Rezultaty są potworne. Od chwili, gdy opuściłem Sag Harbor, strzelby grzmiały do przelatujących kaczek, a kiedy wjechałem do Maine, strzały sztucerowe po lasach wystraszyłyby każdą liczbę „czerwonych kurt”⁵, jeżeliby tylko nie wiedzieli,

co się dzieje. To mi z pewnością wyrobi złą opinię jako myśliwemu, ale muszę od razu powiedzieć, że nie mam nic przeciwko zabijaniu zwierząt. Przypuszczam, że coś musi je zabijać. Za młodu często pełzałem całe mile na brzuchu, w mroźnym wietrze, dla czystej chwały strzelenia łyski, która, nawet wymoczona w słonej wodzie, była kiepskim jedzeniem. Nie bardzo lubię dziczyznę, mięso niedźwiedzia, łosia czy jelenia, z wyjątkiem wątroby. Te przepisy, przyprawy, wino, wszystkie przygotowania, których wymaga dobre danie z dziczyzny, uczyniłyby rozkosz dla smakosza nawet ze starego kaptura. Gdybym był głodny, polowałbym z radością na wszystko, co biega, pełza czy fruwa, nawet na własnych krewnych, i rozrywałbym to zębami. Ale bynajmniej nie głód wypędza każdej jesieni miliony zbrojnych amerykańskich mężczyzn w lasy i góry, jak tego dowodzi wysoka częstotliwość zawałów serca wśród myśliwych. W jakiś sposób proceder polowania łączy się z męskością, tylko nie bardzo wiem jak. Wiadomo mi, że istnieje wielu dobrych i sprawnych myśliwych, którzy wiedzą, co robią, ale znacznie więcej jest zatytych dzentelmenów, zaprawionych whisky i uzbrojonych w potężne sztucery. Strzelają oni do wszystkiego, co się rusza albo wygląda, że może się ruszyć, a ich sukcesy w zabijaniu siebie nawzajem mogą zapobiec nadmiernemu przyrostowi ludności. Gdyby te nieszczęśliwe wypadki ograniczały się do nich samych, nie byłoby problemu, ale rzeź krów, świń, farmerów, psów oraz znaków drogowych czyni jesień niebezpieczną porą do podróżowania.

Pewien farmer na północy stanu Nowy Jork wymalował wielkimi czarnymi literami słowo KROWA na obu bokach swojej białej jałówki, ale myśliwi i tak ją odstrzelili. Kiedy przejeżdżałem przez Wisconsin, jeden z myśliwych strzelił własnemu przewodnikowi między łopatki. Urzędnik śledczy przesłuchujący tego nemroda zapytał:

- Czy pan go wziął za jelenia?
- Tak jest.
- Ale nie był pan pewien, że to jeleni?
- Ano, nie, proszę pana. Chyba nie.

Z uwagi na ten ruchomy ogień zaporowy trwający w Maine bałem się oczywiście o siebie. W dniu otwarcia sezonu zostały trafione cztery samochody, ale głównie lękałem się o Charleya. Wiem, że niektórym z tych myśliwych pudel mocno przypomina rogacza, toteż musiałem znaleźć jakiś sposób, żeby go ochronić. W Rosynancie miałem pudełko czerwonych bibulek „Kleenex”, które mi ktoś podarował. Owinąłem więc ogon Charleya czerwonym „Kleenexem”, który umocowałem gumowymi opaskami. Co rano zmieniałem tę jego flagę i nosił ją przez całą drogę na zachód, podczas gdy wokół nas świszczwały i bzykały kule. To wcale nie ma być dowcip. Stacje radiowe przestrzegały przed noszeniem białej chustki do nosa. Zbyt wielu łowców, widząc przebłysk bieli, brało chustkę za talerz pędzącego jelenia i jednym strzałem skutecznie leczyło jej właściciela z kataru.

Jednakże to dziedzictwo po ludziach z pogranicza nie jest niczym nowym. Kiedy jako dziecko mieszkałem na ranchu w pobliżu Salinas, w Kalifornii, mieliśmy kucharza Chińczyka, który regularnie robił na tym skromne, ale niezłe interesy. Na pobliskim wzgórzu leżał obalony pień sykomory, podparty dwiema ułamanymi gałęziami. Na ów nakrapiany, płowy kawał drewna zwróciły uwagę kucharza Li znajdujące się w nim otwory od kul. Przybił więc do jednego końca poroże jelenia, po czym wycofał się do swojej chaty aż do końca sezonu polowań. Następnie wydłubał otwór z tego starego pnia. W niektórych latach zbierał w ten sposób od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu funtów. Nie był to majątek, ale zawsze coś. Po kilku latach, kiedy drzewo było już kompletnie postrzelane, Li zastąpił je czterema jutowymi workami z

piaskiem oraz tym samym porożem. Wtedy było mu nawet łatwiej zbierać swój plon. Gdyby był wyłożył z pięćdziesiąt takich worków, zrobiłby majątek, ale Li był człowiekiem skromnym, który nie przepadał za produkcją masową.

Maine zdawało się ciągnąć bez końca. Czułem się tak, jak musiał czuć się Peary, kiedy się zbliżał do punktu, który brał za Biegun Północny. Chciałem jednakże zobaczyć okręg Aroostook, wielki północny okręg stanu Maine.

Są trzy wielkie rejony hodowli ziemniaków: Idaho, Suffolk na Long Island i Aroostook, ale nigdy nie spotkałem kogoś, kto by tam był. Mówiono mi, że plony zbierają Kanukowie * z Kanady, którzy przelewają się przez granicę w porze zbiorów. Moja droga wiodła bez końca lesistą okolicą, obok licznych jezior, jeszcze nie zamarzniętych. Jak tylko mogłem najczęściej wybierałem sobie małe, leśne drogi, które nie sprzyjają szybkości. Temperatura podniosła się, padało bez końca i lasy płakały. Charley nie obsychał w ogóle, a pachniał tak, jakby był zapleśniały. Niebo było koloru mokrego, szarego aluminium, a że nie miałem wskazówek w postaci prześwietlonej tarczy w miejscu, gdzie mogło być słońce, więc nie potrafiłem rozeznaczyć kierunku. Na krętej drodze mogłem pojechać na wschód, na zachód czy na południe zamiast na północ, tak jak chciałem. Stara błaga o tym, że mech rośnie na północnej stronie drzew, wydawała mi się kłamstwem, jeszcze kiedy byłem skautem. Mech rośnie na stronie ocienionej, która może być każdą stroną. Postanowiłem kupić kompas w następnym mieście, ale nie było następnego miasta na drodze, którą jechałem. Zapadały ciemności, deszcz bębnił po stalowym dachu szoferki, a wycieraczki szlochały łukami po szybie. Drogę obrzeżały wysokie, ciemne drzewa, napierając na żwir. Zdawało się, że minęły godziny, odkąd napotkałem jakiś samochód, dom czy skład, bo ta okolica była przywrócona lasowi. Opadło mnie uczucie przygnębiającej samotności - niemal przerażającej samotności. Charley, mokry i rozdygotany, wtulił się w kąć siedzenia i nie udzielał mi swego towarzystwa. Zatrzymałem się za dojazdem do betonowego mostu, ale nie mogłem znaleźć równego miejsca na pochyłym poboczu drogi.

Nawet w mojej kabinie było ponuro i wilgotno. Podkręciłem wysoko gaz, zapaliłem lampę naftową i dwa palniki piecyka, aby odpędzić samotność. Deszcz bębnił po metalowym dachu. Nic z mojego zapasu żywności nie wydawało się jadalne. Mrok zapadał i drzewa podsunęły się bliżej. Wydało mi się, że poprzez szumienie deszczu słyszę głosy jak gdyby tłumu ludzi pomrukującego i szemrającego gdzieś za sceną. Charley zaniepokoił się. Nie zaszczekał na alarm, ale warczał i skomlał niepewnie, co jest bardzo niepodobne do niego, nie zjadł kolacji i nie tknął miseczki z wodą - i to pies, który codziennie wypija tyle wody, ile sam waży, i potrzebuje tego ze względu na wydalanie. Poddałem się całkowicie zgnębieniu, zrobiłem sobie dwa sandwicze z masłem orzechowym, położyłem się do łóżka i zacząłem pisać listy do domu, ażeby jakoś rozproszyć moją samotność. A potem deszcz przestał padać, tylko drzewa ociekały, ja zaś przyczyniałem się do wylęgania całych zastępów tajemniczych niebezpieczeństw. O, potrafimy zaludnić ciemność straszliwościami, nawet my, którzy mamy siebie za oświeconych i bezpiecznych i nie wierzymy w nic, czego nie możemy wymierzyć czy odważyć. Wiedziałem ponad wszelką wątpliwość, że owe mroczne rzeczy cisnące na mnie albo w ogóle nie istnieją, albo też nie są groźne, a jednak się bałem. Rozmyślałem, jakie straszne musiały być noce w czasach, kiedy ludzie wiedzieli, że owe rzeczy naprawdę istnieją i że są zabójcze. Chociaż nie; tak nie jest.

* Francuzi kanadyjscy

Gdybym wiedział, że są, miałbym przeciwko nim broń, amulety, modlitwy, jakiś rodzaj sojuszu z mocami równie silnymi lecz będącymi po mojej stronie. Świadomość, że ich nie ma, sprawiała, że byłem wobec nich bezbronny i może bardziej przestraszony.

Dawno temu miałem małe ranczo w górach Santa Cruz w Kalifornii. W jednym miejscu las olbrzymich drzew madronio spletał swoje korony nad prawdziwym górskim jeziorkiem, czarnym, zasilanym przez źródło. Jeżeli jest coś takiego jak miejsce nawiedzane przez duchy, to właśnie ono nim było dzięki wątlęmu światłu, które się przesączało przez liście, i rozmaitym kruczkom perspektywy. Pracował u mnie wtedy Filipińczyk, człowiek z gór, niski, czarnowłosy, milczący, być może z Maorysów. Kiedyś, sądząc że musi pochodzić z ustroju plemiennego, który uznaje rzeczy niewidzialne za część rzeczywistości, zapytałem go, czy nie boi się owego miejsca, szczególnie nocą. Odpowiedział, że nie, ponieważ przed laty pewien czarownik dał mu amulet przeciwko złym duchom.

- Pokaż mi ten amulet - poprosiłem.
- Kiedy to są słowa - odrzekł. - Amulet słowny.
- A możesz mi je powtórzyć?
- Jasne - odparł i zaintonował: - *In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti.*
- Co to znaczy? - spytałem.

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem - odpowiedział. - To jest amulet przeciwko złym duchom, więc się ich nie boję.

Odczedziłem tę rozmowę z dziwnie brzmiącej hiszpańszczyzny, ale nie ma wątpliwości co do owego amuletu, który dla niego działał.

Leżąc w łóżku wśród płaczącej nocy, starałem się jak mogłem czytać, aby odsunąć z myśli zgnębienie, ale podczas gdy moje oczy przesuwwały się po linijkach wsłuchiwałem się w noc. Na progu snu poderwał mnie nowy odgłos, jak mi się wydało odgłos kroków zbliżających się ukradkowo po żwirze. Na łóżku obok mnie leżała latarka długości dwóch stóp, przeznaczona do polowania na szopy. Rzuca ona potężny promień światła co najmniej na milę. Wstałem z łóżka, wziąłem ze stojaka mój sztucer, stanąłem nasłuchując przy drzwiach Rosynanta - i dosłyszałem te kroki bliżej. Wtedy Charley wyryczał ostrzeżenie, ja zaś otworzyłem drzwi i oblałem drogę światłem. Stał tam człowiek w wysokich butach i żółtym nieprzemakalnym płaszczu. Światło przygwoździło go do miejsca.

- Czego pan chce? - zawołałem.

Musiał być zaskoczony. Trzeba mu było pewnej chwili, ażeby odpowiedzieć.

- Chcę wrócić do domu. Mieszkam tam dalej przy drodze.

Wtedy poczułem całą niedorzeczność i śmieszność tej sytuacji, która stopniowo się nawarstwiała.

- Może by pan napił się kawy albo whisky?
- Nie, już późno. Jeżeli pan zabierze mi to światło z twarzy, to sobie pójdę.

Zgasłem latarkę, a on zniknął, ale przechodząc powiedział:

- A właściwie co pan tutaj robi?
- Obozuję - powiedziałem. - Tylko na tę noc.

I zasnąłem w momencie, gdy ległem na łóżku.

Słońce świeciło, kiedy się obudziłem, a świat był odnowiony i lśniący. Jest tyle światów, ile rodzajów dni, i podobnie jak opal zmienia swoje kolory i błyski odpowiednio do natury dnia, tak dzieje się i ze mną. Nocne obawy i samotność odeszły tak daleko, że ledwie je pamiętałem.

Nawet Rosynant, choć brudny i oblepiony igłami sosnowymi, zdawał się skakać z radości po drodze. Teraz były wśród jezior i lasów otwarte pola, pola o tej miękkiej i sypkiej glebie, którą lubią kartofle. Płaskie ciężarówki załadowane pustymi beczkami po kartoflach, jechały drogami, a mechaniczna koparka wyładowała długimi rzędami bladokóre bulwy.

W języku hiszpańskim jest słowo, dla którego nie mogę znaleźć odpowiednika. Jest to czasownik vacilar, imiesłów czasu teraźniejszego: vacilando. Nie znaczy to bynajmniej „wahać się”. Ktoś, kto jest vacilando, udaje się dokądś, ale nie bardzo dba o to, czy tam dotrze czy nie, jakkolwiek zna kierunek. Mój przyjaciel, Jack Wagner, często przybierał w Meksyku taką postawę. Powiedzmy, że mieliśmy ochotę pospacerować po ulicach Mexico City, ale nie bez celu. Wybieraliśmy wtedy jakiś artykuł, którego niemal na pewno tam nie było, a potem pilnie usiłowaliśmy go znaleźć.

Chciałem dotrzeć do serca Maine, zanim skręcę na zachód. Wydawało się to nadawać podróży jakiś plan, a wszystko na świecie musi mieć plan, bo inaczej umysł ludzki to odrzuca. Ale prócz tego musi mieć cel, bo inaczej umysł ludzki przed tym się wzdraga. Maine było moim planem, a kartofle celem. Gdybym nie zobaczył ani jednego kartofla, moja pozycja vaciladora nie ucierpiałaby na tym. Okazało się jednak, że zobaczyłem niemal więcej kartofli, niż potrzebowałem zobaczyć. Widziałem góry kartofli - oceany - chyba więcej kartofli niż ludność całego świata zdołałaby spożyć w ciągu stu lat.

Widziałem wszędzie w kraju wielu wędrownych robotników zbierających kartofle: Hindusów, Filipińczyków, Meksykanów, mieszkańców Oklahomy, którzy opuścili swoje siedziby. Tu, w Maine, było bardzo wielu kanadyjskich Francuzów, którzy przybyli przez granicę na okres zbiorów. Przychodzi mi na myśl, że tak jak Kartagińczycy brali sobie najemników, ażeby za nich walczyli, my, Amerykanie, sprowadzamy najemników, aby wykonywali naszą ciężką i czarną robotę. Mam nadzieję, że nie pokonają nas pewnego dnia ludy, które nie będą za dumne czy za leniwe, czy za miękkie, ażeby pochylać się do ziemi i zbierać to, czym się żywimy.

Ci Kanukowie byli twardymi ludźmi. Przenosili się z miejsca na miejsce i obozowali całymi rodzinami albo grupami rodzin, może nawet klanami; mężczyźni, kobiety, chłopcy, dziewczęta, a także małe dzieci. Tylko niemowlęta nie pracowały przy zbieraniu kartofli i układaniu ich w beczkach. Amerykanie prowadzili ciężarówki i używali kołowrotów oraz czegoś w rodzaju wyciągów do załadowywania pełnych beczek na wozy. A potem odjeżdżali, ażeby złożyć plon w szopach, obkładając go z boków wysoko ziemią, aby zapobiec zamrożeniu.

Moja znajomość francuszczyzny Kanuków opiera się na filmach, zwykle z Nelsonem Eddy i Jeanette MacDonald, i sprowadza się głównie do powiedzenia „By gar *”. Dziwna rzecz, ale nie słyszałem ani jednego zbieracza kartofli mówiącego „By gar”, a przecież musieli oglądać te filmy i wiedzieć, co jest właściwe. Kobiety i dziewczęta nosiły spodnie, zwykle welwetowe, i grube swetry, i okrywały sobie głowy kolorowymi chustkami, ażeby zabezpieczyć włosy przed pyłem, który wzbija się z pól za najmniejszym podmuchem wiatru. Większość tych ludzi jeździła dużymi ciężarówkami, przykrytymi ciemnym brezentem, ale było też trochę przyczep i kilka camperów podobnych do Rosynanta.

Deformacja „By God” (Na Boga, jak Boga kocham).

W nocy niektórzy sypiali w ciężarówkach i przyczepach, ale mieli także namioty rozbite w przyjemnych miejscach, a zapachy dolatujące od ognisk wskazywały, że nie zatracili francuskiego talentu do przyrządzania zupy.

Na szczęście takie namioty, ciężarówki i dwie przyczepy usadowiły się nad brzegiem czystego i ładnego jeziora. Zaparkowałem Rosynanta o jakieś dziewięćdziesiąt pięć jardów dalej, ale także nad jeziorem. Potem nastawiłem kawę, wyjąłem z mojego kubła na śmieci bieliznę, która kotłowała się tam od dwóch dni, i na skraju jeziora wypłukałem z niej proszek do prania. Stosunek do obcych kształtuje się w sposób niepojęty. Wiatr wiał ku mnie od obozowiska i dolatywał stamtąd zapach zupy. Ci ludzie mogli być mordercami, sadystami, bestiami, szpetnymi, małpimi podludźmi, ale złapałem się na tym, że myślę: „Co to za mili ludzie, jacy sprawni, jacy są piękni. Jakże bym chciał ich poznać”. A wszystko to wywoływał smakowity zapach zupy.

Przy nawiązaniu kontaktów z obcymi moim ambasadorem jest Charley. Wypuszczam go, on zaś podsuwa się ku celowi czy raczej ku temu celowi, który przygotowuje obiad. Odwołuję go, żeby nie naprzykrzał się moim sąsiadom - et voilal Dziecko może zrobić to samo, ale pies jest lepszy.

Wszystko odbyło się tak gładko, jak tego można się spodziewać po wypróbowanym i wielokrotnie powtarzanym scenariuszu. Wysłałem swojego ambasadora i popijałem kawę dając mu czas na działanie. Następnie pomaszerowałem do obozu, aby uwolnić sąsiadów od natręctwa mojego nędznego kundla. Wyglądali przyjemnie, było ich kilkanaście osób nie licząc dzieci, trzy z dziewcząt ładne i skłonne do chichotów, dwie żony dorodne, a trzecia jeszcze dorodniejsza, w ciąży, jeden patriarcha, dwóch szwagrów oraz kilku młodych ludzi, którzy byli na drodze do zostania szwagrami. Jednakże czynnym przywódcą, oczywiście z całym szacunkiem dla patriarchy, był przystojny mężczyzna mniej więcej trzydziestopięcioletni, szeroki w ramionach i gibki, o dziewczęcej cerze koloru wiśni z kremem i kędzierzawych, czarnych włosach.

Powiedział, że pies nie naprzykrzał się wcale. A nawet zauważyli, że jest ładny. Ja oczywiście miałem do niego specjalny stosunek jako właściciel, pomimo jego braków, ale pies posiadał jedną wyższość nad innymi psami. Urodził się we Francji.

Grupa otoczyła mnie. Trzy ładne dziewczyny zachichotały i zostały natychmiast zgromione ciemnoniebieskim okiem przywódcy, wspartym syknieniem patriarchy.

Doprawdy? A gdzie we Francji?

W Bercy, na przedmieściach Paryża; może znają tę miejscowość?

Nie, niestety nigdy nie byli w ojczyźnie.

Mam nadzieję, że to naprawią.

Powinni byli poznać w Charleyu obywatela francuskiego po jego manierach. Obserwowali moją roulotte z zachwytem.

Jest prosta, ale wygodna. Jeżeli to im odpowiada, chętnie im ją pokażę.

Jeśli ten podniosły ton wskazuje wam, że rozmowa była prowadzona po francusku, to się mylicie. Przywódca mówił czystą i staranną angielszczyzną. Jedyнным francuskim słowem, jakiego użył, była roulotte. Między sobą rozmawiali językiem Kanuków. Moja francuszczyzna jest zresztą komiczna. Nie, ów podniosły ton należał do ceremoniału nawiązania stosunków. Przytrzymałem Charleya. Czy mógłbym ich oczekiwać po kolacji, która, jak czuję po zapachu, jest na ogniu?

Byliby zaszczyceni.

Uporządkowałem mój domek, podgrzałem i zjadłem puszkę fasoli z mięsem, upewniłem się, że piwo jest zimne, a nawet uzbierałem bukiet jesiennych liści i ustawiłem go na stole w butelce od mleka. Rulon papierowych kubeczków, zabrany

na taką właśnie okazję, został pierwszego dnia zgnieciony na płasko przez latający słownik, natomiast zrobiłem podkładki ze złożonych papierowych ręczników. Zdziwiająca rzecz, ile trudu człowiek sobie zadaje dla urządzenia przyjęcia. A potem Charley wprowadził ich szczekaniem i oto byłem gospodarzem we własnym domu. Przy moim stoliku może się ścisnąć sześć osób i tak też uczyniono. Dalsze dwie stały obok mnie, a tylne drzwi były oplecione wianuszkami dziecięcych twarzy. Byli to bardzo mili ludzie, ale ogromnie oficjalni. Otworzyłem piwo dla dorosłych, a lemoniadę dla stojących na dworze.

Tego wieczora opowiedzieli mi sporo o sobie. Przyjeżdżali zza granicy co roku na zbiory kartofli. Ponieważ pracowali wszyscy, dawało im to ładny zapasik pieniędzy na zimę. A czy miewali jakieś kłopoty z władzami imigracyjnymi na granicy? No nie. Przepisy jakoś rozluźniano w sezonie zbiorów, a poza tym wszystko ułatwiał im przedsiębiorca, któremu płacili niewielki procent od swoich zarobków. Nawet właściwie mu nie płacili. Inkasował pieniądze bezpośrednio od farmerów. W ciągu lat znałem wielu wędrownych robotników - tych z Oklahomy i nielegalnie przybywających na roboty z Meksyku, i Murzynów, którzy zjeżdżają do New Jersey i na Long Island. I gdziekolwiek ich spotykałem, zawsze stał za nimi jakiś przedsiębiorca, który im wszystko ułatwiał w zamian za wynagrodzenie. Przed laty farmerzy próbowali ściągać więcej sił roboczych, niż potrzebowali, ażeby móc obniżyć płace. To już się teraz nie zdarza, ponieważ agendy rządowe dopuszczają tylko tylu robotników, ilu potrzeba, a przestrzega się też pewnego minimum płacy. W innych przypadkach zmuszała tych robotników do wędrowki i pracy sezonowej nędza i straszne trudności.

Moi wieczorni goście z pewnością nie byli ani maltretowani, ani zagonieni. Ów klan, ułożywszy do snu zimowego swą małą farmę w prowincji Quebec, przekroczył granicę, aby zarobić niewielkie pieniądze na czarną godzinę. Przynieśli nawet ze sobą pewien wakacyjny nastrój, nieomal jak zbieracze truskawek i chmielu z Londynu i miast Midlandu w Anglii. Byli to ludzie twardzi i samodzielni, doskonale dający sobie radę.

Otworzyłem jeszcze trochę piwa. Po tamtej nocy rozpaczliwego osamotnienia dobrze mi było w otoczeniu tych ciepłych i przyjaznych, chociaż ostrożnych ludzi. Uruchomiłem studnię artezyjską życzliwości i wygłosiłem małą mówkę w mojej murzyńskiej francuszczyźnie. Zaczynała się ona od słów:

- Mesje dam. Je vous porte un cher souvenir de la belle France - en particulier du Département de Charente *

Byli wyraźnie zaskoczeni, ale zainteresowani. A potem John, ów przywódca, powoli przetłumaczył moją przemowę na gimnazjalną francuszczyznę, następnie zaś na kanadyjską.

- Charente? - zapytał. - Dlaczego Charente?

Pochyliłem się, otworzyłem szafeczkę pod zlewem i wyjąłem butelkę bardzo starego i czcigodnego koniaku, przeznaczonego na wesela, odmrożenia i ataki serca. John przestudiował etykietę z taką nabożną uwagą, z jaką dobry chrześcijanin mógłby się odnieść do Najświętszego Sakramentu. A jego słowa też były pełne czci.

- Jezu Chryste - powiedział. - Zapomniałem. Charente... przecież to tam jest Cognac.

Potem odczytał podany rok narodzin butelki i cicho powtórzył swoje pierwsze słowa.

Podał butelkę siedzącemu w kącie patriarsze, a starzec uśmiechnął się tak słodko, iż po raz pierwszy zobaczyłem, że brak mu przednich zębów. Szwagier zamruczał gardłowo, jak uszczęśliwiony kocur, a ciężarne damy zaświergotały

niczym alouettes ** do słońca. Podałem Johnowi korkociąg, a sam rozstawiłem moje kryształki - trzy plastikowe kubki do kawy, słoik od marmolady, miseczkę do golenia i kilka buteleczek od pigułek, z szerokimi szyjkami. Wysypałem pigułki na sosjerkę i splukałem pszeniczny zapach wodą z kranu. Koniak był bardzo, bardzo dobry i od pierwszego wyszeptanego: „*Santé*” oraz cmoknięcia po pierwszym łyku czuło się, jak Braterstwo Ludzi rośnie, aż wypełniło Rosynanta po brzegi - a i Siostrzaność także.

Odmówili drugiej kolejki, ja zaś nalegałem. Rozdział trzeciej nastąpił na zasadzie, że już za mało zostało, aby to chować. I wraz z nielicznymi kroplami trzeciej kolejki pojawiło się w Rosynancie to tryumfalne ludzkie czarodziejstwo, które jest szczęściem dla domu - czy w tym przypadku dla ciężarówki - dziewięć osób zebranych w kompletnym milczeniu, a dziewięć owych części tworzących całość równie pewnie, jak to, że moje ręce i nogi są częścią mnie, odrębną, lecz nierozdzielną. Rosynant nabrał blasku, którego nigdy w całości nie utracił.

Takiego nastroju nie można i nie powinno się przeciągać. Patriarcha dał jakiś sygnał. Moi goście wyśliznęli się ze swych ściśniętych miejsc za stołem i pożegnania odbyły się tak jak należy, krótko i oficjalnie. Potem odeszli w noc, a drogę powrotną oświetlał im przywódca John niosący blaszaną latarnię naftową. Szli w milczeniu wśród sennych, potykających się dzieci i tyle ich widziałem. Ale ich polubiłem.

Nie zaścielałem sobie łóżka, bo chciałem wyruszyć bardzo wcześnie. Skuliłem się za stołem i przedzemałem trochę, dopóki w mętym, fałszywym brzasku Charley nie zajrzał mi w twarz i nie powiedział: „Ftt”. Grzejąc sobie kawę napisałem kilka słów na kartoniku, a potem, mijając uśpiony obóz, zatrzymałem się i postawiłem butelkę na widocznym miejscu. Słowa te brzmiały: „*Enfant de France, Mort pour la Patrie*”***. Potem odjechałem najciszej, jak mogłem, bo tego dnia miałem zamiar udać się trochę na zachód, następnie zaś skręcić na długą drogę wiodącą na południe przez Maine. Bywają chwile, które człowiek zaskarbia sobie na całe życie, i takie chwile są wypalone wyraźnie i ostro na całym materiale wspomnień. Tego ranka czułem się bardzo szczęśliwy.

Podczas takiej podróży jak moja tyle jest do zobaczenia i do przemyślenia, że wypadki i myśli zapisane tak, jak się zdarzały, mąciłyby się i mieszały niby powoli gotujący się minestrone. Są miłośnicy map, dla których całą radością jest zwracać większą uwagę na arkusze kolorowego papieru niż na przesuwający się obok nich kolorowy krajobraz. Wysłuchiwałem relacji takich podróżników, w których zapamiętany był każdy numer szosy, utrwalona każda odległość w milach, a każda mała wioska odkryta. Inny rodzaj podróżnych musi dokładnie znać swoją pozycję na mapie w każdym momencie, jak gdyby było jakieś zabezpieczenie w czarnych i czerwonych kreskach, w kropkowanych liniach, w wijącym się błękitcie jezior i ciemnych plamach oznaczających góry. Ze mną tak nie jest. Urodziłem się zagubiony i nie czerpię przyjemności z odnajdywania się ani też wiele orientacji z zarysów, które symbolizują kontynenty i państwa. Poza tym w naszym kraju drogi tak często zmieniają się, wydłużają, są poszerzane albo wychodzą z użytku, że mapy należy kupować tak jak codzienne gazety.

*Przynoszę wam drogą pamiątkę z pięknej Francji, a w szczególności z Departamentu Charente (franc.).

** Skowronki (franc.).

*** Dziecię Francji, zginęło za ojczyznę (franc.).

Ponieważ jednak znam namiętności mapowców, doniosę wam, że jechałem na północ przez Maine, z grubsza po linii lub równoległe do autostrady US 1, przez Houlton, Mars Hill, Presque Isle, Caribou, Van Buren, potem skręciłem na zachód, ciągle tą samą autostradą, przez Madawaska, Upper Frenchville i Fort Kent, następnie wprost na południe autostradą stanową 11 przez Eagle Lake, Winterville, Portage, Squa Pan, Masardis, Knowles Corner, Patten, Sherman i Grindstone do Millinocket.

Mogę to zanotować, ponieważ mam przed sobą mapę, ale rzeczy, które zapamiętałem, nie mają żadnego związku z numerami, kolorowymi liniami i zawijasami. Przytoczyłem tu na odczepne to trasowanie, ale nie będę robił z tego zwyczaju. Tym, co pamiętam, są długie aleje okryte szrotem, farmy i domy zaparte w sobie przeciwko zimie, płaska, lakoniczna mowa z Maine w składach na skrzyżowaniach dróg, gdzie się zatrzymywałem, aby zakupić zapasy. Liczne jelenie, które przechodziły przez drogę na zwinnych nogach i odskakiwały jak piłka przed nadjeżdżającym Rosynantem. Huczące ciężarówki z drewnem. I wciąż pamiętam, że ten olbrzymi obszar był niegdyś o wiele bardziej zasiedlony, a teraz pozostawiono go nadpełzającemu lasowi, zwierzynie, obozowiskom drwali i zimnu. Duże miasta robią się coraz większe, a wsie coraz mniejsze. Wioskowy skład, czy to kolonialny, ogólny, czy z towarami żelaznymi albo odzieżą, nie może współzawodniczyć /. supermarketem i organizacją sklepów seryjnych. Nasz ulubiony i nostalgiczny obraz wiejskiego domu towarowego, tego nowinkarskiego składu, gdzie świadomi rzeczy rolnicy zbierali się, by wypowiadać opinie i formułować charakter narodowy, zanika bardzo prędko. Ludzie, którzy niegdyś bronili rodzinnych fortec przeciwko wiatrom i niepogodzie, przeciwko plagom mrozu, zawiei i wrogich owadów, obecnie tulą się do pracowitego łona dużego miasta.

Nowy Amerykanin widzi swój żywioł i zamięłowanie w zapchanych pojazdami ulicach, niebie spowitym w wyziewy, dławionym fabrycznymi kwasami, w syku opon, w domach szczepionych jeden z drugim, a tymczasem miasteczka wędną i umierają. I przekonałem się, że to się sprawdza zarówno w Teksasie, jak w Maine. Clarendon ustępuje przez Amarillo, tak samo jak Stacyville w Maine wykrwawia swoją substancję w Millinocket, gdzie tnie się kłocę drzewne, powietrze cuchnie chemikaliami, rzeki są zamulone i zatrute, a ulice roją się od szczęśliwego, spieszącego plemienia. Nie mówię tego w charakterze krytyki, ale jako obserwację. I jestem pewien, że jak wahadło odwraca swój ruch, tak i obrzmiałe miasta rozerwą się w końcu niczym pękające łona i rozsypią swe dzieci z powrotem na wieś. To proroctwo wspiera tendencja bogatych do czynienia tego już teraz. A tam gdzie wskazują drogę bogaci, podążą i biedni albo też popróbują.

Przed kilku laty kupiłem w magazynie Abercrombiego i Fitcha wabik na bydło - klakson samochodowy uruchamiany dźwigienką, za pomocą którego można imitować nieomal wszystkie krowie uczucia, od słodkiego pobekiwania romantycznej jałówki do dudniącego ryku byka w pełnym rozkwicie i jurności swego bykostwa. Miałem to urządzenie na Rosynancie i było bardzo skuteczne. Kiedy rozlega się jego wezwanie, każdy okaz rogacizny w zasięgu głosu podnosi łeb znad trawy i rusza w tym kierunku.

W srebrzystym chłodzie popołudnia, kiedy huśtałem się i podskakiwałem na wyboistej nawierzchni leśnej drogi, spostrzegłem cztery samice łosi sunące z dostojną ociężałością w poprzek maski mojego wozu. Gdy podjechałem bliżej, ruszyły ciężko uginającym się truchtem. Pod wpływem nagłego impulsu nacisnąłem dźwigienkę wabika i rozległ się ryk niczym byka Miura stojącego na arenie przed runięciem na motylową płachtę w swej pierwszej veronica. Panie, które już miały

zniknąć w lesie, usłyszały ów głos, zatrzymały się, obróciły, po czym ruszyły na mnie z rosnącą szybkością oraz, jak mi się wydało, z romansowością w oczach - ale jednak cztery romansowości, każda ważąca dobrze ponad tysiąc funtów! I chociaż jestem wielkim zwolennikiem miłości we wszystkich jej aspektach, nacisnąłem akcelerator i szybko się stamtąd wyniosłem. I przypomniałem sobie opowiadanie wielkiego Freda Allena. Bohaterem jego był człowiek z Maine rozprawiający o polowaniu na łosie.

„Usiadłem na pniu, zadałem w mój wabik i czekam. Nagle poczułem coś w rodzaju ciepłej maty kąpielowej na karku i głowie. Otóż była to kłepa, która mnie lizała, a w oczach miała błysk namiętności”.

„No i ustrzelełeś ją?” - zapytano go.

„O, nie. Odszedłem stamtąd prędko, ale nieraz sobie myślałem, że gdzieś w Maine jest kłepa ze złamanym sercem”.

W Maine zjeżdża się równie długo w dół, jak jedzie pod górę, może nawet dłużej. Mogłem i powinienem był wstąpić do Parku Baxtera, ale nie wstąpiłem. Marudziłem za długo, robiło się zimno i nachodziły mnie wizje Napoleona pod Moskwą i Niemców pod Stalingradem. Wycofałem się więc zrzecznie - przez Brownville Junction, Milo, Dover--Foxcroft, Guilford, Bingham, Skowhegan, Mexico do Rumford, gdzie wjechałem na tę szosę, którą już przejeżdżałem przez Góry Białe. Może to było z mojej strony słabością, ale chciałem przedostać się dalej. Rzeki od brzegu do brzegu, całymi milami, były pełne kłoców, oczekujących swojej kolei do rzeźni, gdzie miały oddać drewnianego ducha po to, by takie bastiony naszej cywilizacji, jak magazyn „Time” i „Daily News”, mogły się utrzymać i bronić nas przed ciemnotą. Miasta tartaczne są z przeproszeniem kłębowiskiem robactwa. Wyjeżdżasz ze spokojnej, wiejskiej okolicy i nagle już tobą miota i targa wyjący huragan ulicznego ruchu. Przez jakiś czas torujesz sobie na oślep drogę w obłędnym natłoku szczękającego metalu, po czym to nagle zamiera i znowu jesteś wśród cichej, pogodnej wsi. I nie ma żadnego krańca ani stopniowego przejścia. Jest to tajemnica, ale radosna.

W ciągu krótkiego czasu, który minął, odkąd tędy jechałem, drzewa w Górach Białych zmieniły się i obnażyły. Liście opadły, kłębiły się oblepione śniegiem. Jechałem długo i zaciekle ku wielkiemu niezadowoleniu Charleya. Wielokrotnie mówił do mnie: „Ftt”, ale nie zwracałem na niego uwagi, tylko parłem dalej przez wzniesiony kciuk New Hampshire. Tęskniłem do kąpieli, świeżego łóżka, drinka i odrobiny kontaktu z ludźmi i przypuszczałem, że znajdę to nad rzeką Connecticut. Bardzo to dziwne, że kiedy postawimy sobie jakiś cel, trudno do niego nie dążyć, nawet jeżeli to jest niedogodne czy wręcz niepożądane. Droga była dłuższa, niż myślałem, ja zaś bardzo zmęczony. Moje lata domagały się ode mnie uwagi bólem ramion, ale zdążyłem do rzeki Connecticut i nie baczyłem na zmęczenie, co było całkowitym nonsensem.

Zrobiło się już prawie ciemno, kiedy znalazłem miejsce, którego szukałem, niedaleko Lancaster w New Hampshire. Rzeka była tam szeroka i przyjemna, obrzeżona drzewami i ładną łąką. A niedaleko brzegu stało to, o czym marzyłem - rząd schludnych, białych domków na tej zielonej łące przy rzece oraz niewielki, dobrze pomyślany lokal śniadaniowy z kantorem i napisem przy szosie, na którym widniały upragnione słowa: „Otwarte” i „Wolne pokoje”. Skręciłem Rosynantem z drogi i otworzyłem drzwi szoferki, żeby wypuścić Charleya.

Przedwieczorne światło przemieniało w lustra okna kantoru i pokoju śniadaniowego. Całe ciało bolało mnie po jeździe, kiedy otwierałem drzwi i wchodziłem do środka. Nie było tam żywej duszy. Książka meldunkowa leżała na

biurku, przy kontuarze stały stołki, pod plastikowymi pokrywami były placki i ciastka, lodówka buczała, kilka brudnych talerzy moczyło się w mydlinach w zlewie z nierdzewnej stali, do którego powoli kapła woda z kranu.

Nacisnąłem mały dzwonek na biurku, potem zawołałem:

- Jest tu kto?

Żadnej odpowiedzi, nic. Usiadłem na stołku, aby poczekać na powrót kierownika. Numerowane klucze do małych białych domków wisiały na tabliczce. Światło dzienne uciekało i w lokalu robiło się ciemno. Wyszedłem na dwór, aby zabrać Charleya i sprawdzić, czy, tak jak mi się wydawało, napis głosił: „Otwarte” i „Wolne pokoje”. Zapadały już ciemności. Wyjąłem latarkę i przepatrzyłem kantor w poszukiwaniu kartki ze słowami: „Wracam za dziesięć minut”, ale jej nie było. Czułem się dziwnie, jak intruz; tu nie było moje miejsce. Potem wyszedłem, zjechałem Roeynantem z podjazdu, nakarmiłem Charleya, zrobiłem sobie kawę i czekałem.

Byłoby proste wziąć klucz, zostawić na biurku notatkę, że to zrobiłem, i otworzyć któryś z tych małych domków. Ale to nie byłoby w porządku. Nie mogłem tego uczynić. Szosą przejechało kilka wozów kierując się na most na rzece, ale żaden tu nie skręcił. Okna kantoru i baru rozbłyskały od zbliżających się reflektorów, by zaraz znowu poczerwieć. Planowałem sobie przedtem, że zjem lekką kolację i zwałę się, zmordowany jak pies, do łóżka.

Posłałem własne łóżko, stwierdziłem, że mimo wszystko nie jestem głodny, i położyłem się. Jednakże sen nie chciał przyjść. Nasłuchiwałem, czy ktoś z kierownictwa nie wraca. W końcu zapaliłem lampę gazową i spróbowałem czytać, lecz nasłuchując nie mogłem podążać za słowami. Wreszcie zdrzemnąłem się, obudziłem w ciemnościach, wyrząłem - nic, nikogo. Mój wąty sen był niespokojny i przerywany.

O świcie wstałem i przygotowałem długie, powolne, marnotrawiące czas śniadanie. Słońce wstało i zaglądało w okna. Zszedłem do rzeki, aby dotrzymać Charleyowi towarzystwa. Wróciłem, nawet ogoliłem się i obmyłem gąbką w wiadrze. Słońce było już teraz wysoko. Poszedłem do kantoru. Lodówka brzęczała, kran ciurkał do mydlin w zlewie. Nowo narodzona, ciężkoskrzydła, tłusta mucha pełzała z irytacją po plastikowej pokrywie placków.

O wpół do dziesiątej odjechałem i nikt się nie zjawił, nic się nie poruszyło. Napis wciąż głosił: „Otwarte” i „Wolne pokoje”. Przejechałem przez żelazny most szcękając stalowymi płytami nawierzchni. Ten pusty lokal niepokoił mnie głęboko i właściwie czyni to nadal.

Podczas tej długiej podróży wątpliwości były często moimi towarzyszami. Zawsze podziwiałem tych reporterów, którzy potrafią zjechać na jakiś teren, porozmawiać z kluczowymi ludźmi, zadać kluczowe pytania, wziąć próbki opinii, a potem napisać uporządkowane sprawozdanie, bardzo podobne do mapy drogowej. Zazdroszczę tej techniki, a jednocześnie nie mam do niej zaufania jako do zwierciadła rzeczywistości. To, co tu piszę, jest prawdziwe póty, póki ktoś inny nie przejedzie tą drogą i nie poprzestawia świata na własną modłę. W krytyce literackiej krytyk nie ma innego wyboru, jak tylko przerobić ofiarę swojej uwagi na coś, co będzie miało kształt i rozmiary jego samego.

Nie łudzę się, że w niniejszej relacji operuję elementami stałymi. Dawno temu byłem w starożytnym mieście Pradze i jednocześnie był tam Joseph Alsop, cieszący się zasłużoną sławą krytyka miejsc i wydarzeń. Rozmawiał z dobrze poinformowanymi ludźmi, z urzędnikami, ambasadorami, czytał sprawozdania, nawet rozporządzenia i cyfry, podczas gdy ja w swój niedbały sposób wałęsałem się z aktorami, Cyganami, włóczęgami. Joe i ja wracaliśmy tym samym samolotem do

Ameryki i po drodze opowiedział mi o Pradze, i jego Praga nie miała nic wspólnego z miastem, które widziałem i słyszałem. Po prostu nie była tym samym miejscem, a przecież obaj jesteśmy uczciwi, żaden z nas nie jest kłamcą, jeden i drugi jest według wszelkich kryteriów dosyć dobrym obserwatorem, i przywieźliśmy do domu dwa miasta, dwie prawdy. Z tej przyczyny nie mogę zalecać niniejszej relacji jako Ameryki, którą sami znajdziecie. Tyle tam jest do zobaczenia, ale nasze poranne oczy opisują inny świat niż oczy popołudniowe, a już z pewnością nasze znużone oczy wieczorne mogą jedynie odtworzyć znużony, wieczorny świat.

W niedzielę rano w jednym z miasteczek Vermontu, mojego ostatniego dnia w Nowej Anglii, ogoliłem się, włożyłem garnitur, wyczyściłem buty, pobielłem swój grób i rozejrzałem się za jakimś kościołem. Kilka wyeliminowałem z przyczyn, których już dziś nie pamiętam, ale ujrawszy kościół Johna Knoxa zjechałem w boczną ulicę, zaparkowałem Rosynanta w niewidocznym miejscu, wydałem Charleyowi instrukcje co do pilnowania wozu i ruszyłem z godnością do kościoła zbudowanego z oślepiająco białych desek. Zasiadłem w głębi nieskazitelnego, wypolerowanego przybytku kultu. Modlitwy były celne, ponieważ zwracały uwagę Wszechmocnego na pewne słabostki oraz nie-boskie skłonności, które, jak mi wiadomo, posiadam, i które, jak mogę jedynie przypuszczać, były również udziałem innych zgromadzonych tam ludzi.

Nabożeństwo zrobiło sporo dobrego memu sercu i, mam nadzieję, mojej duszy. Od dawna już nie słyszałem takiego podejścia. Obecnie jest u nas przyjęte, przynajmniej w dużych miastach, dowiadywać się od naszego psychiatrycznego duchowieństwa, że grzechy nasze nie są właściwie wcale grzechami, tylko przypadkami wprawianymi w ruch przez siły, nad którymi nie mamy panowania. W owym kościele nie było żadnych takich bzdur. Pastor, żelazny człowiek o oczach ze stali narzędziowej i sposobie przemawiania przypominającym świder pneumatyczny, zaczął od modlitwy, po czym zapewnił nas, że jesteśmy ogromnie żalną zgrają. I miał rację. Już na początku byliśmy niewiele warci, a dzięki naszym niestawnym wysiłkom staczaliśmy się stale od tej pory. Następnie, zmiękczony nas, przeszedł do wspaniałego kazania, całego z ognia i siarki piekielnej. Udowodniwszy, że my wszyscy, czy może tylko ja, jesteśmy nic a nic nie warci, odmalował z chłodną pewnością to, co nas czeka, jeżeli nie dokonamy jakiejś podstawowej reorganizacji, na którą żywił niewielką nadzieję. Mówił o piekle jak znawca, nie o tym cikliwym piekle z dawnych, miękkich czasów, ale o dobrze opalonym, rozgrzanym do białości piekle, obsługiwanym przez techników pierwszej klasy. Ów wielebny ukazał je w sposób dla nas zrozumiały - porządny ogień antracytowy, dobry ciąg oraz ekipa diablów od pieców martenowskich, którzy wkładają serce w swoją robotę, a ich robota to ja.

Zacząłem czuć się doskonale. Od szeregu lat Bóg był naszym kumplem praktykującym bliskie współzycie, a to wywołuje taką samą pustkę, jak ojciec grający z synem w piłkę. Natomiast ten vermoncki Bóg na tyle o mnie dbał, że zadawał sobie masę trudu, ażeby wybić ze mnie piekło. Ukazał mi moje grzechy w nowej perspektywie.

O ile dotąd były drobne, nędzne, paskudne i prędko zapominane, to pastor ów nadał im jakiś wymiar, dojrzałość i godność. Już od lat nie myślałem o sobie za dobrze, ale skoro moje grzechy miały takie wymiary, to pozostawało mi trochę dumy. Nie byłem niegrzecznym dzieckiem, ale pierwszorzędnym grzesznikiem i miałem dostać za swoje.

Poczułem się tak odrodzony na duchu, że położyłem na tacę pięć dolarów, a potem, przed kościołem, gorąco uściśkałem dłoń pastorowi i tyłu wiernym, ilu zdołałem. Miałem piękne poczucie złego postępowania, które trwało bez przerwy aż

do wtorku. Zastanawiałem się nawet, czy nie zbić Charleya, ażeby jemu także dać jakąś satysfakcję, ponieważ Charley jest tylko odrobinę mniej grzeszny ode mnie. W całym kraju chodziłem w niedziele do kościołów, co tydzień innego wyznania, lecz nigdzie nie znalazłem kogoś podobnego do tego kaznodziei z Vermontu. Ukuł on religię pomyślaną tak, aby była trwała, a nie jakąś z góry przewidzianą dezaktualizację.

Wjechałem w stan Nowy Jork pod Rouses Point i trzymałem się jak mogłem najbliżej jeziora Ontario, bo moim zamiarem było obejrzeć wodospady Niagary, których nigdy nie widziałem, potem zaś wśliznąć się do Kanady, od Hamiltonu do Windsoru, mając jezioro Erie na południe od siebie, i wynurzyć się w Detroit - coś w rodzaju wypadu z piłką nożną dokoła własnego skrzydła, mały tryumf nad geografiami.

Wiemy, rzecz jasna, że każdy z naszych stanów jest indywidualnością i że się tym szczyli. Nie poprzestając na swoich nazwach, dobierają sobie jeszcze tytuły opisowe

Stan Imperialny, Stan Ogrodowy, Stan Granitowy - tytuły noszone z dumą i niezbyt skłonne do skromności. Teraz jednakże uprzytomniłem sobie po raz pierwszy, że każdy stan ma również swój indywidualny styl prozy, ostro uwypuklony w jego napisach drogowych. Przekraczając granicę stanu uświadamiamy sobie tę zmianę języka. Nowa Anglia używa zwięzłej formy pouczenia, skąpego, lakonicznego stylu, nie trwoniącego słów i tylko niewiele liter. Stan Nowy Jork krzyczy do nas przez cały czas. Rób to. Rób tamto. Zjedź w lewo. Zjedź w prawo. Co kilka kroków władczy rozkaz. W Ohio napisy są bardziej dobrotliwe. Oferują przyjazną radę i raczej przypominają sugestie. Niektóre stany posługują się napuszonym stylem, który z największą łatwością może was wywieść na manowce. Są stany, które wam mówią, czego możecie spodziewać się przed sobą, jeżeli idzie o warunki drogowe, podczas gdy inne pozwalają wam przekonać się o tym samemu. Prawie wszystkie porzuciły przysłówki na rzecz przymiotnika. Jazda wolna. Prawy skręt.

Jestem chciwym czytelnikiem wszelkich napisów i uważam, że proza stanowa osiąga swoją najwyższą świetność i jest najbardziej liryczna w tablicach historycznych. Stwierdziłem następnie, przynajmniej ku własnej satysfakcji, że te stany, które mają najkrótszą historię i najmniej wstrząsających światem wydarzeń, posiadają najwięcej tablic historycznych. Niektóre stany zachodnie czerpią chwałę nawet z na wpół zapomnianych morderstw i włamań do banków. Miasta, które nie chcą pozostać w tyle, dumnie obwieszczają o swoich sławionych synach, tak że podróżny informowany jest napisami i transparentami: Miejsce Urodzenia Elvisa Presleya, Cole Portera, Alana P. Hugginsa. Nie jest to oczywiście niczym nowym.

O ile sobie przypominam, małe miasta w starożytnej Grecji spierały się zajadle, które z nich było miejscem urodzenia Homera. Za mojej pamięci oburzeni obywatele rodzinnego miasta Sinclaira Lewisa chcieli go dostać w swoje ręce, aby wynurzać go w smole i pierzu, kiedy napisał „Ulicę Główną”. A dzisiaj Sauk Centre chełpi się tym, że go wydało. Jako naród jesteśmy równie złaknieni historii jak Anglia w czasach, gdy Geoffrey z Monmouth sklecił swoją „Historię Królów Brytyjskich”, z których wielu sfabrykował, ażeby zaspokoić rosnące zapotrzebowanie. A tak jak w stanach i gminach, podobnie i u poszczególnych Amerykanów istnieje głód godnego powiązania z przeszłością. Genealodzy zapracowują się na śmierć, przesiewając usypiska przodków w poszukiwaniu ziaren wielkości. Niedawno temu udowodniono, że Dwight D. Eisenhower pochodzi od królewskiej linii brytyjskiej, co jest dowodem, gdyby takiego było potrzeba, że każdy pochodzi od każdego. Małe naówczas miasteczko, w którym się urodziłem, a które za pamięci mojego dziadka było kuźnią na bagnach, przypomina corocznym ceremoniałem o świetnej przeszłości pełnej hiszpańskich donów i pogryzających róże seniorit, którzy, jak wszyscy pamiętają,

starli z powierzchni ziemi małe, opuszczone plemię żywiących się czerwiami i konikami polnymi Indian, będących tam prawdziwymi, pierwszymi osadnikami.

Uważam, że jest to interesujące, ale musi też budzić podejrzenia co do historii jako kroniki rzeczywistych wydarzeń. Rozmyślałem o tych sprawach czytając rozsiane po kraju tablice historyczne, rozmyślałem o tym, jak mit zaciera fakty. Na bardzo niskim szczeblu proces powstawania mitu jest następujący. Podczas odwiedzin w mieście, gdzie przyszedłem na świat, rozmawiałem z pewnym bardzo starym człowiekiem, który mnie znał w dzieciństwie. Pamiętał żywo, jak mnie widział - cherlawe, drżące dziecko - przechodzącego pewnego mroźnego poranka przed jego domem, w lichym paletku zapiętym agrafkami na drobnej piersi. To w swoim skromnym zakresie jest samą istotą mitów - biedne i cierpiące dziecko, które się wznosi do chwały, w ograniczonej skali, rzecz jasna. Jakkolwiek nie przypominałem sobie tego epizodu, wiedziałem, że nie mógł być prawdziwy. Moja matka była namiętą przyszywaczką guzików. Brak guzika był czymś więcej niż niechlujstwem; był grzechem. Gdybym zapiął się na agrafki, matka by mnie obijała. Historia owa nie mogła być prawdziwa, ale ten stary pan tak sobie ją upodobał, że nigdy nie zdołałbym przekonać go o jej fałszywości, więc nawet nie próbowałem. Jeżeli moje rodzinne miasto chce mnie mieć w agrafkach, to żadne moje wysiłki tego nie zmienią, a w szczególności prawda.

Deszcz padał w stanie Nowy Jork, Stanie Imperialnym, padał zimny i bezlitosny, jak by powiedzieli autorzy napisów drogowych. W istocie, wobec tej ponurej ulewy moje zamierzone obejrzenie wodospadów Niagary wydawało się zbędne. Z kolei beznadziejnie zabłądziłem w ulicach małego, ale nie kończącego się miasteczka, bodajże w okolicach Medyny. Zjechałem na bok jezdni i wyciągnąłem mój atlas drogowy. Ale na to, żeby ustalić, dokąd się jedzie, trzeba wiedzieć, gdzie się jest, a tego nie wiedziałem. Okna szoferki były szczelnie zamknięte i zamazane strumieniami deszczu. Radio samochodowe grało cicho. Nagle zapukano w szybę, drzwi rozwarły się gwałtownie i jakiś człowiek wsunął się na siedzenie obok mnie. Był mocno czerwony na twarzy, a jego oddech mocno pachniał whisky. Czerwone szelki podtrzymywały mu spodnie, a długi szary podkoszulek okrywał pierś.

- Zamknij pan to draństwo - powiedział, po czym sam wyłączył radio. - Moja córka zobaczyła pana z okna - ciągnął - i pomyślała, że pan jesteście w kłopotcie. - Spojrzał na moje mapy. - Wyrzuć pan to. No, dokąd pan chcesz jechać?

Nie wiem, dlaczego tak jest, że człowiek nie może odpowiedzieć zgodnie z prawdą na tego rodzaju pytanie.

Prawda wyglądała tak, że skręciłem z dużej szosy nr 104 na mniejsze drogi, ponieważ ruch był ogromny i przejeżdżające pojazdy chlustały mi płachtami wody na szybę przednią. Chciałem jechać do wodospadów Niagary. Dlaczego nie mogłem się do tego przyznać? Popatrzyłem na mapę i powiedziałem:

- Chcę jechać do Erie w Pensylwanii.

- Dobra - odrzekł. - No, wyrzuć pan te mapy. A teraz zawróć pan, miń dwa światła, to pan dojedziesz do Egg Street. Wtedy trzeba skręcić w lewo, ujechać tą ulicą ze dwieście jardów i skręcić pod kątem w prawo. Tam jest taka kręta uliczka i dojedziesz pan nią do wiaduktu, ale nie wjeżdżaj pan na niego. Skręcisz pan w lewo, a to będzie szło takim łukiem... Widzisz pan? O, tak - jego ręka zatoczyła łuk. - No i jak droga się wyprostuje, dojedziesz pan do miejsca, gdzie są trzy rozwidlenia. Przy lewym stoi duży czerwony dom, to tam pan nie jedź, tylko w prawo. No, dotąd pan się połapałeś?

- Jasne - odparłem. - To proste.

- Powtórz pan, żeby wiedział, że pan dobrze pojedziesz.

Przestałem słuchać już przy tej krętej drodze. Powiedziałem:

- Może pan lepiej powie mi jeszcze raz.

- Takem i myślał. Zawróć pan w prawo, miń dwa światła do Egg Street, skręć w lewo po dwustu jardach, a potem w prawo pod kątem, w krętą uliczkę, póki pan nie zobaczysz wiaduktu, ale na niego nie wjeżdżaj.

- Teraz już wszystko jasne - powiedziałem szybko. - Naprawdę panu dziękuję za pomoc.

- Psiakrew - odpowiedział - jeszcze pana nawet nie wyprowadziłem z miasta.

Ano, wyprowadził mnie z miasta trasą, przy której, gdybym ją potrafił zapamiętać, nie mówiąc już o przejechaniu, droga poprzez Labirynt w Knossos wydałaby się arterią przelotową. Kiedy już wreszcie się zadowolił i przyjął podziękowania, wysiadł i zatrzasnął drzwi, ale takie jest moje towarzyskie tchórzostwo, że istotnie zawróciłem wiedząc, iż będzie mnie obserwował z okna. Objechałem dwie przecznice i na ślepo trafiłem z powrotem na numer 104, nie bacząc już na ruch pojazdów.

Wodospady Niagary są bardzo ładne. Przypominają powiększoną wersję tej starej reklamy Bonda na Times Square. Bardzo się cieszę, że je zobaczyłem, bo odtąd, jeżeli mnie zapytają, czy widziałem wodospady Niagary, będę mógł oświadczyć, że tak, i przynajmniej raz powiedzieć prawdę.

Kiedy mówiłem mojemu doradcy, że jadę do Erie w Pensylwanii, ani mi to było w głowie, ale jak się okazało, tam właśnie jechałem. Moim zamiarem było przesunąć się szyć Ontario pozostawiając z boku nie tylko Erie, ale Cleveland i Toledo.

Wiem z długiego doświadczenia, że podziwiam wszystkie narody, a nienawidzę wszystkich rządów, a ten mój wrodzony anarchizm nigdzie nie rozbudza się bardziej niż na granicach krajów, gdzie cierpliwi i sprawni urzędnicy wypełniają swoje obowiązki w dziedzinie imigracji i ceł. Nigdy w życiu niczego nie przeszmygłowałem. Dlaczego więc mam nieprzyjemne uczucie winy zbliżając się do bariery celnej?

Przejechałem wysoki most graniczny, minąłem ziemię niczyją i dotarłem do miejsca, gdzie Gwiazdzisty Sztandar stał ramię w ramię z Union Jackiem. Kanadyjczycy byli bardzo mili. Zapytali, dokąd jadę i na jak długo, obejrzeni pobieżnie Rosynanta i wreszcie doszli do Charleya.

- Czy pan ma zaświadczenie, że pies jest szczepiony przeciwko wścieklicznie?
- Nie, nie mam. Panowie widzą, że to jest stary pies. Był szczepiony dawno temu.

Wyszedł inny urzędnik.

- W takim razie radzimy panu nie przekraczać z nim granicy.
- Ale ja tylko przejeżdżam przez mały kawałek Kanady i wracam do Stanów.
- Rozumiemy - odpowiedzieli uprzejmie. - Pan może go wziąć do Kanady, ale Amerykanie nie wpuszczają go z powrotem.
- Przecież praktycznie jestem nadal w Stanach Zjednoczonych i nie ma żadnych zastrzeżeń.

- Będą, jeżeli pies przejedzie linię graniczną i spróbuje wrócić.

- No, a gdzie bym go mógł zaszczepić?

Tego nie wiedzieli. Musiałbym cofnąć się co najmniej dwadzieścia mil, znaleźć weterynarza, zaszczepić Charleya i potem wrócić. Kierowałem się tędy tylko po to, żeby zaoszczędzić trochę czasu, a to by przekreśliło ten zaoszczędzony czas i jeszcze znacznie więcej.

- Proszę, niech pan zrozumie: tu idzie o wasz rząd, nie nasz. My panu po prostu radzimy. Takie są przepisy.

Myślę, że właśnie dlatego nienawidzę rządów, wszystkich rządów. Zawsze jest jakiś przepis, jakieś rozporządzenie wykonywane przez ludzi od rozporządzeń. Nie ma z czym walczyć, żadnego muru, w który można by walić zawiedzionymi pięściami. Wysoce pochwalam szczepienia, uważam, że powinny być przymusowe; wściekliczna to straszna rzecz. A jednak poczułem, że nienawidzę tego przepisu i wszystkich rządów wydających przepisy. Nie zastrzyki są ważne, tylko zaświadczenie. I tak zwykle bywa z rządami - idzie nie o fakt, ale o świstek papieru.

Ci ludzie byli mili, przyjaźni i życzliwi. Na granicy był mały ruch. Poczęstowali mnie filiżanką herbaty, a Charleyowi dali z pół tuzina ciasteczek. I wydawali się szczerze zatroskani, że z braku papierka muszą jechać do Erie w Pensylwanii. Zawróciłem więc i ruszyłem ku Gwiazdzystemu Sztandarowi i innemu rządowi. Przy wyjeździe nie

musiałem się zatrzymać, ale teraz szlaban był opuszczony.

- Czy pan jest obywatelem amerykańskim?
- Tak. Proszę; to mój paszport.
- Ma pan coś do zadeklarowania?

- Ja wcale nie wyjeżdżałem.
- Ma pan dla psa zaświadczenie szczepienia przeciwko wścieklicznie?
- On także nie wyjeżdżał.
- Przecież pan jedzie z Kanady.
- Wcale nie byłem w Kanadzie.

Spostrzegłem, że w jego oczach pojawia się stał, a brwi opuszczają się do poziomu podejrzliwości. Nie było mowy o zaoszczędzeniu czasu; wyglądało na to, że stracę go znacznie więcej niż nawet na jazdę do Erie w Pensylwanii.

- Może pan pozwoli do urzędu.

Ta prośba wywarła na mnie takie wrażenie jak gestapowskie zapukanie do drzwi. Budzi to panikę, gniew i poczucie winy, czy zrobiłem coś złego, czy nie. Mój głos przybrał przenikliwy ton cnotliwego oburzenia, który automatycznie rodzi podejrzenie.

- Proszę do urzędu.

Mówię panu, że nie byłem w Kanadzie. Gdyby pan patrzył, widziałby pan, że zawróciłem.

- Pan pozwoli tędy.

A potem do telefonu:

- Numer rejestracyjny nowojorski, taki a taki. Tak. Ciężarówka pick-up z camperem. Tak... pies. A do mnie: - Co to za rodzaj psa?

- Pudel.
- Pudel... Mówię: pudel. Jasnobrązowy.
- Granatowy - powiedziałem.
- Jasnobrązowy. Okej. Dziękuję.

Mam nadzieję, że nie wyczułem w jego głosie zasmucenia z racji mojej niewinności.

- Powiedzieli, że pan nie przejechał granicy.
- Tak panu mówiłem.
- Mogę zobaczyć pański paszport?
- Dlaczego? Nie wyjeżdżałem z kraju. I nie mam zamiaru wyjechać.

Mimo to podałem mu paszport. Przekartkował go zatrzymując się przy pieczętkach wjazdu i wyjazdu z innych podróży. Obejrzał moją fotografię, otworzył żółte zaświadczenie szczepienia na ospę, przytwierdzone z tyłu do okładki. U dołu ostatniej strony spostrzegł niewyraźnie wpisane ołówkiem litery i cyfry.

- Co to jest?
- Nie wiem. Niech pan pozwoli. Ach, to! To jest numer telefonu.
- A co on robi w pańskim paszporcie?

- Zdaje się, że nie miałem pod ręką kawałka papieru. Nawet nie pamiętam, czyj to numer.

Teraz jednakże przyłapał mnie i wiedział o tym.

- Czy panu nie wiadomo, że kreślenie w paszporcie jest sprzeczne z prawem?
- Zaraz to wytrę.
- Nie powinien pan nic pisać w swoim paszporcie. Taki jest przepis.
- Już więcej nie będę. Obiecuję.

I miałem ochotę obiecać mu, że nie będę kłamał ani kradł, ani zadawał się z osobami lekkich obyczajów, ani pożądał żony bliźniego swego, ani nic. Twardo zamknął mój paszport i zwrócił mi go. Jestem pewien, że poczuł się lepiej znalazłszy ten numer telefonu. Tylko pomyśleć, że zadawszy sobie tyle trudu mógł nie stwierdzić mojej winy w czymkolwiek, i to w taki mało ruchliwy dzień.

- Dziękuję panu - powiedziałem. - Mogę już jechać?

Machnął łaskawie ręką.

- Proszę - powiedział.

Oto dlaczego ruszyłem do Erie w Pensylwanii, a to było winą Charleya. Przejechaliśmy przez wysoki żelazny most i zatrzymałem się, żeby uiścić opłatę. Z okienka wychylił się mężczyzna.

- Jedź pan - powiedział. - Stawiamy panu.

- Jak to?

- Widziałem, że pan przejeżdżał dopiero co w tamtą stronę. Widziałem psa. Wiedziałem, że pan będzie wracał.

- Dlaczego pan mi nic nie mówił?

- Nikt w to nie wierzy. Jedź pan. Ma pan bezpłatny przejazd w jedną stronę.

Bo on, widzicie, nie był rządem. Natomiast rząd potrafi sprawić, iż czujecie się tacy mali i podli, że trzeba sporo zachodu, by odbudować w sobie poczucie własnej wartości. Tego wieczora Charley i ja zatrzymaliśmy się w najwspanialszym motelu, jaki mogliśmy znaleźć, takim, na który mogą pozwolić sobie tylko bogaci, w przybytku rozkoszy pełnym kości słoniowej, małp i paw, a co więcej z restauracją i obsługą w pokojach. Kazałem przynieść lód i wodę sodową, zrobiłem sobie whisky and soda, a potem jeszcze jedną. Następnie wezwałem kelnera i zamówiłem zupę, befszyk i funt surowej kiełbasy dla Charleya, i niemiłosiernie przesadziłem z napiwkami. Zanim zasnąłem, przebiegłem myślą wszystkie te rzeczy, które powinienem był powiedzieć urzędnikowi imigracyjnemu, i niektóre z nich były niewiarygodnie zręczne i cięte.

Od początku mojej wędrówki unikałem owych wielkich wysokoszybkosciowych połąci betonu i smoły, zwanych „arteriami przelotowymi” czy „superautostradami”. Różne stany mają dla nich rozmaite nazwy, ale zmarudziłem w Nowej Anglii, zima zbliżała się wielkimi krokami i obawiałem się, że utknę w śniegach w Dakocie Północnej. Odszukałem więc szosę US 90, szeroką pręgę superautostrady, wielotorową przerzutnię towarów kraju. Rosynant cwałował przed siebie. Minimalna szybkość na tej szosie była większa niż wszystkie, które dotychczas stosowałem. Jechałem w wiatr dmący z prawej burty i czułem potężne, chwilami zawrotne uderzenia wichury, której sam byłem współtwórcą. Słyszałem jej świst na prostych płaszczyznach dachu mojego campera. Raz zawrzały na mnie przydrożne pouczenia: „Nie stawać! Postój niedozwolony. Utrzymać szybkość”. Z hukiem przewalały się obok mnie ciężarówki długie jak frachtowce, wytwarzając podmuch niczym uderzenie pięści. Te wielkie szosy są znakomite do przesyłania towarów, ale nie do oglądania krajobrazu. Człowiek jest przykuty do kierownicy, a jego oczy do wozu jadącego przed nim i do lusterka nad szybą, gdzie widać wóz jadący z tyłu, i do lusterka bocznego, w którym odbija się samochód czy ciężarówka mająca właśnie nas minąć - a jednocześnie trzeba odczytywać wszystkie znaki z obawy, by nie przeoczyć jakichś instrukcji czy nakazów. Żadnych przydrożnych kiosków sprzedających soki owocowe, żadnych sklepów z antykami, żadnych wytworów rolnych czy fabrycznych. Kiedy przeprowadzimy te przelotowe arterie przez cały kraj, tak jak chcemy i musimy, można będzie przejechać z Nowego Jorku do Kalifornii nie widząc nic a nic.

Od czasu do czasu są miejsca wypoczynkowe i rekreacyjne, gdzie jest jedzenie, benzyna i oliwa, karty pocztowe, blachy do podgrzewania żywności, stoły piknikowe, nowiutkie i świeżo odmalowane kosze do śmieci, toalety i umywalnie tak nieskazitelne, tak wykadzone środkami odwanianymi i detergentami, że potrzeba pewnego czasu, aby odzyskać zmysł powonienia. Bo nazwa „środki odwanianujące” jest niezupełnie właściwa; zastępują one jedną woń inną, a ów substytut musi być znacznie mocniejszy i przenikliwszy niż woń, którą zabija. Nazbyt długo zaniedbywałem swój kraj. Cywilizacja uczyniła wielkie skoki podczas mojej nieobecności. Pamiętam czasy, kiedy za monetę wrzuconą w otwór dostawało się kawałek gumy do żucia albo tabliczkę czekolady, natomiast w tych jadalnianych pałacach były automaty, gdzie rozmaite monety mogły dostarczyć chusteczek, przyborów do paznokci, płynów do włosów, kosmetyków, kompletów opatrunkowych, pomniejszych lekarstw, takich jak aspiryna, łagodne środki przeczyszczające i pigułki przeciwko senności. Stwierdziłem, że zachwycają mnie te urządzenia. Przypuśćmy, że chcecie się napić czegoś odświeżającego; wybieracie sobie napój - sungrape czy coca-cola - naciskacie guzik, wpuszczacie monetę i cofacie się. Kartonowy kubeczek opada na swoje miejsce, napój się wlewa i zatrzymuje o ćwierć cala od krawędzi - zimny, odświeżający, gwarantowanie syntetyczny. Kawa jest jeszcze bardziej interesująca, bo kiedy gorący, czarny płyn przestaje się lać, strzyka strumień mleka, a obok kubka opada kopertka z cukrem. Ale największym tryumfem ze wszystkiego jest automat do gorącej zupy. Wybiera się jedną z dziesięciu - grochówkę, rosół z kury z makaronem, wołowy z jarzynami - i wrzuca monetę. Z olbrzyma dobywa się głuchy szum i zapala się napis: „Ogrzewanie”. Po minucie zaczyna błyskać i gasnąć czerwone światelko, dopóki nie otworzycie małych drzwiczek i nie wyjmiecie papierowego kubka z kipiącą zupą.

Jest to życie u szczytu jakiejś odmiany cywilizacji. Pomieszczenia restauracyjne, ogromne połączenia kontuarów ze stołkami krytymi sztuczną skórą, są również nieskazitelne jak ustępy i nie pozbawione pewnego do nich podobieństwa. Wszystko,

co można schwytać i przytrzymać, jest opieczętowane w przezroczysty plastik. Jedzenie jest prosto z pieca, bez skazy i bez smaku, nietknięte ludzkimi rękami. Z bólem wspominałem pewne potrawy we Francji i Włoszech, dotykane przez niezliczone ludzkie ręce.

Te ośrodki przeznaczone do wypoczynku, odżywienia i zaopatrzenia są pięknie utrzymane, z kwiatami i trawnikami. Od frontu, najbliższej szosy, są parkingi dla samochodów osobowych wraz z całymi regimentami pomp benzynowych. Od tyłu zajeżdżają ciężarówki i tam są obsługiwane - owe olbrzymie, transkontynentalne karawany. Będąc formalnie ciężarówką, Rosynant zajął miejsce na tyłach i wprędce zawarłem znajomość z kierowcami ciężarówek. Są oni rasą wyodrębnioną z otaczającego ich życia, ci długodystansowi kierowcy. Gdzieś w jakimś mieście czy miasteczku żyją ich żony i dzieci, podczas gdy mężowie przemierzają kraj wioząc wszelkie rodzaje żywności, produktów i maszyn. Stanowią pewien klan i trzymają się razem, posługując się specjalistyczną mową. Ale choć byłem mały wśród owych potworów transportu, byli dla mnie mili i pomocni.

Dowiedziałem się, że na parkingach dla ciężarówek są prysznic, mydło i ręczniki - i że jeżeli sobie życzę, mogę tam zaparkować i przenocować. Kierowcy mało się zadawali z miejscowymi ludźmi, ale będąc chciwymi słuchaczami radia mogli powtarzać wiadomości i informacje polityczne ze wszystkich zakątków kraju. Ośrodki wyżywienia i zaopatrywania w paliwo na autostradach czy arteriach przelotowych są wydzierżawiane przez poszczególne stany, ale na innych szosach inicjatywa prywatna ma stacje dla ciężarówek, które udzielają rabatu • od paliwa, noclegu, kąpieli i miejsc, gdzie można posiedzieć i pogadać. Jednakże będąc grupą wyspecjalizowaną, prowadzącą specjalne życie, zadającą się tylko z sobie podobnymi, mogli mi umożliwić przejechanie całego kraju bez wdawania się w rozmowę z jakimkolwiek miejscowym, osiadłym człowiekiem. Bo kierowcy ciężarówek krążą po powierzchni kraju nie będąc jego częścią. Oczywiście w tych miastach, gdzie mieszkają ich rodziny, mają wszelkie możliwe powiązania - kluby, wieczorki taneczne, sprawy miłosne i morderstwa.

Bardzo polubiłem tych kierowców, tak jak zawsze lubię specjalistów. Słuchając ich rozmów zgromadziłem sobie słownictwo szosy, mówiące o oponach, resorach, nadwadze. Kierowcy, którzy przebywają duże odległości, mają na swoich trasach stacje, gdzie znają ludzi z obsługi i kelnerki za kontuarem i gdzie niekiedy spotykają swoich kolegów z innych ciężarówek. Wielkim symbolem wspólnoty jest filiżanka kawy. Często zatrzymywałem się na kawę nie dlatego, że miałem na nią ochotę, ale dla odpoczynku i jakiejś zmiany po odwijającej się szosie. Do prowadzenia ciężarówki na dużych odległościach potrzeba siły, opanowania i uwagi bez względu na to, jak dalece ułatwiają ów wysiłek hamulce powietrzne i mechanicznie regulowane kierowanie. Byłoby interesujące i łatwe do ustalenia za pomocą nowoczesnych metod badawczych, ile energii w jednostkach pracy zużywa się na prowadzenie ciężarówki w ciągu sześciu godzin. Kiedyś Ed Ricketts i ja, zbierając morskie żyjątko i odwalając kamienie na pewnym obszarze, próbowaliśmy ocenić, jaki ciężar podnosiliśmy przeciętnie w ciągu jednego dnia zbierania. Kamienie, które odwracaliśmy, nie były duże - ważyły od trzech do pięćdziesięciu funtów. Oceniliśmy, - że przez dobry dzień, kiedy nie mieliśmy poczucia większego zużycia energii, każdy z nas dźwignął cztery do dziesięciu ton kamieni. Zważcie teraz to drobne, niedostrzegalne kręcenie kierownicą, wysiłek równający się zaledwie jednemu funtowi na każdy ruch, ten zmienny nacisk stopy na akcelerator, wynoszący nie więcej niż jakieś pół funta - co jednak w ciągu sześciu godzin daje razem olbrzymią sumę. A dalej są mięśnie ramion i szyi, ustawicznie choć nieświadomie

napięte na wypadek nagłej potrzeby, oczy przeskakujące z szosy na lusterko, tysiące decyzji, które tkwią tak głęboko, że świadomy umysł nie zdaje sobie z nich sprawy. Nakład energii nerwowej i mięśniowej jest olbrzymi. Dlatego przerwa na kawę jest odpoczynkiem pod wieloma względami.

Często przesiadywałem z tymi ludźmi, słuchałem ich rozmów, a od czasu do czasu zadawałem pytania. Wprędce nauczyłem się nie oczekiwać od nich znajomości kraju, przez który przejeżdżali. Z wyjątkiem przystanków nie mieli z nim żadnego kontaktu. Uświadomiłem sobie, jak bardzo są podobni do marynarzy. Pamiętam, iż kiedy pierwszy raz wyruszyłem na morze, zdumiało mnie, że ludzie, którzy pływali po całym świecie i zawijali do dziwnych i egzotycznych portów, mieli z tym światem mało styczności. Niektórzy kierowcy ciężarówek na długich trasach jeździli parami i zmieniali się przy kierownicy. Ten, który był wolny, spał albo czytał książkę. Ale na szosie interesowali się tylko silnikiem, pogodą i utrzymaniem takiej szybkości, która umożliwia przewidziany rozkład jazdy. Niektórzy z nich jeździli regularnie tam i z powrotem, a znowu inni tylko jednorazowo. Jest to cały układ życia, mało znany ludziom osiadłym przy trasach wielkich ciężarówek. Dowiedziałem się o tych kierowcach akurat tyle, aby mieć pewność, że chciałbym wiedzieć znacznie więcej.

Jeżeli ktoś prowadzi wóz od wielu lat, tak jak ja, prawie wszystkie reakcje stają się automatyczne. Nie myśli się o tym, co trzeba robić. Niemal cała technika prowadzenia jest głęboko zagrzebana w zmechanizowanej podświadomości. Dzięki temu znaczny obszar świadomości pozostaje wolny do myślenia. A o czym myślą ludzie, kiedy prowadzą samochód? Na krótkich trasach być może o przybyciu do miejsca przeznaczenia lub o wydarzeniach w miejscu odjazdu. Ale zwłaszcza na trasach bardzo długich ma się duże pole do marzeń na jawie albo wręcz, Boże się zmiłuj, do rozmyślań. Nikt nie może wiedzieć, co ktoś inny robi w tej dziedzinie. Ja osobiście projektowałem sobie domy, których nigdy nie wybuduję, ogrody, których nigdy nie posadzę, obmyśliłem metodę przepompowywania miękkiego osadu i przegniłych muszelek z dna zatoki na mój cypel ziemi pod Sag Harbor i odciągania soli, co dałoby mi bogatą i żyzną glebę. Nie wiem, czy to zrobię czy nie, ale prowadząc wóz zaprojektowałem to sobie szczegółowo, aż po rodzaj pompy, zbiorniki do odciągania, próby określające zanikanie nasolenia. Prowadząc tworzyłem w myśli pułapki na żółwie, pisywałem długie, szczegółowe listy, które nigdy nie miały być przelane na papier, a tym bardziej wysłane. Kiedy radio było włączone, muzyka pobudzała wspomnienia różnych chwil i miejsc, razem z postaciami i oprawą sceniczną - wspomnienia tak dokładne, że odtworzone w nich było każde słowo dialogu. A także obmyślałem sobie przyszłe sceny, równie kompletne i przekonujące - sceny, które się nigdy nie zdarzą. Pisałem w myśli nowele chichocząc z własnego dowcipu, zasmucony lub pobudzony ich konstrukcją czy treścią.

Mogę jedynie podejrzewać, że człowiek samotny zaludnia swoje marzenia przy kierownicy przyjaciółmi, że człowiek niekochany otacza się ślicznymi, kochającymi kobietami i że dzieci przesuwają się przez rojenia bezdzielnego kierowcy. A co z obszarami żalów? Gdybym był zrobił tak a tak czy nie powiedział tego a tego - mój Boże, ta przekłeta historia może by się nie zdarzyła. Znajdując ten potencjał we własnym umyśle, mogę go podejrzewać u innych, ale nie dowiem się nigdy, bo nikt tego nie mówi. I właśnie z tej przyczyny w mojej wędrówce, która była zamierzona dla obserwacji, trzymałem się możliwie najczęściej drugorzędnych dróg, gdzie wiele jest do zobaczenia, usłyszenia i wążania, a unikałem wielkich, szerokich szlaków komunikacyjnych, które zwodzą nasze ja przez podsycanie snów na jawie. Teraz

jechałem tą szeroką, monotonną szosą, zwaną US 90, która omija Buffalo i Erie, do Madisonu w stanie Ohio, a potem natrafiłem na równie szeroką i szybką autostradę US 20 i minąwszy Cleveland i Toledo wjechałem do Michiganu.

Po tych szosach przebiegających obok ośrodków fabrycznych toczyły się rozliczne domy na kółkach, ciągnięte przez specjalnie przeznaczone do tego ciężarówki, ponieważ zaś te ruchome domy stanowią jedno z moich uogólnień, więc mogę równie dobrze zająć się nimi teraz. Już na początku mojej podróży zwróciłem uwagę na te rzeczy nowe pod słońcem, na ich wielką liczbę, a ponieważ pojawia się ich coraz więcej w całym kraju, obserwowanie ich i być może jakieś wnioski są na miejscu. Nie są to przyczepy, które się ciągnie własnym samochodem, ale lśniące wozy, długie jak pulmany. Od początku podróży zauważyłem place, na których je sprzedawano i zamieniano, ale potem zacząłem zwracać uwagę na specjalne miejsca do parkowania, gdzie stoją w niepewnej permanencji. W Maine nabrałem zwyczaju zatrzymywania się na noc na owych parkingach, rozmawiałem z kierownikami i mieszkańcami tej nowej odmiany osiedli, gdyż zbierają się oni w grupy sobie podobnych.

Domy te są świetnie skonstruowane, z aluminiową powłoką, podwójnymi ściankami i izolacją, a często wykładane wewnątrz płytami fornirowymi. Niekiedy długie aż na czterdzieści stóp, mają dwa do pięciu pokoi i są kompletnie wyposażone, łącznie z klimatyzacją, toaletami, łazienkami i niezmiennie telewizją. Parkingi, na których się je ustawia, są czasem specjalnie projektowane i zaopatrzone we wszelkie urządzenia. Rozmawiałem z ludźmi z obsługi, którzy byli pełni entuzjazmu. Ruchomy domek zostaje wprowadzony na taki parking dla przyczep i ustawiony na rampie; do spodu przykręca się grubą gumową rurę kanalizacyjną, podłącza wodę i prąd elektryczny, stawia antenę telewizyjną, i rodzina już jest osiedlona. Kilku kierowników parkingów stwierdziło zgodnie, że w roku ubiegłym jedna na cztery nowe jednostki mieszkaniowe w całym kraju była domem na kółkach. Właściciele parkingów pobierają niewielki czynsz za miejsce plus opłaty za wodę i elektryczność. Prawie na wszystkich parkingach włącza się telefony po prostu przez wetknięcie wtyczki do gniazdka. Niekiedy parking ma sklep z towarami mieszanymi, gdzie można się zaopatrzyć, ale jeżeli nie, dostępne są supermarkety rozsiane po całym kraju. Trudności z parkowaniem w miastach sprawiły, że takie domy towarowe przeniosły się na wieś, gdzie są wolne od podatków miejskich. To także dotyczy parkingów dla przyczep. Fakt, że te domy można przenosić, nie oznacza, że się przenoszą. Czasem ich właściciele pozostają przez całe lata na jednym miejscu, sadzą ogrody, budują małe murki z żuźlowych bloków, zakładają markizy i rozstawiają ogrodowe meble. Jest to cały sposób życia, który dla mnie był nowy. Domy te nie są nigdy tanie, a czasem dosyć kosztowne i luksusowe. Widziałem takie, które kosztowały dwadzieścia tysięcy dolarów i posiadały wszystkie te tysięczne przyrządy, które składają się na nasze życie - maszyny do zmywania naczyń, automatyczne pralki i suszarki, lodówki i zamrażalniki.

Właściciele nie tylko chętnie, ale z radością i dumą pokazywali mi swoje siedziby. Pokoje, choć małe, miały dobre proporcje. Wbudowane tam były wszelkie możliwe urządzenia. Szerokie okna, niektóre zwane nawet oknami obrazowymi, niweczyły jakiegokolwiek uczucie zamknięcia, sypialnie i łóżka były obszerne, a ilość miejsca na przechowywanie rzeczy niewiarygodna. Wydało mi się to rewolucją w sposobie życia, rozwijającą się szybko. Dlaczego rodzina obiera sobie taki dom na zamieszkanie? Ano, bo jest wygodny, spoisty, łatwy do utrzymania w czystości, łatwy do ogrzania. W Maine: - Mam dość mieszkania w zimnej stodole, po której świszcze wiatr, dość

udręki drobnych podatków i opłat za to i za tamto. Tu jest ciepło, przytulnie, a w lecie klimatyzacja daje nam chłód.

- Jaka jest zwykle skala dochodów właścicieli takich ruchomych domków?
- To układa się rozmaicie, ale pokaźna liczba należy do grupy zarabiającej od dziesięciu do dwudziestu tysięcy dolarów rocznie.
- Czy niepewność zatrudnienia ma coś wspólnego / szybkim mnożeniem się tych domków?

Ano, może być i coś z tego. Kto może wiedzieć, co czekać jutro? W tych ruchomych domach mieszkają mechanicy, inżynierowie, architekci, księgowi, a nawet tu i ówdzie doktor czy dentysta. Jeżeli zamykają jakąś fabrykę czy zakład, człowiek nie jest przykuty do nieruchomości, której nie może sprzedać. Powiedzmy, że mąż ma posiadłość i kupuje dom, a potem przychodzi przerwa w pracy. Jego dom traci na wartości. Ale jeżeli ma domek na kółkach, wynajmuje sobie ciężarówkę, jedzie dalej i nic nie traci. Może nigdy nie być do tego zmuszony, ale fakt, że ma taką możliwość, jest dla niego pokrzepieniem.

- Jak je się kupuje?
- Na raty, tak jak samochód. To jest tak, jakby się płaciło czynsz.

A potem wykryłem największą atrakcyjność handlową - tę, która przewija się przez prawie całe życie amerykańskie. Co roku wprowadza się do tych ruchomych domów ulepszenia. Jeżeli komuś powodzi się dobrze, zamienia swój model na nowy, dokładnie tak, jak się robi z samochodem, jeżeli można sobie na to pozwolić. Jest to przejaw pewnej pozycji. A wartość zwrotna jest wyższa niż samochodu, bo na takie używane domki są zawsze chętni amatorzy. I po kilku latach niegdyś kosztowny domek może mieć za mieszkańców uboższą rodzinę. Są one łatwe do utrzymania, nie trzeba ich odmalowywać, ponieważ zwykle są z aluminium, a poza tym nie są związane ze zmienną wartością gruntu.

- A co ze szkołą?

Dzieci zabiera z samego parkingu autobus szkolny i odwozi je z powrotem. Wóz należący do rodziny wiezie głowę domu do pracy, a wieczorem całą rodzinę do samochodowego kina. Życie na wiejskim powietrzu jest zdrowe. Opłaty, nawet jeżeli są wysokie i okraszone odsetkami, nie są uciążliwsze od wynajmowania mieszkania i walki z właścicielem o ogrzewanie. A gdzież można wynająć takie wygodne parterowe mieszkanie z miejscem na samochód pod drzwiami? Gdzież indziej mogłyby dzieciaki mieć psa? Prawie każdy domek na kółkach ma psa, jak to odkrył Charley ku swojej radości. Dwa razy zostałem zaproszony do takiego ruchomego domku na kolację, a parokrotnie oglądałem tam w telewizji mecz piłki nożnej. Pewien zarządzający parkingiem powiedział mi, że jednym z najpierwszych względów w jego zawodzie jest znalezienie i kupno takiego miejsca, gdzie odbiór telewizyjny jest dobry. Ponieważ nie potrzebowałem żadnych urządzeń, kanalizacji, wody czy elektryczności, cena dla mnie za zatrzymanie się na noc wyniosła dolara.

Pierwszym wrażeniem, jakie mi się narzuciło, jest, że ludzie z ruchomych domków ani nie osiągają, ani nie pragną trwałości. Nie kupują ich na pokolenia, ale tylko do czasu kiedy ukaże się nowy model, na który mogą sobie pozwolić. Domki te nie są bynajmniej ograniczone do owych parkingowych osiedli. Można znaleźć ich setki ustawione przy domach farmerskich i to mi wytłumaczono. Był okres, kiedy z okazji małżeństwa syna i powiększenia liczby osób na farmie o jego żonę, a później dzieci, należało do zwyczaju dodawanie skrzydła albo przynajmniej przybudówki do właściwego domu. Obecnie w wielu przypadkach domek na kółkach zastępuje dodatkowy budynek. Farmer, od którego kupowałem jajka i boczek domowego wędzenia, opowiadał mi o wynikających stąd korzyściach. Obydwie rodziny mają

swój własny kąt, którego nigdy przedtem nie miały. Starych nie irytują krzyki dzieci. Problem teściowej traci na ostrości, ponieważ synowa ma samodzielność, której dawniej nie miała, i własne mieszkanie, gdzie może sobie budować życie rodzinne. Kiedy się wynoszą albo chcą wynieść - nie zostawiają nieużywanych i przez to bezużytecznych pokoi. Stosunki między pokoleniami poprawiają się znacznie. Syn odwiedzając dom rodzicielski jest gościem, a rodzice są gośćmi w domu syna.

A dalej są samotnicy i z nimi rozmawiałem także. Jadąc drogą widuje się wysoko na wzgórzu pojedynczy ruchomy domek, ulokowany w miejscu, z którego roztacza się wspaniały widok. Inne sadowią się pod drzewami obrzeżającymi rzekę albo jezioro. Ci samotnicy wydzierzawiają małe kawałki ziemi od właściciela. Potrzebują jej tylko tyle, żeby wystarczyło dla domku i muszą mieć prawo przejścia, by się do niego dostać. Czasami samotnik wykopuje studnię i dół ściekowy i sadi mały ogródek, natomiast inni dowożą wodę w pięćdziesięciogalonowych bębnach od oliwy. Niektórzy przejawiają ogromną pomysłowość w umieszczaniu zbiorników z wodą wyżej od domku i łączeniu ich z nim plastikowymi rurami, tak że siła ciężkości zapewnia przyływ wody.

Jedną z kolacji, na których byłem w ruchomych domkach, ugotowana została w niepokalanej kuchni, wyłożonej plastikowymi płytkami, z wpuszczonymi w ścianę zlewami, piecykami i grzejnikami z nierdzewnej stali. Jako paliwo służy butan lub jakiś inny gaz w butlach, który można wszędzie dostać. Jedliśmy we wnęce-jadalni wykładanej mahoniowym fornirem. Nigdy nie byłem na lepszej ani wygodniej zorganizowanej kolacji. Przyniosłem butelkę whisky jako mój wkład i później zasiedliśmy w głębokich, wygodnych fotelach, wyściełanych gumową pianką. Rodzinie tej podobał się jej sposób życia i przez myśl by im nie przeszło powrócić do dawnego. Mąż pracował w garażu jako mechanik około czterech mil stamtąd i zarabiał dobrze. Dwoje dzieci szło co rano do szosy, gdzie zabierał je żółty autobus szkolny.

Popijając whisky po kolacji, słysząc szum wody w elektrycznej maszynie do zmywania naczyń, wystąpiłem z pytaniem, które mnie nękało. Ci ludzie byli dobrzy, rozumni, inteligentni. Powiedziałem: Jedno z najcenniejszych dla nas uczuć dotyczy korzeni, wrośnięcia w jakąś ziemię czy społeczność. Co myślą o wychowywaniu dzieci bez takich korzeni? Czy to jest dobre czy złe? Czy będzie im tego brak czy nie?

Ojciec, przystojny mężczyzna o jasnej cerze i ciemnych oczach, odpowiedział mi:

- Ilu ludzi ma dzisiaj to, o czym pan mówi? Jakie są korzenie w mieszkaniu na dwunastym piętrze? Jakie są korzenie w osiedlu złożonym z setek i tysięcy małych, prawie dokładnie takich samych mieszkańek? Mój ojciec pochodzi z Włoch - mówił. - Dorósł w Toskanii, w domu, gdzie jego rodzina mieszkała chyba od tysiąca lat. No i ma pan korzenie: ani bieżącej wody, ani toalety, a gotowanie na węglu drzewnym albo obrzynkach winorośli. Mieli tylko dwie izby, kuchnię i sypialnię, gdzie spali wszyscy razem, dziadek, ojciec i dzieciaki; nie było żadnego miejsca do czytania, do posiedzenia w samotności, i nigdy go nie mieli. Czy to było lepsze? Założę się, że gdyby pan pozwolił mojemu staremu wybierać, odciąłby te korzenie i żył tak - tu wskazał ręką ów wygodny pokój. - Faktem jest, że je odciął i przyjechał do Ameryki. I wtedy zamieszkał w domu czynszowym w Nowym Jorku - tylko jeden pokój, wysoko, zimna woda i żadnego ogrzewania. Tam się urodziłem i jako dziecko żyłem sobie na ulicach, dopóki mój stary nie dostał pracy na północy stanu, w tej winogronowej okolicy. Widzi pan, on znał się na winoroślach; to było mniej więcej wszystko, na czym się rozumiał. A teraz weźmy moją żonę. Jest pochodzenia irlandzkiego. Jej rodzina też miała korzenie.

- W torfowisku - powiedziała żona. - A żywiliśmy się kartoflami. - Z lubością popatrzyła przez drzwi na swoją piękną kuchnię.

- Nie brak wam jakiejś stałości?

- A kto ma stałość? Fabrykę zamykają i jedzie się dalej. Jak się otwiera koniunktura i możliwości, człowiek przenosi się tam, gdzie jest lepiej. Kiedy się ma korzenie, siedzi się w miejscu i przymiera głodem. Niech pan weźmie tych pionierów z książek historycznych. Oni się ruszali. Brali ziemię, sprzedawali ją, jechali dalej. Czytałem w jednej książce, jak rodzina Lincoln przyjechała do Illinois na tratwie. Zamiast konta bankowego mieli kilka baryłek whisky. Ile dzieci w Ameryce pozostaje w tym miejscu, gdzie się urodziły, jeżeli mogą się wynieść?

- Dużo pan o tym myślał.

- Nie potrzeba o tym myśleć. To po prostu jest. Mam dobry zawód. Dopóki są samochody, mogę dostać robotę, ale przypuśćmy, że firma, w której pracuję, robi plajtę. Wtedy muszę się przenieść tam, gdzie jest zajęcie. Do swojego miejsca pracy dojeżdżam w trzy minuty. Chce pan, żebym jeździł dwadzieścia mil dlatego, że mam korzenie?

Później pokazali mi czasopisma przeznaczone wyłącznie dla mieszkańców ruchomych domków, z opowiadaniem, wierszami i wskazówkami, jak najlepiej się w nich urządzić. Jak usunąć przeciek. Jak wybierać miejsce, żeby mieć słońce czy chłód. I były tam ogłoszenia różnych przyborów, rzeczy fascynujących, do gotowania, zmywania, czyszczenia odzieży, mebli, łóżek i dzieciennych łóżeczek. I były także zdjęcia na całą stronicę nowych modeli, z których każdy był wspanialszy i bardziej lśniący niż poprzedni.

- Są ich tysiące - powiedział ojciec - a będą miliony.

- Joe to marzyciel - rzekła żona. - Zawsze coś sobie kombinuje. Opowiedz panu o swoich pomysłach, Joe.

- Może to pana nie ciekawi.

- Oczywiście, że tak.

- Ano, to nie jest marzenie, tak jak ona mówi, ale coś realnego i już niedługo to zrobię. Trzeba będzie małego kapitału, ale się opłaci. Rozglądałem się między używanymi przyczepami za taką, jakiej mi potrzeba, i w takiej cenie, jaką chcę zapłacić. Wybebeszę ją i urządzę jako warsztat naprawczy. Już teraz mam prawie wszystkie narzędzia, a zrobię sobie zapas takich drobiazgów, jak wycieraczki, pasy do wentylatorów, pierścienie do cylindrów i wewnętrzne przewody, różne takie. Te parkingi robią się coraz większe i większe. Niektórzy mają po dwa wozy. Wydzierzawię gdzieś blisko któregoś ze sto stóp gruntu i otworzę interes. Jedną rzecz można powiedzieć o wozach: że prawie zawsze coś w nich nawala i trzeba to naprawiać. I będę miał swój domek, ten tutaj, obok mojego warsztatu. Założę dzwonek i w ten sposób będę mógł obsługiwać klientów dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- To wygląda na dobry pomysł - powiedziałem. I tak jest.

- Najlepsze w tym jest to - ciągnął Joe - że jakby interes zaczął kuleć, po prostu przeniosę się tam, gdzie idzie dobrze.

Jego żona powiedziała:

- Joe już sobie wszystko opracował na papierze, gdzie co pójdzie, każdy klucz i świder, nawet elektryczna spawarka. Joe jest świetnym spawaczem.

Odparłem:

- Cofam to, co powiedziałem, Joe. Widzę, że pan ma korzenie w warsztatowym kanale.

- Mogłoby być gorzej. To także przewidziałem. I, wie pan, jak dzieciaki dorosną, będziemy nawet mogli przerzucać się zimą na południe, a w lecie na północ.

- Joe jest dobrym fachowcem - powiedziała jego żona. - Ma swoich stałych klientów tam, gdzie pracuje. Niektórzy przejeżdżają pięćdziesiąt mil, żeby Joe popracował przy ich wozach, bo jest dobrym fachowcem.

- Ja jestem naprawdę dobry mechanik - powiedział Joe.

Jadąc dużą autostradą niedaleko Toledo, przeprowadziłem z Charleyem rozmowę na temat korzeni. Słuchał, ale nie odpowiadał. W szablonowym myśleniu o korzeniach zarówno ja, jak większość innych ludzi nie wzięliśmy pod uwagę dwóch rzeczy. Czy aby Amerykanie nie są narodem niespokojnym, narodem ruchomym, który nigdy nie jest zadowolony z wybranego miejsca? Pionierzy, imigranci, którzy zasiedlili nasz kontynent, byli niespokojnymi duchami w Europie. Ludzie spokojni, zakorzenieni, zostali w domu i są tam nadal. Ale każdy z nas, z wyjątkiem Murzynów, których sprowadzono tutaj przemocą jako niewolników, pochodzi od tamtych niespokojnych, nieobliczalnych, co nie mieli ochoty zostać u siebie. Czy nie byłoby dziwne, gdybyśmy nie odziedziczyli tej skłonności? I faktem jest, żeśmy ją odziedziczyli. Jednakże to jest tylko obraz zewnętrzny. Czym są korzenie i od jak dawna je mamy? Jeżeli nasz gatunek istnieje od kilku milionów lat, to jakie były jego dzieje? Nasi odlegli przodkowie podążali za zwierzyną, przenosili się tam, gdzie było pożywienie, i uciekali od niepogody, od lodu i zmiennych pór roku. A później, po nie dających się objąć myślą tysiącletniach, oswoiili niektóre zwierzęta i w ten sposób żyli razem ze swoim zapasem pożywienia. Wówczas z konieczności podążali, wędrując bez końca, tam, gdzie była trawa, która mogła wyżywić ich stada. Dopiero kiedy weszło w praktykę rolnictwo - a to stało się niezbyt dawno, rozumując kategoriami całokształtu dziejów - dane miejsce uzyskało znaczenie, wartość i trwałość. Jednakże ziemia jest rzeczą materialną, a rzeczy materialne mają skłonność do skupiania się w niewielu rękach. I dlatego jeden człowiek pragnął własności ziemi, a zarazem chciał mieć poddanych, bo ktoś musiał na niej pracować. Korzenie były we własności ziemi, w materialnych i nieruchomych dobrach. Z tego punktu widzenia jesteśmy niespokojnym gatunkiem

O bardzo krótkiej historii korzeni, i to niezbyt szeroko rozprawionych. Możliwe, że przeceniliśmy korzenie jako psychiczną potrzebę. Może im większa jest tęsknota, tym głębsza i starsza jest potrzeba, wola, głód znalezienia się gdzie indziej.

Charley nie miał żadnej odpowiedzi na moje przesłanki. Poza tym był w strasznym stanie. Obiecywałem sobie, że będę go cesał, przystrzygał, pilnował, żeby pięknie wyglądał, a nie robiłem tego. Jego sierść była skołtuniona

1 brudna. Pudle nie linieją tak samo jak owce. Wieczorami, które przeznaczyłem na tę energiczną pielęgnację, byłem zawsze niezbyt zajęty czymś innym. Poza tym odkryłem, że ma niebezpieczną alergię, o której nie wiedziałem. Jednego wieczora zatrzymałem się na parkingu dla ciężarówek, gdzie stały ogromne platformy do przewożenia bydła; czyszczono je wewnątrz i wokoło placu były sterty nawozu i chmury much. Jakkolwiek Rosynant był zamknięty, miliony much dostały się do środka, pochowały po kątach i nie dawały się wypędzić. Po raz pierwszy wydobyłem środek owadobójczy i rozpyliłem go obficie, a wówczas

Charley dostał tak gwałtownego i przewlekłego ataku kichania, że w końcu musiałem go wynieść na rękach. Rano szoferka była pełna sennych much, więc rozpyliłem tam ów środek i Charley dostał ponownego ataku. Potem, ilekroć następował najazd tych latających gości, musiałem wypuszczać Charleya na dwór i wietrzyć szoferkę czy wnętrze wozu, kiedy już to paskudztwo pozdychało. Nigdy nie widziałem tak ostrej alergii.

Ponieważ od dawna nie oglądałem Środkowego Zachodu, doświadczałem natłoku rozlicznych wrażeń jadąc przez Ohio, Michigan i Illinois. Pierwszym z nich był ogromny wzrost zaludnienia. Wsie przemieniły się w miasteczka, a miasteczka rozrosły się w miasta. Szosy roily się od pojazdów; miasta były tak zatłoczone ludźmi, że należało wyteńczyć całą uwagę, ażeby kogoś nie potrącić czy też nie zostać potrąconym. Następnie było wrażenie elektryzującej energii, siły, nieomal fluidu energii tak potężnej, że aż oszałamiającej. Obojętne, na co ją kierowano, na dobre czy na złe - witalność była wszędzie. Ani przez sekundę nie uważam, żeby ludzie, z którymi widziałem się i rozmawiałem w Nowej Anglii, byli czy to nieprzyjaźni, czy nieuprzejmi, ale mówili zwięźle i zazwyczaj czekali, ażeby przybysz nawiązał kontakt. Nieomal z momentem przekroczenia linii granicznej Ohio wydało mi się, że ludzie są bardziej przystępni i wylewni. Kelnerka w przydrożnym kiosku powiedziała mi „dzień dobry”, zanim zdążyłem to zrobić, omówiła ze mną śniadanie, jak gdyby było dla niej czymś przyjemnym, wspomniła z entuzjazmem o pogodzie, a nawet od czasu do czasu podawała mi jakieś informacje o sobie, bez żadnych wypytywań z mojej strony. Ludzie obcy rozmawiali ze sobą swobodnie, bez nieufności. Zapomniałem już, jak bogata i piękna jest tamta okolica - głęboka wierzchnia gleba, obfitość wielkich drzew, kraina jezior Michiganu urocza jak ładnie zbudowana kobieta, strojna i okryta klejnotami. Wydało mi się, że tu, w środku kraju, ziemia jest szczodroblowa i przychylna i że może ludzie poszli za jej przykładem.

Jednym z moich celów było słuchanie - usłyszenie mowy, jej rytmu, akcentu, tonacji i podkreśleń. Bo mowa to znacznie więcej niż słowa i zdania. I przysłuchiwałem się wszędzie. Odniosłem wrażenie, że mowa regionalna jest w trakcie zanikania - jeszcze nie odeszła, ale odchodzi. Czterdzieści lat radia i dwadzieścia lat telewizji musiało tu zrobić swoje. Środki łączności muszą zniweczyć lokalność powolnym, nieuniknionym procesem. Pamiętam czasy, kiedy mogłem niemal bezbłędnie poznać po wymowie czyjeś miejsce pochodzenia. To jest obecnie coraz trudniejsze, a w niedalekiej przyszłości może się stać niemożliwe. Rzadko się trafia dom czy budynek, który nie byłby najeżony przeczesywaczami powietrza. Mowa radiowa i telewizyjna staje się standaryzowana, jest może najlepszą angielszczyzną, jakiej kiedykolwiek używaliśmy. Podobnie jak nasz chleb, mieszany i pieczony, paczkowany i sprzedawany bez dobrodziejstwa przypadku czy ludzkiej słabości, jest jednolicie dobry i jednolicie bez smaku, tak i nasza mowa stanie się jedną mową.

Ja, który kocham słowa i nieskończone możliwości słów, martwię się tą nieuchronnością. Bo razem z lokalnym akcentem zaginie i lokalne tempo. Idiomy, zwroty retoryczne, które czynią język bogatym i pełnym poetyczności miejsca i czasu, muszą zniknąć. A na ich miejsce pojawi się język ogólny owinięty i opakowany, standaryzowany i bez smaku. Lokalność jeszcze nie zaginęła, ale ginie. Zmiany, które zaszły w ciągu tych wielu lat, kiedy nie przysłuchiwałem się krajowi, są bardzo duże. Podróżując na zachód północnymi szlakami natrafiłem na prawdziwie lokalną mowę dopiero kiedy dotarłem do Montany. To jest jedna z przyczyn, dla których na nowo zakochałem się w Montanie. Zachodnie wybrzeże przeszło na paczkowaną angielszczyznę. Południowy zachód zachowywał, choć coraz niepewnej, lokalność. Oczywiście głębokie południe trzyma się całą siłą swoich regionalnych wyrażeń, tak jak zachowuje i pielęgnuje różne inne anachronizmy, ale żadna część kraju nie może długo stawiać oporu autostradzie, liniom wysokiego napięcia i powszechnej telewizji. To, co opląkuję, nie jest może warte ratowania, ale jednak boleję nad tą utratą.

Protestując przeciwko taśmowej produkcji naszego pożywienia, naszych pieśni, naszego języka, a w końcu i naszych dusz, wiem zarazem, że za dawnych czasów

rzadki był dom, gdzie wypiekano dobry chleb. Matka z małymi wyjątkami gotowała nieszczęśliwie, to dobre, nie pasteryzowane mleko, zanieczyszczane tylko przez muchy i drobiny nawozu, roilo się od bakterii, zdrowe, dawne życie nękały bóle i nagła śmierć z niewiadomych przyczyn - a ta słodka lokalna mowa, którą oplakuję, była dziecięciem nieuctwa i ciemnoty. Leży w naturze człowieka, w miarę jak się starzeje - mały most przerzucony w czasie - protestować przeciwko zmianom, zwłaszcza zmianom na lepsze. Ale jest faktem, że wymieniliśmy wygłodzenie na otyłość, a jedno i drugie nas zabija. Kierunki przemian są niewiadome. My, a przynajmniej ja, nie możemy mieć pojęcia o tym, jak będzie wyglądało ludzkie życie i ludzka myśl za sto czy za pięćdziesiąt lat. Być może moją największą mądrością jest świadomość, że nie wiem. Smutni są ci, co marnotrawią energię na próby powstrzymania tego procesu, bo mogą zaznać tylko goryczy utraty, a nie radości zdobywania.

Kiedy przejeżdżałem przez wielkie rojowiska produkcji lub niedaleko nich - takie jak Youngstown, Cleveland, Akron, Toledo, Pontiac, Flint, a później South Bend i Gary - moje oczy i myśli porażał fantastyczny ogrom

i rozmach produkcji, zawiałość, która przypomina chaos, a nie może nim być. Tak można patrzeć na mrowisko nie widząc żadnej metody, kierunku ani celu w jego miotających się, śpieszących mieszkańcach. Cudowne było to, że mogłem znowu znaleźć się na cichej wiejskiej drodze obrzeżonej drzewami, obok której były ogrodzone pola

i pasły się krowy - zatrzymać Rosynanta nad jakimś jeziorem o klarownej, czystej wodzie i widzieć wysoko nad głową klucze lecących na południe gęsi i kaczek. Tu Charley mógł swoim wrażliwym, badawczym nosem odczytywać własną, szczególną literaturę na krzakach i pniach drzew i pozostawiać tam swoje orędzie, być może równie ważne w proporcji do nieskończonego czasu jak te zawijasy, które stawiam piórem na zniszczalnym papierze. Tam, w spokoju, kiedy wiatr chłostał gałęzie drzew i marszczył zwierciadło wody, gotowałem sobie nieprawdopodobne posiłki na moich aluminiowych patelniach, robiłem kawę tak zawieszistą i mocną, że gwóźdź mógłby w niej pływać, i siedząc na własnych schodkach mogłem nareszcie zastanowić się nad tym, co widziałem, i popробować jakoś uporządkować myśli, ażeby pomieścić ów natłok rzeczy zobaczonych i usłyszanych.

Powiem wam, co to przypominało. Kiedy idziecie do Uffizi we Florencji, do Luwru w Paryżu, jesteście tak przytłoczeni ilością, potęgą wielkości, że wychodzicie zgnębieni, z uczuciem podobnym do konstypacji. Ale potem, gdy zostajecie sami i wspomnacie, obejrzone płótna zaczynają się segregować; niektóre eliminuje wasz gust lub wasze ograniczenia, natomiast inne zarysowują się wyraźnie i czysto. Wtedy możecie powrócić, aby popatrzeć na jedną rzecz nie niepokojeni przez krzyk wielości. Po pierwszym zamęcie mogę wejść do Prado w Madrycie

i mijać, nie widząc ich, tysiące obrazów, które wołają

o moją uwagę, i mogę odwiedzić przyjaciela - niewielkiego El Greco, „Świętego Pawła z książką”. Święty Paweł właśnie zamknął tę książkę. Założył palcem ostatnią przeczytaną stronicę, a na twarzy ma zadumę i wolę zrozumienia po zamknięciu książki. Być może, że rozumienie możliwe jest dopiero potem. Przed laty, kiedy pracowałem w lasach, mówiło się o drwalach, że uprawiają obróbkę drewna w burdelach, a seks w lesie. Toteż muszę odnaleźć swoją drogę poprzez wybuchającą produkcję Środkowego Zachodu siedząc samotnie nad jeziorem w północnym Michiganie.

Gdy tak siedziałem w milczeniu, zajechał jakiś jeep i stanął na drodze, a zacny Charley porzucił swoje zajęcia i zaczął ujadać. Młody człowiek w wysokich butach,

sztruksowych spodniach i kurtce w czerwono-czarną kratę wylazł z wozu i podszedł do mnie. Przemówił tym szorstkim, nieprzyjaznym tonem, którego używa człowiek, kiedy musi robić coś, co mu się nie bardzo podoba.

- Nie widzi pan, że ten teren jest oznakowany? To jest własność prywatna.

Normalnie jego ton wykrzeszałby we mnie iskrę. Zapłonąłbym szpetotą gniewu i wtedy mógłby mnie wyrzucić / . przyjemnością i czystym sumieniem. Moglibyśmy nawet wdać się w kłótnię z pasją i gwałtownością. To byłoby zupełnie normalne, tylko że piękno i spokój tego miejsca sprawiły, iż uraza wzbierała we mnie powoli i w moim wahaniu utraciłem ją. Odrzekłem:

- - Wiedziałem, że musi być prywatna. Właśnie miałem rozejrzeć się za kimś, żeby poprosić o zezwolenie i może coś zapłacić, aby tutaj odpocząć.

- Właściciel nie życzy sobie obozujących. Zostawiają porzucane papiery i rozpalają ogniska.

- Nie dziwię mu się. Wiem, jaki robią bałagan.

- Widzi pan ten napis na drzewie? Wzbroniony wstęp, polowanie, łowienie ryb, obozowanie.

- Ano - powiedziałem - z tego widać, że sprawa jest poważna. Jeżeli pana zadaniem jest mnie wyrzucić, to musi pan mnie wyrzucić. Odjadę spokojnie. Ale właśnie zrobiłem sobie garnek kawy. Czy pan sądzi, że pański szef miałby za złe, gdybym jej dokończył? Czy miałby za złe, gdybym poczęstował pana filiżanką? Wtedy mógłby pan mnie prędzej stąd wylać.

Młody człowiek wyszczerzył zęby.

- Cholera z tym - powiedział. - Nie rozpala pan ognisk i nie rozrzuca śmieci.

- Robię coś gorszego. Próbuję pana przekupić filiżanką kawy. A nawet jeszcze gorzej. Proponuję łyk whisky do kawy.

Roześmiał się wtedy.

- Cholera z tym! - powiedział. - Tylko zjadę jeepem z drogi.

No i sytuacja się rozładowała. Młody człowiek zasiadł po turecku na ziemi, na igłach sosnowych, i popijał kawę. Charley obwąchał go z bliska i pozwolił mu się dotykać, a to jest rzeczą rzadką u Charleya. Nie pozwala dotykać się obcym, po prostu akurat jest wtedy gdzie indziej. Ale palce tego młodego człowieka znalazły miejsce za uszami, gdzie Charley uwielbia być drapany, więc westchnął z zadowoleniem i usiadł.

- Co pan robi? Jedzie na polowanie? Widzę, że pan ma strzelby w wozie.

- Jestem tu tylko przejazdem. Wie pan, jak to się widzi jakieś miejsce, które w sam raz pasuje, a jest się właśnie dosyć zmęczonym, i wtedy chyba nie można się nie zatrzymać.

- Aha - powiedział. - Wiem, o co panu idzie. Ładny wóz pan masz.

- Lubię go i Charley go lubi.

- Charley? Jeszcze nie słyszałem, żeby pies nazywał się Charley. Cześć, Charley.

- Nie chciałbym, żeby pan miał przykrości od szefa. Myśli pan, że powinienem zaraz zbierać tylek w troki?

- Po cholere? - odrzekł. - Jego tu nie ma. Ja go zastępuję. A pan nie robisz nic złego.

- Jestem na cudzym terenie.

- Wiesz pan co? Jeden gość obozował tutaj, jakiś stuknięty. To przyjechałem go wyrzucić. Powiedział mi coś śmiesznego. Mówi: „Wkraczanie na cudzy teren nie jest przestępstwem ani występkiem”. Mówił, że to uszczerbek. Co to znaczy, u diabła?

- Nie mam pojęcia - odparłem. - Nie jestem stuknięty. Podgrzeję panu kawę.

Podgrzewałem ją w podwójnym sensie.

- Fajną kawę pan robisz - powiedział gość.
- Zanim się całkiem ściemni, muszę znaleźć sobie miejsce do zaparkowania. Zna pan jakieś przy drodze, gdzie pozwoliliby mi zostać na noc?
- Jakby pan stanął tam, za tymi sosnami, nikt by pana nie zobaczył z drogi.
- Ale zrobiłbym uszczerbek.
- Aha! Jak pragnę Boga, chciałbym wiedzieć, co to znaczy?

Pojechał jeepem przede mną i pomógł mi znaleźć równe miejsce w lasku sosnowym. A kiedy się ściemniło, wszedł do Rosynanta i podziwiał jego urządzenie, i wypiliśmy razem trochę whisky, i było nam bardzo przyjemnie, i powiedzieliśmy sobie nawzajem parę kłamstw. Pokazałem mu kilka wymyślnych haczyków i spławików, które kupiłem u Abercrombiego i Fitcha, dałem mu jeden i jeszcze kilka kryminałów, które skończyłem czytać, całych naładowanych seksem i sadyzmem, a także egzemplarz czasopisma wędkarskiego. W zamian za to zaprosił mnie, żebym został, jak długo zechcę, i powiedział, że jutro przyjedzie i razem połowimy sobie ryby, a ja się zgodziłem, przynajmniej na jeden dzień. Miło jest mieć przyjaciół, a poza tym potrzebowałem odrobiny czasu, żeby pomyśleć o tym, co widziałem - o olbrzymich fabrykach i zakładach, o krzątaniu i produkcji.

Strażnik jeziora był człowiekiem samotnym, tym bardziej samotnym, że miał żonę. Pokazał mi jej zdjęcie w plastikowej kopercie, które nosił w portfelu; była ładniutką blondynką, która usiłowała, jak mogła, dorównać obrazkom z ilustrowanych pism - dziewczyną żyjącą kosmetykami, preparatami do robienia wiecznej ondulacji w domu, szamponami, eliksirami, środkami do czyszczenia skóry. Nie cierpiała tego odludzia, jak to nazywała, tęskniła do wspaniałego, pełnego uroków życia w Toledo czy w South Bend. Jedyńm jej towarzystwem były lśniące stronice „Charm” i „Glamour”. I w końcu musiała dąsaniem się osiągnąć zwycięstwo. Jej mąż pewnie weźmie posadę w jakimś wielkim, rozdzwonionym organizmie postępu i odtąd będą żyli szczęśliwie. Wszystko to wynurzyło się drobnymi, okólnymi tryśnięciami z jego rozmowy. Ona wiedziała dokładnie, czego chce, a on nie, ale jego pragnienia miały go drażnić boleśnie do końca życia. Kiedy odjechał swoim jeepem, począłem za niego przeżywać jego życie i to na mnie spuściło mgłę rozpacz. Chciał swojej ładnej żoneczki i chciał czegoś innego, a nie mógł mieć jednego i drugiego na raz.

Charley miał sen tak gwałtowny, że mnie obudził. Łapy targały mu się ruchem biegania i wydawał ciche, szczekliwe odgłosy. Być może śniło mu się, że goni jakiegoś gigantycznego królika i ani rusz nie może go złapać. Albo może w tym śnie coś goniło jego. Pod wpływem tego drugiego przypuszczenia wyciągnąłem rękę i obudziłem go, ale ów sen musiał być mocny. Charley mrucał do siebie, narzekał i wypił pół miseczki wody nim znowu zasnął.

Strażnik powrócił wkrótce po wschodzie słońca. Przywiózł wędkę, ja wyjąłem swoją, zamontowałem kołowrotek i musiałem odszukać okulary, żeby przywiązać barwny spławik. Jednowłókowa żyłka jest przezroczysta, podobno niewidoczna dla ryb i całkowicie niewidoczna dla mnie bez okularów.

- Wie pan - powiedziałem - ja nie mam karty wędkarskiej.
- Po cholere - odrzekł. - I tak pewnie nic nie złowimy.

I miał rację, nic nie złowiliśmy.

Chodziliśmy i zarzucali wędki, chodziliśmy i robili wszystko, żeby zainteresować okonia czy szczupaka. Mój przyjaciel powtarzał:

- One tu są, jeżeli tylko uda nam się je zwabić.

Jednakże nie udało się. Jeżeli tam były, to są nadal.

Moje łowienie w niezwykle dużej mierze wygląda właśnie tak, ale lubię to mimo wszystko. Moje potrzeby są proste. Nie pragnę ucześcić się jakiegoś monstrualnego symbolu losu i udowodnić swojej męskości w tytanicznej rybiej wojnie. Natomiast czasem lubię kilka uczynnych ryb o patelnianych rozmiarach. W południe odmówiłem przyjęcia zaproszenia na obiad i na spotkanie z ową żoną. Było mi coraz bardziej pilno spotkać się z moją własną, więc pośpieszyłem dalej.

Niezbyt dawno temu były czasy, kiedy człowiek wypływający na morze przestawał istnieć na dwa czy trzy lata albo na zawsze. A kiedy wozy pionierów wyruszały poprzez kontynent, pozostali w domu przyjaciele i krewni mogli już nigdy więcej nie mieć wieści od wędrowców. Nawet ja pamiętam jeszcze czasy, kiedy telegram oznaczał tylko jedno: śmierć w rodzinie. W ciągu jednego krótkiego okresu życia telefon zmienił to wszystko. Jeżeli w tej mojej wędrownej opowieści wydaje się, że przeciąłem wszelkie więzy rodzinnych radości i trosk, bieżących wykroczeń mojego młodszego chłopaka i nowych zębów najmłodszego, zawodowych tryumfów i udręk, to tak nie jest. Trzy razy na tydzień, z jakiegoś baru, supermarketu albo zarzuconej oponami i narzędziami stacji obsługi, łączyłem się z Nowym Jorkiem i odzyskiwałem swoją tożsamość w czasie i przestrzeni. Przez trzy czy cztery minuty miałem nazwisko i obowiązki, radości i rozczarowania, które człowiek ciągnie za sobą jak ogon komety. Było to jak przeskakiwanie tam i z powrotem z jednego wymiaru w drugi, cicha eksplozja przekraczania bariery dźwięku, ciekawe przeżycie, podobne do szybkiego zanurzenia się w znaną, lecz obcą wodę.

Było ustalone, że moja żona ma przylecieć do Chicago, aby spotkać się ze mną podczas krótkiej przerwy w mojej podróży. W ciągu dwóch godzin, przynajmniej teoretycznie, miała przeciąć szmat ziemi, przez którą ja musiałem pełznąć dwa tygodnie. Zaczynałem się niecierpliwic, trzymałem się olbrzymiej autostrady, która biegnie północną granicą Indiany, wyminałem Elkhart, South Bend i Gary. Charakter tej drogi określa charakter podróży. Prostość szosy, śmiganie pojazdów, nieprzerwana szybkość działają hipnotycznie i w miarę, jak odwijają się mile, rodzi się niedostrzegalne wyczerpanie. Dzień i noc są jednością. Zachód słońca nie jest ani zachętą, ani nakazem zatrzymania się, bo ruch trwa nieustannie.

Późno w nocy zajechałem na postój, zjadłem hamburgera w dużym barze, którego nigdy nie zamykają, i wyprowadziłem Charleya na spacer po krótko przyszyżonym trawniku. Spałem godzinę, ale obudziłem się na długo przed świtem. Zabrałem ze sobą miejskie ubrania, koszule i buty, ale zapomniałem wziąć walizki, w której mógłbym je przenieść z wozu do pokoju hotelowego. W istocie nie wiem, gdzie mógłbym zmieścić walizkę. W koszu na śmieci pod łukową latarnią znalazłem czyste pudło z tektury falistej i zapakowałem do niego moje garnitury. Czyste białe koszule zawinałem w mapy drogowe, a pudełko obwiązałem żyłką od wędkę.

Znając swoją skłonność do popadania w panikę wśród wrzawy i natłoku ruchu ulicznego, wjechałem do Chicago na długo przed świtem. Chciałem zakończyć tę jazdę w hotelu „Ambassador East”, gdzie miałem zarezerwowany pokój, ale zgodnie z moim zwyczajem skończyłem na tym, że zabłądziłem. Wreszcie, w wybuchu inwencji, złapałem nocną taksówkę, ażeby mnie poprowadziła, i oczywiście okazało się, że przedtem przejechałem bardzo blisko mojego hotelu. Jeżeli portier i chłopcy hotelowi uznali mój środek lokomocji za niezwykle, to nie dali tego poznać po sobie. Wręczyłem im moje ubrania na wieszakach, buty w kieszeni na zwierzynę mojej myśliwskiej kurtki, a koszule w schludnym opakowaniu z map drogowych Nowej Anglii. Rosynant został szybko usunięty do garażu na przechowanie. Charley musiał udać się do pomieszczenia dla psów, gdzie miano go przechować, wykapać i utrefić. Mimo swojego wieku jest psem próżnym i uwielbia być wypiękniany, ale kiedy

przekonał się, że ma zostać sam, i to w Chicago, jego zwykła pewność siebie prysła i zaczął wrzeszczeć z wściekłości i rozpacz. Zatkalem sobie uszy i szybko odszedłem do hotelu.

Myślę, że jestem dobrze i dodatnio znany w „Ambassador East”, ale to nie musi działać, kiedy przyjeżdżam w wygniecionym myśliwskim ubraniu, nieogolony i z lekka oblepiony brudem podróży, z oczami mętными od prowadzenia wozu prawie przez całą noc. Oczywiście, pokój dla mnie był zarezerwowany, ale mógł być zwolniony dopiero w południe. Sytuacja hotelu została mi starannie wyjaśniona. Zrozumiałem ją i wybaczyłem kierownictwu. Moja własna sytuacja była taka, że pragnąłem kąpieli i łóżka, ale ponieważ to było niemożliwe, więc po prostu zamierzałem zwalić się na fotel w hallu i pospać, dopóki mój pokój nie będzie gotowy.

Dojrzałem w oczach recepcjonisty uczucie rozterki. Nawet ja wiedziałem, że nie byłbym ozdobą tego eleganckiego i kosztownego przybytku luksusu. Ściągnął zastępcę dyrektora, być może za pomocą telepatii, i wszyscy razem obmyśliśmy rozwiązanie. Jakiś pan właśnie zwolnił pokój, aby zdążyć na wczesny samolot. Pokój ten nie był wysprzątnany i przygotowany, ale mogłem z niego skorzystać, dopóki mój nie będzie gotowy. W ten sposób problem został rozwiązany dzięki inteligencji i cierpliwości i każdy otrzymał to, czego chciał - ja mogłem wziąć gorącą kąpiel i przespać się, a hotelowi została zaoszczędzona przykrość mojego przebywania w hallu.

Pokoju nie ruszono od wyjazdu poprzedniego lokatora. Opadłem na wygodny fotel, ażeby ściągnąć buty, i nawet już jeden zdjąłem, kiedy zacząłem dostrzegać pewne rzeczy, a potem inne i jeszcze inne. W zadziwiająco krótkim czasie zapomniałem o kąpiel i spaniu i stwierdziłem, że jestem głęboko zaprzątnięty Samotnym Harrym.

Odpoczywające lub przechodzące zwierzę pozostawia po sobie zgniecioną trawę, tropy, czasem odchody, natomiast istota ludzka zajmująca pokój na jedną noc odciska w nim swój charakter, swoją biografię, niedawną historię, a niekiedy nadzieje i plany na przyszłość. Wierzę również, że osobowość wsiąka w mury i jest powoli wydzielana. To mogłoby być wyjaśnieniem duchów i tym podobnych przejawów. Jakkolwiek moje wnioski mogą być mylne, jestem najwyraźniej wyczulony na ludzkie tropy. Poza tym nie wstydzę się przyznać, że jestem niepoprawnym podglądaczem. Nigdy nie przeszedłem obok nie zasłoniętego okna nie zaglądając do środka, nigdy nie zamykałem uszu na rozmowę, która nie była moją sprawą. Mogę to usprawiedliwiać czy nawet uszlachetniać twierdzeniem, że zawód mój wymaga znajomości ludzi, ale podejrzewam, że jestem po prostu ciekawy.

Kiedy siedziałem w tym nie posprzątanym pokoju. Samotny Harry zaczął przybierać kształt i wymiary. Mogłem wyczuć tego niedawno tu przebywającego gościa w kawałeczkach i drobinach jego samego, które po sobie zostawił. Oczywiście Charley, nawet ze swoim niedoskonałym węchem, wiedziałby więcej. Ale Charley był w psiarni i gotował się do strzyżenia. Mimo to Harry jest dla mnie równie rzeczywisty jak każdy, kogo poznałem, a rzeczywistszy od wielu. Nie jest unikatem; w istocie należy do dosyć licznej grupy. Dlatego staje się interesujący przy każdych badaniach nad Ameryką. Ażeby wielu mężczyzn nie popadło w zdenerwowanie, muszę oświadczyć, zanim go zacznę lepić z kawałków, że nie ma na imię Harry. Mieszka w Westport, w Connecticut. Ta informacja pochodzi z opasek na kilka koszul odebranych z pralni. Człowiek zazwyczaj mieszka tam, gdzie daje koszule do prania. Przypuszczam tylko, że dojeżdża do pracy do Nowego Jorku. Jego podróż do Chicago miała przede wszystkim charakter zawodowy z kilkoma dorzuconymi tradycyjnymi przyjemnościami. Znam jego nazwisko, ponieważ podpisał się

kilkakrotnie na hotelowym papierze listowym, za każdym razem pochylając litery nieco inaczej. To wydaje się wskazywać, że nie jest całkowicie pewny siebie w świecie interesów, ale były i inne tego oznaki.

Zaczął pisać list do żony, który też skończył w koszu do śmieci. „Kochanie, wszystko idzie okej. Próbowałem dodzwonić się do twojej cioci, ale nikt nie odpowiadał. Żałuję, że ciebie tu nie ma ze mną. To smutne miasto. Zapomniałaś zapakować mi spinki. Kupiłem sobie tanią parę w Marshall Field. Piszę ten list czekając na C.Ę. Mam nadzieję, że przyniesie kontr...”

Może i lepiej, że Kochanie nie wpadło w odwiedziny, aby Larry’emu było mniej smutno w Chicago. Jego gościem nie był C.E. z kontraktem. Była nim brunetka używająca bardzo jasnej pomadki do ust - niedopałki papierosów i krawędź szklanki do whisky. Wypili Jacka Daniela, całą butelkę - pusta butelka, sześć flaszek od wody sodowej i miseczka, w której były kostki lodu. Ona używała mocnych perfum i nie została na noc - druga poduszka użyta, ale bez śladów spania, a także żadnych resztek pomadki do ust na wyrzuconych bibułkach. Lubię sobie myśleć, że na imię miała Lucille - nie wiem, dlaczego. Może dlatego, że tak było i jest. Była nerwową znajomą - paliła papierosy Harry’ego z filtrami, ale gasiła każdy po wypaleniu zaledwie jednej trzeciej i brała następny, a właściwie ich nie gasiła, tylko rozgniała, wystrzępiając koniuszki. Lucille nosiła jeden z tych maciupeńkich kapeluszków przytrzymywanych grzebyczkami. Taki grzebyczek jej wypadł. On i zapinka do włosów leżąca przy łóżku powiedział mi, że Lucille jest brunetką. Nie wiem, czy Lucille jest zawodowa czy nie, ale przynajmniej ma doświadczenie. Jest w niej jakaś przyjemna rzeczowość. Nie pozostawiła po sobie za wielu drobiazgow, tak jak mogłaby to zrobić amatorka. A także się nie upiła. Jej szklanka była pusta, ale wazon czerwonych róż - dar kierownictwa hotelu - pachniał Jackiem Danielem, co różom nie wyszło na dobre.

Ciekaw jestem, o czym Harry i Lucille rozmawiali. Ciekaw jestem, czy dzięki niej czuł się mniej samotny. Jakoś w to wątpię. Myślę, że oboje robili to, czego należało się po nich spodziewać. Harry nie powinien był pić tak ostro. Jego żołądek tego nie wytrzyma - papierki od pastylek w koszu na śmiecie. Przypuszczam, że jego zawód jest skomplikowany i ciężki dla żołądka. Samotny Harry musiał dokończyć butelki po wyjściu Lucille. Miał kaca - dwie tubki z folii po sodzie oczyszczanej w łazience.

Nękały mnie trzy rzeczy, jeżeli idzie o Samotnego Harry’ego. Po pierwsze, nie sądzę, żeby się dobrze zabawił; po drugie myślę, że był naprawdę samotny, może chronicznie; a po trzecie nie zrobił ani jednej rzeczy nieprzewidzianej - nie stłukł szklanki czy lustra, nie dopuścił się żadnych wybryków, nie pozostawił żadnego namacalnego świadectwa uciechy. Kuśtykałem po pokoju w jednym bucie, wywiadując się o Harrym. Zaglądałem też i pod łóżko, i do szafy. Nie zapomniał nawet krawata. Zrobiło mi się żal Harry’ego.

Część trzecia

Chicago było przerwą w mojej podróży, odzyskaniem nazwiska, tożsamości i szczęśliwego stanu małżeńskiego. Żona moja przyleciała ze wschodu na krótkie odwiedziny. Byłem zachwycony tą odmianą, tym powrotem do swojskiego i wypróbowanego życia - ale tutaj natrafiam na pewną literacką trudność.

Chicago przerwało mi ciągłość. To jest dopuszczalne w życiu, ale nie w pisaniu. Dlatego też pomijam tu Chicago, bo wyskakuje z kompozycji, z rysunku. W mojej podróży było przyjemne i dobre; w pisaniu stanowiłoby tylko wyłom.

Kiedy ten czas minął i odbyły się pożegnania, musiałem znowu przejść przez to samo uczucie zagubienia i samotności i nie było ono mniej dotkliwe niż na początku. Zdaje się, że nie ma lekarstwa na samotność poza przebywaniem w pojedynkę.

Charley był miotany trzema uczuciami: gniewem na mnie, że go zostawiłem, radością na widok Rosynanta i czystą dumą ze swego wyglądu. Bo kiedy Charley jest wypielęgowany, przystrzyżony i umyty, jest z siebie kontent jak mężczyzna mający dobrego krawca albo kobieta świeżo wypatynowana w salonie piękności - ponieważ wszyscy oni wierzą, że tak wyglądają zawsze. Wyczesane kolumny nóg Charleya przedstawiały się wspaniale, jego kołpak ze srebrno-granatowego futerka był zabójczy, a pompon ogona nosił niczym batutę szefa orkiestry. Wspaniale, wyczesane i przystrzyżone wąsy nadawały mu wygląd francuskiego galanta z dziewiętnastego stulecia, a przy okazji przesłaniały jego krzywe przednie zęby. Tak się składa, że wiem, jak on wygląda bez tych ozdóbek. Któregoś lata, kiedy sierść skołtuniła mu się i zapleśniała, ostrzygłem go do skóry. Pod tymi potężnymi wieżami łap są patykowate golenie, cienkie i niezbyt proste; po usunięciu krezy na piersiach widać obwisły brzuch osobnika w średnim wieku. Jeżeli jednak Charley był świadom własnej głęboko ukrytej niedoskonałości, nie dał tego poznać po sobie. O ile człowieka można poznać po manierach, to pudła można poznać po manierach i pielęgnacji. Siedział w Rosynancie wyprostowany i nobliwy i dawał mi do zrozumienia, że wprawdzie przebaczenie nie jest wykluczone, ale będę musiał na nie zapracować.

Charley jest oszustem i ja to wiem. Raz, kiedy nasi chłopcy byli jeszcze mali i przebywali na obozie, złożyliśmy im nudną rodzicielską wizytę. Właśnie zbieraliśmy się do odjazdu, gdy któraś z matek powiedziała nam, że musi prędko odjechać, żeby jej dziecko nie dostało ataku hysterii. I z dzielnie zaciśniętymi, chociaż drżącymi wargami uciekła na oślep, maskując swoje uczucia, aby ocalić dziecko. Chłopiec patrzył za nią, a potem z niezmierną ulgą wrócił do swojej paczki i swoich zajęć, wiedząc, że także zagrał grę. I wiem z pewnością, że w pięć minut po pozostawieniu przeze mnie Charleya znalazł on sobie nowych przyjaciół i poczynił odpowiednie kroki dla swojej wygody. Natomiast jednej rzeczy Charley nie udawał. Był uszczęśliwiony, że znowu jedzie w drogę i przez kilka dni był ozdobą podróży.

Illinois przygotowało dla nas pogodny jesienny dzień, rzeźwy i czysty. Jechaliśmy szybko na północ, kierując się ku Wisconsin, przez szlachetny kraj żyznych pól i wspaniałych drzew, kraj ziemiański, schludny, biało grodzony i, jak przypuszczam, subsydiowany przez jakieś fundusze z zewnątrz. Nie wydawał się posiadać rozmachu ziemi, która żywi sama siebie i swego właściciela. Był raczej jak piękna kobieta, która wymaga pomocy i poparcia wielu osób bez twarzy, po prostu żeby się utrzymać. Jednakże przez to nie staje się mniej ładna - jeżeli możecie sobie na nią pozwolić.

Jest możliwe, nawet prawdopodobne, usłyszeć jakąś prawdę o danym miejscu, przejąc ją, znać i jednocześnie nic o nim nie wiedzieć. Nigdy nie byłem w Wisconsin, ale przez całe życie o nim słyszałem, jadłem tamtejsze sery, niektóre dorównujące najlepszym na świecie. I musiałem widywać zdjęcia. Każdy musiał. Dlaczego więc byłem nie przygotowany na piękno tej okolicy, na różnorodność jej pól, wzgórz, lasów i jezior? Teraz myślę, że musiałem uważać ją za jedno wielkie, płaskie pastwisko dla krów z uwagi na olbrzymią produkcję wytworów mleczarskich w tym stanie. Nigdy nie widziałem kraju, który zmieniałby się tak prędko, a ponieważ nie spodziewałem się tego, wszystko, co zobaczyłem, wywoływało zachwyt. Nie wiem, jak jest w innych porach roku, może lato odurza i zieleń upałem, a zima jest skuta ponurym mrozem, lecz kiedy zobaczyłem te strony po raz pierwszy i jedyny na początku października, powietrze było nasycone złotawym światłem słońca, nie zamglone, ale rzeźwe i czyste, tak że każde wesoło oszronione drzewo odcinało się od innych, a wysokie wzgórza nie zlewały się ze sobą, ale były odrębne i osobne. Była jakaś głęboka penetracja światła w materię, tak iż zdawało mi się, że mogę wejrzeć głęboko w przedmioty, a ten rodzaj światła widziałem poza tym tylko w Grecji. Przypominam sobie teraz, iż mówiono, że Wisconsin jest ładnym stanem, ale to wcale mnie nie przygotowało. Dzień był czarodziejski. Kraj ociekał bogactwem, tłuste krowy i świnie lśniły na tle zieleni, a na mniejszych poletkach kukurydza stała małymi namiotami, tak jak należy, dokoła niej zaś były dynie.

Nie wiem, czy Wisconsin ma święto degustacji sera, ale jako miłośnik serów uważam, że powinien. Ser był wszędzie - ośrodki serowarskie, spółdzielnie serowarskie, sklepy i kramy z serem, być może nawet serowe lody. We wszystko uwierzę, skoro widziałem kilkanaście szyldów reklamujących Cukierki z Sera Szwajcarskiego. Wielka szkoda, że się nie zatrzymałem, ażeby pokosztować Cukierków z Sera Szwajcarskiego. Teraz nie mogę nikogo przekonać, że istnieją naprawdę, a przecież ich nie wymyśliłem.

Przy szosie zauważyłem duży zakład największego dystrybutora muszli morskich na świecie - i to w Wisconsin, który nie widział morza od czasów przedkambryjskich. Ale Wisconsin naładowany jest niespodziankami. Słyszałem o tamtejszych wąwozach, ale nie byłem przygotowany na niesamowite urzeźbienie kraju przez epokę lodowców - tego dziwnego polśniewającego kraju wód i rzeźbionych skał, zielonych i czarnych. Gdyby ktoś się tu zbudził, mógłby pomyśleć, że to sen o innej planecie, bo jest w tym coś niezemskiego - albo też wziąć to za wrytą pamiątkę czasów, kiedy świat był dużo młodszy i zupełnie inny. Do brzegów nierealnych dróg wodnych przywierało śmiecie naszej epoki - motele, kioski z sandwiczami, sklepy z tanizną, miernotą i tandetą, tak uwielbianą przez letnich turystów, ale te narośle były zamknięte i opatrzone okiennicami na zimę, a wątpię, czy nawet gdy są otwarte, mogą zniweczyć czar wąwozów Wisconsinu.

Tego wieczora zatrzymałem się na wzgórzu, które było miejscem postoju dla ciężarówek, ale specjalnego rodzaju. Tutaj odpoczywały olbrzymie ciężarówki do przewożenia bydła i wyskrobywały pozostałości po swoim niedawnym ładunku. Były

tam całe góry nawozu, nad nimi zaś grzybowate chmury owadów. Charley biegał uśmiechając się i wężąc w ekstazie niczym Amerykanka we francuskim sklepie z perfumami. Nie mogę się zdobyć na skrytykowanie jego gustu. Jedni lubią to, inni tamto. Zapachy były bujne i przyziemne, ale nie obrzydliwe.

Kiedy zaczęło się zmierzchać, poszedłem z Charleyem obok tych jego gór rozkoszy na krawędź wzgórza i popatrzyłem na małą dolinę pode mną. Był to widok niepokojący. Pomyślałem, że od zbyt długiego prowadzenia wzrok mi się zmacił czy rozum pomieszał, bo ciemna ziemia w dole zdawała się poruszać, pulsować i oddychać. Nie była to woda, a jednak marszczyła się jak czarna ciecz. Zeszedłem szybko ze wzgórza, ażeby wyrównać to skrzywienie. Dno doliny wyścielone było indykami, zdawało się, że są ich miliony stłoczone tak gęsto, że przykrywały ziemię. Poczulem wielką ulgę. Był to oczywiście rezerwuar na Dzień Dziękczynienia.

Leży w naturze indyków zbijać się wieczorami tak ciasno w kupę. Pamiętam, jak na ranczo za moich młodych lat indyki zbierały się i obsiadały pękami drzewa cyprysowe, poza zasięgiem żbików i kojotów, co jest jedyną znaną mi wskazówką, że posiadają jakąkolwiek inteligencję. Kto je zna, nie może ich podziwiać, bo są próżne i histeryczne. Skupiają się w grupy łatwe do zaatakowania, a potem popadają w panikę z byle powodu. Podlegają wszystkim schorzeniom innego ptactwa wraz z paroma takimi, które wymyśliły same. Indyki wydają się typami maniakalno-depresyjnymi; w jednej chwili bulgoczą pokraśniałymi kolorami, rozkładają ogony i szorują skrzydłami z miłosnym junactwem, a następnie kulą się w nikczemnym strachu. Trudno pojąć, jak mogą być spokrewnione ze swymi dzikimi, mądrymi, podejrzliwymi kuzynami. Tu jednak ich tysiące zaścielały ziemię czekając aż legną brzuchem do góry na półmiskach Ameryki.

Wiem, iż to wstyd, że nigdy nie widziałem szlachetnych bliźniaczych miast St. Paul i Minneapolis, ale o ileż większą hańbą jest, że i teraz ich nie zobaczyłem, choć przez nie przejechałem. Gdy się zbliżałem, pochłonął mnie wielki przybój pojazdów, fale wieloosobowych wozów, przybływy ryczących ciężarówek. Zastanawiam się, dlaczego tak jest, że kiedy zaplanuję trasę nazbyt starannie, wszystko mi się rozłązi, natomiast kiedy brnę na oślep przed siebie w szczęsnej niewiedzy, zmierzając w jakimś urojonym kierunku, przedostaję się bez kłopotów. Wczesnym rankiem przestudiowałem mapy, wykreśliłem starannie linię wzdłuż drogi, którą chciałem przejechać. Jeszcze mam ten zuchwały plan - do St. Paul szosą 10, potem spokojnie przez Missisipi. Esowaty zakręt Missisipi w tym miejscu dawał mi trzy przeprawy przez rzekę. Po tej przyjemnej wycieczce zamierzałem przejechać przez Złotą Dolinę, zwabiony jej nazwą. To się wydaje dosyć proste i pewnie może być dokonane, ale nie przeze mnie.

Najpierw uderzył w nas ruch uliczny niby potężna fala i poniósł mnie, skołatany szczątek, tuż za cysterną benzynową, długą na pół przecznicy. Za sobą miałem olbrzymią betoniarkę na kołach, której wielka haubica obracała się w czasie jazdy. Po prawej natomiast coś, co mi wyglądało na atomową armatę. Jak zwykle, popadłem w panikę i zgubiłem się. Niby słabnący pływak przesunąłem się w prawo, w jakąś przyjemną ulicę, tylko po to, by zostać zatrzymanym przez policjanta, który poinformował mnie, że ciężarówki i inne takie robactwo nie mają tu wstępu. Wrzucił mnie z powrotem w szalejący potok.

Jechałem przez całe godziny nie mogąc ani na chwilę oderwać oczu od otaczających mnie mamutów. Musiałem przejechać przez rzekę, ale nie zdołałem jej dojrzeć. Nie zobaczyłem jej nigdy. Nigdy nie zobaczyłem St. Paul ani Minneapolis. Widziałem tylko rzekę ciężarówek, słyszałem tylko ryk motorów. Powietrze przesycone dieslowskimi wyziewami paliło mnie w płucach. Charley dostał ataku

kaszlu, a ja nie mogłem znaleźć chwili, aby go klepnąć po grzbiecie. Przy jakimś czerwonym świetle dojrzałem, że jestem na Trasie Ewakuacyjnej. Trzeba było pewnego czasu, żeby to do mnie dotarło. W głowie mi się kręciło. Utraciłem wszelkie poczucie kierunku. Ale napisy „Trasa Ewakuacyjna” powtarzały się ciągle. Oczywiście jest to zaplanowana trasa ucieczki przed bombą, która nie została zrzucona. Tu, w centrum Środkowego Zachodu, szlak ucieczki, droga wytyczona przez strach. Potrafiłem to sobie wyobrazić, bo widziałem ludzi uciekających - drogi zablokowane i unieruchomione i szaloną gonitwę na własną rękę przez wzgórza. I nagle pomyślałem o tamtej dolinie indyków i zastanowiłem się, jak mogłem mieć czelność uważać, że są głupie. W istocie mają nad nami jedną wyższość. Są dobre do jedzenia.

Trzeba mi było blisko czterech godzin, żeby przedostać się przez bliźniacze miasta. Słyszałem, że niektóre ich zakątki są piękne. I nigdy nie znalazłem Złotej Doliny. Charley nie był mi żadną pomocą. Nie chciał mieć nic wspólnego z rasą, która potrafiła zbudować coś, od czego musiała uciekać. Nie miał ochoty lecieć na księżyc tylko po to, żeby się wyrwać z tego wszystkiego. W obliczu naszej głupoty Charley bierze ją za to, czym jest - za głupotę.

W jakimś momencie tych obłąkańczych godzin musiałem znowu przejechać przez rzekę, bo znalazłem się z powrotem na szosie US 10 i posuwałem się na północ po wschodniej stronie Missisipi. Rozwarła się przede mną wolna przestrzeń i zatrzymałem się wyczerpany przed przydrożną restauracją. Była to restauracja niemiecka, z parówkami, kiszoną kapustą i kamionkowymi kufkami do piwa, które wisiały rzędami nad barem, lśniące, ale nie używane. O tej porze dnia byłem jedynym klientem. Kelnerka nie była Brunhildą, ale chudą, posępną małą istotą, młodą i znękaną dziewczyną albo też bardzo rześką starą kobietą. Nie mogłem poznać, którą z nich. Zamówiłem Bratwurst i Sauerkraut, i wyraźnie widziałem, jak kucharz odwił kielbasę z celofanowego opakowania i wpuszczał ją do gotującej wody. Piwo podano w dzbanie. Kielbasa była okropna, a kapusta - obelżywą, wodnistą mazią.

- Czy pani mogłaby mi pomóc? - zapytałem młodo--starej kelnerki.

- A o co chodzi?

- Zdaje się, że trochę zabłądziłem.

- Jak to, zabłądził pan? - spytała.

Kucharz wychylił się przez okienko i oparł gołymi łokciami o swój kontuar.

- Chcę jechać do Sauk Centre i jakoś nie mogę tam trafić.

- A skąd pan jedzie?

- Z Minneapolis.

- To co pan robi po tej stronie rzeki?

- Ano, bo trochę zbłądziłem także i w Minneapolis.

Spojrzała na kucharza.

- On zabłądził w Minneapolis - powiedziała.

- Nikt nie może zbłądzić w Minneapolis - orzekł kucharz. - Ja tam się urodziłem, to wiem.

- Ja jestem z St. Cloud - powiedziała kelnerka - a nie potrafię zbłądzić w Minneapolis.

- Widać mam do tego jakiś nowy talent. Ale chcę dojechać do Sauk Centre.

- Jeżeli będzie się trzymał szosy, to nie może zbłądzić - rzekł kucharz. - Jest pan na Pięćdziesiątej Drugiej. Niech pan przejdzie przez rzekę w St. Cloud i trzyma się Pięćdziesiątej Drugiej.

- A Sauk Centre jest na niej?

- Nigdzie indziej. Pan musi być tu obcy, żeś pan zabłądził w Minneapolis. Ja bym nie mógł, nawet z zawiązanymi oczami.

Zapytałem z niejakim rozdrażnieniem:

- A mógłby pan zabłądzić w Albany czy San Francisco?

- Nigdy tam nie byłem, ale założę się, że bym nie zabłądził.

- Ja byłem w Duluth - powiedziała kelnerka. - A na Boże Narodzenie jadę do Sioux Falls. Mam tam ciotkę.

- Nie masz krewnych w Sauk Centre? - zapytał kucharz.

- Owszem, ale to nie tak daleko jak San Francisco, o którym on mówi. Mój brat jest w marynarce. W San Diego. Pan ma jakichś krewnych w Sauk Centre?

- Nie, tylko chcę zobaczyć miasto. Sinclair Lewis stamtąd pochodził.

- A, tak. Mają tam napis. Zdaje się, że sporo ludzi tam przyjeżdża. Miasto na tym nieźle wychodzi.

- On jest pierwszym, który mi opowiedział o tej części kraju.

- Kto taki?

- Sinclair Lewis.

- Aha. Pan go zna?

- Nie, tylko go czytałem.

Jestem pewny, że chciała zapytać: „Kogo?”, ale ją powstrzymałem:

- Więc mam przejechać przez rzekę w St. Cloud i trzymać się Pięćdziesiątej Drugiej?

Nie zdaje mi się, żeby ten jak-mu-tam jeszcze tam

- powiedział kucharz.

Wiem. On umarł.

Niemożliwe!

W Sauk Centre rzeczywiście był napis: „Miejsce urodzenia Sinclaira Lewisa”.

Z jakiegoś powodu przejechałem tamtędy prędko i skręciłem w kierunku północnym na szosę 71 do Wadena, i zrobiło się ciemno, a ja grzmiałem dalej do Detroit Lakes. Przed oczyma miałem twarz chudą i skurczoną, twarz przypominającą jabłko, które za długo leżało w beczce - twarz samotną i chorą z samotności.

Nie znałem go dobrze, nie znałem go w ogóle w tych burzliwych czasach, kiedy go nazywano „Czerwonym”. Pod koniec życia dzwonił do mnie kilka razy z Nowego Jorku i chodziliśmy na lunch do „Algonquinu”. Mówiłem do niego „Mister Lewis” - i tak go nadal w myśli nazywam. Nie pił już wtedy i nie znajdował przyjemności w jedzeniu, ale od czasu do czasu jego oczy błyskały stałą.

Przeczytałem „Ulicę Główną”, kiedy byłem w gimnazjum, i pamiętam gwałtowną nienawiść, jaką wywołała w jego rodzinnym mieście.

Czy wrócił tam?

Tylko bywał przejazdem od czasu do czasu. Jedyne dobre piśmiotwo to był martwy pisarz. Wtedy nie mógł już nikogo zaskoczyć, nie mógł nikogo urazić. Kiedy go widziałem po raz ostatni, miałem wrażenie, że skurczył się jeszcze bardziej. Powiedział: „Mnie jest zimno. Wciąż mi zimno. Jadę do Włoch”.

I pojechał, i umarł tam, i nie wiem, czy to prawda, czy nie, ale słyszałem, że umarł samotny. A teraz jest pożyteczny dla tego miasta. Ściąga trochę turystów. Teraz jest dobrym pisarzem.

Gdyby w Rosynancie było miejsce, zapakowałbym tam wydane przez WPA * „Przewodniki po Stanach”, wszystkie czterdzieści osiem tomów. Mam je w komplecie, a niektóre są bardzo rzadkie. O ile dobrze pamiętam, Dakota Północna wydrukowała tylko osiemset egzemplarzy, a Dakota Południowa około pięciuset. Pełny komplet zawiera najbardziej wyczerpujący opis Stanów Zjednoczonych, jaki kiedykolwiek zebrano, i nic od tej pory nie dorównało mu nawet w przybliżeniu. Zestawili go podczas depresji najlepsi pisarze w Ameryce, którzy, o ile to możliwe, byli w większej depresji niż jakakolwiek inna grupa społeczna, zachowując przy tym swój niepozbywalny instynkt jedzenia. Jednakże opozycja Roosevelta nie cierpiała tych książek. Jeżeli robotnicy WPA czekali oparci na łopatach, to pisarze czekali oparci na piórach. Rezultat był taki, że w niektórych stanach zniszczono matryce po wydrukowaniu paru egzemplarzy, a to wielka szkoda, bo były zbiornicami uporządkowanych, udokumentowanych i dobrze napisanych wiadomości geologicznych, historycznych i gospodarczych. Na przykład gdybym zabrał ze sobą moje przewodniki, odnalazłbym w nich Detroit Lakes w Minnesocie, gdzie dojechałem i wiedziałbym, czemu ta miejscowość tak się nazywa, kto ją tak nazwał, kiedy i dlaczego. Pełny komplet zawiera najbardziej wyczerpujący opis Stanów Zjednoczonych, jaki kiedykolwiek zebrano, i nic od tej pory nie dorównało mu nawet w przybliżeniu. Zestawili go podczas depresji najlepsi pisarze w Ameryce, którzy, o ile to możliwe, byli w większej depresji niż jakakolwiek inna grupa społeczna, zachowując przy tym swój niepozbywalny instynkt jedzenia. Jednakże opozycja Roosevelta nie cierpiała tych książek. Jeżeli robotnicy WPA czekali oparci na łopatach, to pisarze czekali oparci na piórach.

*Work Projects Administration — organizacja stworzona w 1935 r. mająca na celu rozszerzenie zatrudnienia, prowadząca ożywioną działalność społeczną, gospodarczą i kulturalną.

Rezultat był taki, że w niektórych stanach zniszczono matryce po wydrukowaniu paru egzemplarzy, a to wielka szkoda, bo były zbiornicami uporządkowanych, udokumentowanych i dobrze napisanych wiadomości geologicznych, historycznych i gospodarczych. Na przykład gdybym zabrał ze sobą moje przewodniki, odnalazłbym w nich Detroit Lakes w Minnesocie, gdzie dojechałem i wiedziałbym, czemu ta miejscowość tak się nazywa, kto ją tak nazwał, kiedy i dlaczego.

Zatrzymałem się niedaleko stamtąd późną nocą. Charley też, i wiem o niej nie więcej od niego.

Nazajutrz od dawna pielęgnowana ambicja miała zakwitnąć i wydać owoce.

Ciekawe, jak nie widziane miejsce może do tego stopnia opanować umysł, że sama jego nazwa jest jak sygnał. Dla mnie takim miejscem było Fargo w Dakocie Północnej. Może nazwa Wells-Fargo jest efektowna, ale moje zainteresowanie z pewnością sięga głębiej. Jeżeli weźmiecie mapę

Stanów Zjednoczonych i złożycie ją przez środek, zachodnim skrajem do wschodniego, a potem zagniecie ostro, to w samym owym zagięciu będzie Fargo. Na mapach, obejmujących dwie stronice, Fargo niekiedy gubi się w szwie atlasu. Może to nie jest zbyt naukowa metoda znajdowania samego środka kraju między zachodem i wschodem, ale wystarcza. Jednakże poza tym Fargo jest dla mnie bratem bajecznych zakątków ziemi, krewniakiem owych odległych miejsc, wymienianych przez Herodota i Marco Polo, i Man-deville'a. Odkąd sięgnę pamięcią, Fargo, jeżeli dzień był zimowy, było najzimniejszym miejscem na kontynencie. Jeżeli zaś tematem dnia były upały, to wówczas gazety określały Fargo jako gorętsze od wszystkich innych miejscowości albo też wilgotniejsze czy suchsze lub głębiej zagrzebane pod śniegiem. Takie w każdym razie jest moje wrażenie. Wiem jednak, iż z tuzin albo i pół setki miast powstanie w oburzeniu i gniewie, by mnie obrzucić danymi i cyframi, dowodzącymi, że mają o wiele okropniejszą pogodę niż Fargo. Z góry je przepraszam. Jako zadośćuczynienie za zranione uczucia muszę przyznać, że kiedy przejechałem przez Moorhead w Minnesocie i przedostałem się przez Red River do Fargo na drugim brzegu, był złoty jesienny dzień, a miasto tak samo znekane ruchem ulicznym, tak samo wytapetowane neonami, tak samo zatłoczone i kłębiące się od aktywności, jak każde inne rozwijające się miasto czterdziestosześcioletnie. Okolica nie różniła się niczym od Minnesoty za rzeką. Jechałem przez ulice, jak zwykle widząc niewiele poza ciężarówką przede mną i thunderbirdem odbitym w moim lusterku nad szybą. Żle jest, gdy jakiś nasz mit zostaje tak zachwiany. Czy ten sam los spotkałby Samarkandę albo Katakaj, albo Cipango, gdybym je odwiedził? Gdy tylko wydostałem się poza przedmieścia, ów zewnętrzny pierścień szkła i metalu, i przejechałem przez Mapleton, znalazłem przyjemne miejsce na postój nad Maple River niedaleko od Alice - cóż to za cudowna nazwa dla miasta: Alice! Miało ono stu sześćdziesięciu dwóch mieszkańców roku 1950, a stu dwudziestu czterech podczas ostatniego spisu. Tyle o wyżu demograficznym w Alice. Tak czy owak zajechałem do niewielkiego lasku, bodajże sykomor, który nawisnął nad rzeką, i przystanąłem, ażeby lizać moje mitologiczne rany. I z radością stwierdziłem, iż rzeczywiście Fargo w żadnej mierze nie zaszkodziło mojemu myślowemu obrazowi. Nadal mogłem myśleć o Fargo tak jak zawsze dotąd - jako o nawiedzonym przez zamiecie, prażonym przez upały, dławionym przez pył. Z satysfakcją donoszę, że w wojnie między rzeczywistością a romantyzmem rzeczywistość nie jest silniejsza.

Jakkolwiek było dopiero przedpołudnie, ugotowałem sobie wystawny obiad, choć nie pamiętam, jaki. A Charley, który jeszcze nosił ślady swojej chicagowskiej pielęgnacji, pobrodził w wodzie i znowu uwalnął się po staremu.

Po wygodach i towarzystwie w Chicago musiałem znowu uczyć się samotności. Wymaga to trochę czasu. Ale tam, nad Maple River, niedaleko Alice, dar ten powracał. Charley wybaczył mi przedtem w sposób nacechowany ohydą wyższością, a teraz wziął się znowu do dzieła. Miejsce postoju nad wodą było przyjemne. Wyjąłem moją pralkę--kubel do śmieci i wypłukałem bieliznę, która od dwóch dni huśtała się w detergencie. A potem, ponieważ dmuchał miły powiew, rozłożyłem na niskich krzakach moje prześcieradła, ażeby wyschły. Nie wiem, co to były za krzaki, ale ich liście miały mocny zapach jak drzewo sandałowe, a niczego nie lubię bardziej niż pachnącej pościeli.

Zrobiłem też kilka notatek na arkuszu żółtego papieru na temat istoty i uczucia samotności. Notatki te uległyby przy normalnym toku wydarzeń zgubieniu, tak jak zawsze notatki, ale akurat te wypłynęły długo potem, owinięte dokoła butelki z keczupem i zamocowane gumową opaską. Pierwsza z nich mówi: „Związek między Czasem a Samotnością”. I pamiętam to. Posiadanie towarzysza ustawia nas w czasie, a mianowicie w terażniejszości, ale kiedy przychodzi uczucie osamotnienia, przeszłość, terażniejszość i przyszłość zlewają się w jedno. Wspomnienie, wydarzenie bieżące i przewidywane są równie obecne.

Druga notatka spoczywa ukryta pod plamą keczupu, ale trzecia jest elektryzująca. Mówi ona: „Nawrót do podstawy przyjemność - ból” i wynika z obserwacji poczynionych kiedy indziej.

Szereg lat temu miałem pewne doświadczenie z przebywaniem w samotności. Przez dwa kolejne lata byłem w zimie przez osiem miesięcy z rzędu zupełnie sam w górach Sierra Nevada, nad jeziorem Tahoe. Pełniłem funkcję dozorcę letniej posiadłości, kiedy była zasypana śniegiem. I wtedy poczyniłem pewne obserwacje. W miarę upływu czasu stwierdzałem, że moje reakcje się zagęszczają. Zazwyczaj lubię gwizdać. Przestałem gwizdać. Przestałem rozmawiać z moimi psami, wydaje mi się, że subtelności uczuć zaczęły się gubić, aż wreszcie doszedłem do podstawy przyjemność - ból. Wtedy przyszło mi do głowy, że delikatne odcienie uczuć, reakcji są wynikiem przekazywania myśli, a bez takiego przekazywania mają tendencję zaniku. Człowiek nie mający nic do powiedzenia, nie znajduje słów. Czy może być prawdą odwrotna sytuacja - że człowiek nie mający nikogo, komu by mógł coś powiedzieć, nie znajduje słów, bo nie ma potrzeby słów? Od czasu do czasu pojawiają się relacje o małych dzieciach wychowywanych przez zwierzęta - wilki i tym podobne. Zazwyczaj donoszą, że ów młodzik pełza na czworakach, wydaje odgłosy, których nauczył się od swych piastunów, i może nawet myśli jak wilk. Tylko przez naśladownictwo dochodzimy do oryginalności. Weźmy na przykład Charleya. Zawsze obcował z osobami uczonymi, dobrze wychowanymi, wykształconymi, zarówno we Francji jak w Ameryce. I Charley nie jest już psim psem, tak samo jak nie jest kotem. Jego percepcje są wyostrzone i delikatne i umie czytać w myślach. Nie wiem, czy potrafi czytać w myślach innych psów, ale w moich tak. Zanim jakiś plan na wpół się ukształtuje w moim umyśle, Charley już o nim wie i także wie, czy będzie doń włączony. Co do tego nie ma wątpliwości. Za dobrze znam jego wyraz desperacji i dezaprobaty, kiedy właśnie pomyślałem, że musi zostać w domu. I tyle o tych trzech notatkach pod czerwonymi plamami na butelce keczupu.

Wkrótce Charley ruszył w dół rzeki i znalazł jakieś porzucone torby z odpadkami, które przejrzał bez żadnych uprzedzeń. Odwrócił nosem pustą puszkę po fasoli, obwąchał jej otwór i odrzucił ją. Potem wziął w zęby papierową torbę i potrząsnął nią

delikatnie, tak że wyturlały się dalsze skarby, między innymi zmięty w kulkę kawałek grubego białego papieru.

Rozprostowałem go i wygładziłem ostre zagięcia na jego powierzchni. Było to pismo sądowe, zaadresowane do Jacka takiego a takiego, zawiadamiające go, że jeżeli nie zapłaci zaległych alimentów, będzie winien zlekceważenia wyroku sądowego i podlegnie karze. Sąd ów zasiadał w jednym ze wschodnich stanów, a tutaj była Dakota Północna. Jakiś biedny gość, który zwiął. Nie powinien był zostawiać tego śladu, jeżeli ktoś go poszukiwał. Wyjąłem zapalniczkę i spaliłem dowód rzeczowy w pełnej świadomości, że się przyczyniam do tego lekceważenia sądu. Boże drogi, te ślady, które pozostawiamy! Przypuśćmy, że ktoś, znalazłszy tamtą butelkę keczupu, popróbowałby zrekonstruować mnie z moich notatek. Pomogłem Charleyowi posortować śmiecie, ale nie było więcej materiałów pisanych, tylko puszki po gotowanej żywności. Ten człowiek nie był kucharzem. Żywił się konserwami, ale możliwe, że jego eks--żona także.

Było dopiero wczesne popołudnie, ale czułem się tak odprężony i było mi tak dobrze, że za nic nie chciałem się ruszyć.

- Może byśmy zostali tu na noc, Charleyu?

Przypatrzył mi się i pomachał ogonem tak jak profesor macha ołówkiem - raz w lewo, raz w prawo i z powrotem do środka. Usiadłem na brzegu, zdjąłem buty i skarpetki i zanurzyłem stopy w wodzie tak zimnej, że aż parzyła, dopóki zamrożenie nie przeniknęło głębiej i nie stępiło wszelkich odczuć. Moja matka wierzyła, że zimna woda na stopach tłoczy krew do głowy, tak że się lepiej myśli.

- Pora na ocenę, mon vieux Chamal - powiedziałem na głos. - Czyli innymi słowy czuję się pokrzepiająco rozleniwiony. Wyjechałem w tę podróż, żeby dowiedzieć się czegoś o Ameryce. Czy dowiaduję się czegokolwiek? Jeżeli tak, to nie wiem czego. Czy teraz mógłbym wrócić z pełnym workiem wniosków, pękiem odpowiedzi na zagadki? Wątpię, ale może. Kiedy pojadę do Europy i zapytają mnie, jaka jest Ameryka, co im wtedy powiem? Nie mam pojęcia. No, a ty, posługując się twoją węchową metodą badawczą, czego się dowiedziałeś, mój przyjacielu?

Dwa pełne machnięcia. Przynajmniej nie pozostawił tej sprawy otwartej.

- Czy cała Ameryka pachnie dotychczas jednakowo? Czy też są zapachy regionalne?

Charley zaczął obracać się w kółko w lewo, potem odwrotnie, okręcił się osiem razy w prawo, aż wreszcie usadowił się i złożył nos na łapach, a głowę w zasięgu mojej ręki. Trudno mu przychodzi ułożyć się. Kiedy był młody, najechał go samochód i złamał mu biodro. Przez długi czas chodził w gipsie. Teraz, w złotym wieku życia, biodro dolega mu, kiedy jest zmęczony. Po zbyt długim biegu utyka na prawą tylną nogę. Ale z uwagi na to długie okręcanie się przed położeniem nazywamy go czasem pudlem wirowym - co jest z naszej strony haniebne. Jeżeli reguła mojej matki była słuszna, to myślałem wcale nieźle. Ale mówiła także: „Zimne stopy - ciepłe serce”. A to jest inna sprawa.

Na ten mój moment odpoczynku i obrachunku zaparkowałem wóz z dala od drogi i ruchu. Podchodzę do tego poważnie. Wyzbyłem się swojej gnuśności nie dla paru zabawnych anegdot. Wyruszyłem w podróż z pragnieniem dowiedzenia się, jaka jest Ameryka. A nie byłem pewny, czy dowiaduję się czegokolwiek. Spostrzegłem, że mówię na głos do Charleya. Sam pomysł mu się podoba, lecz wykonanie działa na niego usypiająco.

- Po prostu dla śmiechu popróbowujmy odrobiny tego, co moi chłopcy nazwaliby generalizującym bajdurzeniem. Z tytułami i podtytułami. Weźmy na przykład jedzenie, z którym się zetknęliśmy. Jest więcej niż prawdopodobne, że w miastach,

przez które przejeżdżaliśmy nękani ruchem ulicznym, są dobre i wytworne restauracje ze znakomitym jadłospisem. Ale w lokalach przy szosach jedzenie było czyste, bez smaku, bez koloru i kompletnie jednakowe. Zupełnie jakby klienci nie interesowali się tym, co jedzą, jeżeli tylko nie jest dla nich kłopotliwe. To dotyczy wszystkiego oprócz śniadań, które są jednolicie wspaniałe, jeżeli się poprzestaje na jajkach na boczku i przysmażanych kartoflach z patelni. Boczek albo kiełbasa były dobre i paczkowane fabrycznie, jajka świeże albo utrzymywane w świeżości przez zamrożenie, a zamrożenie stosowano powszechnie.

Mógłbym nawet powiedzieć, że Ameryka przydrożna jest rajem śniadaniowym, gdyby nie jedna rzecz. Od czasu do czasu widywałem napisy: „Kiełbasa domowa” albo „Bekony i szynki domowego wędzenia” i zatrzymywałem się, i kupowałem zapasy. A potem gotując samemu śniadanie i robiąc samemu kawę, spostrzegalem natychmiast wyraźną różnicę. Świeżo zniesione jajko niczym nie przypominało w smaku owego bladego, produkowanego na bateriach, zamrożonego jajka. Kiełbasa była pyszna i ostra, wonna od przypraw, a moja kawa - ciemną jak wino rozkoszą. Czy zatem mogę powiedzieć, że ta Ameryka, którą zobaczyłem, postawiła na pierwszym miejscu czystość kosztem smaku? A dalej, ponieważ nasze percepcyjne koniuszki nerwowe, włącznie ze smakowymi, są nie tylko zdolne do udoskonalenia, ale także wrażliwe na urazy - że wobec tego zmysł smaku ma tendencję do zanikania i że mocne, ostre czy egzotyczne wonie budzą podejrzliwość i niechęć i są eliminowane?

- Posuńmy się nieco dalej, w inne dziedziny, Harleyu. Weźmy te książki, czasopisma i gazety, któreśmy widzieli wystawione tam, gdzieśmy się zatrzymywali. Dominującą publikacją były komiksy. Były też lokalne gazety i kupowałem je, i czytałem. Były stoiska tanich książek w papierowych okładkach, niektóre z wielkimi i dobrymi tytułami, ale przytłaczającą większość stanowiły rzeczy pełne erotyzmu, sadyzmu i morderstw. Wielkomijskie gazety rzucają swój cień na ogromne obszary - „New York Times” aż po Wielkie Jeziora, „Chicago Tribune” aż tutaj, po Dakotę Północną. W tym miejscu, Charleyu, ostrzegam cię na wypadek, gdybyś miał wdać się w uogólnienia. Jeżeli ten naród doprowadził do takiej atrofii swoje załączki - smakowe, że pozbawione smaku pożywienie jest dla niego nie tylko znośne, ale i pożądane, to co z jego życiem emocjonalnym? Czy uważa swój pokarm emocjonalny za tak mdły, że trzeba go przyprawiać seksem i sadyzmem za pomocą tanich książek? A jeżeli tak jest, to czemu nie ma innych przypraw poza keczupem i musztardą dla ulepszenia jadła?

- Słuchaliśmy miejscowego radia wszędzie w kraju. I poza paroma reportażami z meczów futbolowych strawa umysłowa była równie ujednolicona, paczkowana i nijaka jak pożywienie.

Trąciłem Chrleya stopą, żeby nie zasnął.

Byłem bardzo ciekaw usłyszeć, co ludzie myślą, jeżeli idzie o politykę. Ci, z którymi się stykałem, nie rozmawiali na ten temat, zdawali się nie mieć ochoty o tym mówić. Miałem wrażenie, że to częściowo ostrożność, a częściowo brak zainteresowania, ale wyraźnych opinii po prostu nie wypowiedano. Jeden właściciel sklepu przyznał mi się, że musi robić interesy z obiema stronami i nie może pozwolić sobie na taki luksus jak własna opinia. Był siwiejącym mężczyzną w małym, szarym sklepie u skrzyżowania szos, gdzie zatrzymałem się, ażeby kupić pudełko psich sucharów i puszkę fajkowego tytoniu. Ten człowiek, ten sklep, mógł być wszędzie w kraju, ale znajdował się w Minnesocie. Kupiec miał w oczach jakiś szary, marzący błysk, jak gdyby pamiętał czasy, kiedy humor nie był sprzeczny z prawem, więc odważyłem się zaryzykować. Powiedziałem:

- Wygląda na to, że przyrodzona skłonność ludzi do sporów zanikła. Ale ja w to nie wierzę. Po prostu znajdzie sobie inne ujście. Czy pan przewiduje, jakie ono może być?

- To znaczy, w czym ludzie się wyżyją?

- W czym się wyżywają?

Nie myliłem się, ów błysk rzeczywiście był w jego oczach - ten cenny, kpiarski błysk.

- Cóż, proszę pana - powiedział. - Mamy od czasu do czasu jakieś morderstwo albo możemy o nim przeczytać. Poza tym mamy mistrzostwa baseballowe. Można każdej chwili wywołać chryję o „Piratów” czy „Jankesów”, ale myślę, że najlepsze jest to, że mamy Rosjan.

- Na nich są dosyć cięci?

- No pewnie! Rzadko przejdzie dzień, żeby ktoś nie pomstował na Rosjan.

Z jakiejś przyczyny zrobił się trochę swobodniejszy, nawet pozwolił sobie na chichot, który mógł przemienić się

w chrząknięcie, gdyby dostrzegł u mnie niewłaściwą reakcję. Zapytałem:

- A tutaj ktoś zna jakichś Rosjan?

Teraz już pofolgował sobie i roześmiał się.

- Jasne, że nie. Dlatego są tacy cenni. Nikt panu nic nie zarzuci, jeżeli pan będzie psioczył na Rosjan.

- Dlatego, że nie robimy z nimi interesów?

Wziął z kontuaru nóż do krajania sera, starannie przesunął kciukiem po ostrzu i odłożył go.

- Może i tak. Jak Boga kocham, możliwe, że tak. Nie robimy interesów.

- Pan myśli, że używamy Rosjan jako ujścia dla czegoś innego, dla innych rzeczy.

- Wcale tego nie myślałem, proszę pana, ale chyba będę. Cóż, pamiętam, jak ludzie obwiniali o wszystko Roosevelta. Andy Larsen dostał raz wypieków ze złości na Roosevelta, kiedy mu kury zachorowały na krup. Tak jest, proszę pana - mówił z rosnącym entuzjazmem - ci Rosjanie mają dużo do udźwignięcia. Jak ktoś się pokłóci z żoną, zaraz pomstuje na Rosjan.

- Może każdy potrzebuje Rosjan. Założyłbym się, że nawet w Rosji potrzebują Rosjan. Może ich nazywają Amerykanami.

Odkrajał płat sera z dużego krążka i podał mi go na ostrzu noża.

- Dał mi pan w taki chytry sposób coś do przemyślenia.

- Myślałem, że to pan dał mnie.

- Jak to?

- O tych interesach i opiniach.

- Ano, możliwe. Wie pan, co zrobię? Jak za następnym razem Andy Larsen przyjdzie czerwony na twarzy, sprawdzę, czy to Rosjanie trapią te jego kury. Dla Andy'ego to była wielka strata, kiedy Roosevelt umarł.

Otóż nie twierdzą, że strasznie dużo ludzi ma takie wycucie sytuacji jak on. Może nie mają, ale może i mają - również w życiu osobistym albo na niezawodowym terenie.

Charley podniósł głowę i wyrzycał przestrozę nie zadając sobie trudu, by wstać. Następnie usłyszałem zbliżający się warkot motoru i kiedy popróbowalem się podnieść, stwierdziłem, że stopy od dawna mi zmartwiały w zimnej wodzie. Nie miałem w nich żadnego czucia. Kiedy je rozcierałem i masowałem, a one budziły się bolesnymi szpileczkami i igłami, zjechała z drogi wspaniała limuzyna ciągnąca krótką przyczepę podobną do żółwia i zajęła miejsce nad wodą, o jakieś pięćdziesiąt jardów

ode mnie. Zirykowało mnie to naruszenie mojego odosobnienia, natomiast Charley był zachwycony. Ruszył na sztywnych łapach delikatnym, efektownym kroczeniem, aby obejrzeć przybysza, i tak jak to robią psy oraz ludzie, nie patrzył wprost na przedmiot swojego zainteresowania. Jeżeli wydają się ośmieszać Charleya, to przypatrzcie się temu, co sam robiłem w ciągu następnej pół godziny, a także temu, co robił mój sąsiad. I on, i ja zajmowaliśmy się swoimi sprawami z powolną rozwagą, przy czym obaj baczyliśmy, żeby nie przypatrywać się jeden drugiemu, jednocześnie rzucając sobie ukradkiem spojrzenia, oceniając, taksując. Zobaczyłem mężczyznę ani młodego, ani starego, ale ruszającego się żwawo i sprężysto. Ubrany był w oliwkowe spodnie i skórzaną kurtkę, na głowie miał kapelusz kowbojski, ale z płaskim denkiem, i rondem podwiniętym z boków i podtrzymywanym przez zapięty u góry pasek do zakładania pod brodę. Miał klasyczny profil i nawet z odległości widziałem, że nosi brodę, która przechodzi mu w baki i przez to łączy się z włosami na głowie. Moja broda ograniczona jest tylko do dolnej części szczęk.

Powietrze oziębiło się szybko. I nie wiem, czy było mi zimno w głowę, czy też nie chciałem pozostawić jej odkrytej w obecności obcego, ale nałożyłem moją starą czapkę marynarską, zaparzyłem garnek kawy i zasiadłem na schodkach wozu zerkając z ogromnym zainteresowaniem na wszystko oprócz mojego sąsiada, który tymczasem wymiół śmieci ze swojej przyczepy i wylał miskę mydlin po zmywaniu naczyń, wyraźnie nie zwracając przy tym na mnie uwagi. Natomiast zainteresowanie Charleya wzbudziły i podtrzymywały rozliczne warczenia i szczeknięcia dobywające się z wnętrza przyczepy.

W każdym musi tkwić poczucie należytego i uprzejmego wyliczenia w czasie, bo właśnie kiedy postanowiłem zagadać do mojego sąsiada, a nawet już wstawałem, aby do niego podejść, on ruszył ku mnie. Widać także uważał, że okres czekania dobiegł końca. Stąpał dziwnym krokiem, przypominającym mi coś, czego nie mogłem sobie umiejscowić. W człowieku tym była jakaś wyblakła dostojność. W czasach mitów rycerskich byłby żebrakiem, który okazuje się królewskim synem. Gdy podszedł bliżej, podniosłem się z moich żelaznych schodków, by go powitać.

Nie skłonił mi się nisko i zamasyście, ale miałem wrażenie, że mógł tak zrobić - albo to, albo zsalutować po wojskowemu.

- Dobry wieczór - powiedział. - Widzę, że pan należy do Zawodu.

Zdaje się, że szczeka mi opadła. Od lat już nie słyszałem tego określenia.

- E... nie, nie należę.

Teraz z kolei on zrobił zdumioną minę.

- Nie? Ależ... mój drogi panie, jeżeli pan nie należy, to skąd pan zna to wyrażenie?

- Trochę się ocierałem o teatr.

- A! Ocierał się pan. Oczywiście. Pewnie za kulisami... reżyseria, kierownictwo sceniczne?

- Zrobiłem klapę - powiedziałem. - Napije się pan kawy?

- Z rozkoszą. - Ani na chwilę nie obniżał lotu. To jedna przyjemna rzecz w ludziach z Zawodu: że rzadko to robią.

Usadowił się na sofce za moim stolikiem, z gracją, której nie osiągnąłem nigdy podczas całej mojej podróży. Ja zaś wyjąłem dwa plastikowe kubki i dwie szklanki, nalałem kawy i postawiłem butelkę whisky w łatwym zasięgu ręki. Wydało mi się, iż mgiełka łez napływa mu do oczu, ale możliwe, że napłynęła do moich.

- Klapę - powiedział. - Kto tego nie zaznał, ten nie grał.

- Nalać panu?

- Proszę bardzo... nie, bez wody. - Oczyszczył sobie podniebienie czarną kawą, po czym delikatnie posmakował whisky, podczas gdy jego oczy przesuwają się po mojej siedzibie. - Ładnie tutaj u pana, bardzo ładnie.

- Proszę, niech pan mi powie, dlaczego pan pomyślał, że jestem z teatru?
Zachichotał sucho.

- Bardzo proste, mój Watsonie ¹¹. Wie pan, ja to grałem. Obydwie role. No więc najpierw zobaczyłem pańskiego pudła, a potem zauważyłem, że pan ma brodę. Następnie podchodząc zobaczyłem, że pan nosi marynarską czapkę z brytyjskim herbem królewskim.

- Czy to dlatego wymawiał pan „a” z angielska?

- Możliwe, drogi panie. Zupełnie możliwe. Popadam w takie rzeczy nawet o tym nie wiedząc.

Teraz, z bliska, widziałem, że nie jest młody. Jego ruchy były samą młodością, ale coś w jego skórze i kącikach warg wskazywało na wiek średni albo nawet starszy. A potwierdzały to oczy, duże, ciepłobrązowe tęczy z żółknącymi białkami.

- Pańskie zdrowie - powiedziałem. Wychyliliśmy nasze plastikowe szklanki, popłukaliśmy kawą, po czym nalałem znowu.

- Jeżeli to nie jest zbyt osobiste albo zbyt przykre... to co pan robił w teatrze? - zapytał.

- Napisałem parę sztuk.

- Wystawionych?

- Tak. Zrobiły klapę.

- Czy pańskie nazwisko może mi być znane?

- Wątpię. Nikt go nie zna.

- Westchnął.

- To niewdzięczna robota. Ale jak ktoś raz połknie ten haczyk, to już jest złapany. Mnie złapał na to mój dziadek, a ojciec też zarzucił haczyk.

- Obaj byli aktorami?

- I moja matka, i babka.

- Boże. To się nazywa teatralna rodzina. Czy pan teraz... - szukałem starego słowa... - odpoczywa?

- Ależ skąd. Gram.

- Co, na miłość boską, i gdzie?

- Gdzie tylko mogę złapać publiczność. W szkołach, kościołach, klubach urzędowych. Przynoszę kulturę, daję recytacje. Pewnie pan słyszy, że mój partner tam narzeka. On też jest bardzo dobry. W połowie airedale, w połowie kojot. Potrafi być gwoździem przedstawienia, jeżeli ma ochotę.

Zaczyznałem czuć zachwyty dla tego człowieka.

- Nie wiedziałem, że takie rzeczy jeszcze się zdarzają.

- Na ogół nie.

- A pan to robi od dawna?

- Trzy lata bez dwóch miesięcy.

- Po całym kraju?

- Gdzie tylko zbiorą się dwie albo trzy osoby. Nie pracowałem przez rok z górą, tylko łąziłem po agencjach i żyłem z oszczędności. U mnie nie ma mowy o robieniu czegoś innego. To jedyne, co umiem - co kiedykolwiek umiałem.

Kiedyś, dawno temu, było takie osiedle ludzi teatru na wyspie Nantucket. Mój tata kupił tam ładną działkę i postawił drewniany domek. Otóż sprzedałem to, kupiłem sobie ten pojazd i odtąd przenoszę się z miejsca na miejsce, i dobrze mi z tym. Nie

sądzę, żebym kiedyś wrócił do kieratu. Oczywiście, gdyby była jakaś rola... ale, psiakrew, kto by mnie zapamiętał z jakiejś roli, którejkolwiek?

- Teraz pan mówi coś znajomego.

- Tak, to jest niewdzięczna praca.

- Mam nadzieję, że pan nie uzna mnie za wścibskiego, nawet jeżeli jestem. Chciałbym wiedzieć, jak pan się do tego bierze. Jak to się odbywa? Jak ludzie pana traktują?

- Traktują mnie bardzo dobrze. A nie wiem, jak się do tego biorę. Czasem muszę wynająć salę i dać ogłoszenie, czasem rozmawiam z dyrektorem jakiegoś gimnazjum.

- Ale czy ludzie nie boją się Cyganów, włóczęgów i aktorów?

- Chyba tak, w pierwszej chwili. Z początku biorą mnie za rodzaj nieszkodliwego oszusta. Ale jestem uczciwy, nie każę dużo płacić, a po krótkim czasie sam materiał bierze górę i przenika w nich. Widzi pan, ja szanuję materiał. Nie jestem szarlatanem - jestem aktorem, dobrym czy złym, ale aktorem.

Rumieniec pogłębił mu się od whisky i podniecenia, a może też i dlatego, że mógł rozmawiać z kimś mającym nieco podobne doświadczenie. Nalałem mu tym razem trochę więcej do szklanki i obserwowałem z przyjemnością, jak się tym rozkoszował. Wypił i westchnął.

- Nieczęsto mi się trafia coś takiego - powiedział. - Spodziewam się, że nie zrobiłem na panu wrażenia kogoś, kto opływa w pieniądze. Czasami bywa trochę ciężko.

- Niech pan opowie jeszcze coś więcej.

- Na czym stanąłem?

- Mówił pan, że pan szanuje swój materiał i że pan jest aktorem.

- A, tak. No więc jest jeszcze jedno. Wie pan, kiedy aktorzy przyjeżdżają na tak zwane przez nich odludzie, mają pogardę dla prostaków. Trzeba mi było na to trochę czasu, ale kiedy zrozumiałem, że nie ma tam żadnych prostaków, zaczęło mi iść świetnie. Nauczyłem się szacunku dla swojej publiczności. Oni to czują i pracują ze mną* nie przeciw mnie. Kiedy się ich szanuje, potrafią zrozumieć wszystko, co można powiedzieć.

- Niech pan mi opowie o swoim materiale. Czego pan używa?

Spojrzał na swoje dłonie i zauważyłem, że są dobrze utrzymane i bardzo białe, jak gdyby stale nosił rękawiczki.

- Nie myśli pan, mam nadzieję, że kradnę materiał - rzekł. - Podziwiam sposób podawania tekstu przez sir Johna Gielguda. Słyszałem, jak mówił ten monolog z Szekspira - „Wiek człowieka”. A potem kupiłem sobie tę płytę do przestudiowania. Cóż on potrafi robić ze słowami, odcieniami, modulacją!

- I pan to recytuje?

- Tak, ale nic nie kradnę. Opowiadam, jak słyszałem Gielguda, i jakie to na mnie wywarło wrażenie, a potem mówię, że spróbuję dać pewne pojęcie, jak on to robił.

- To mądre.

- Ano, rzeczywiście pomaga, bo nadaje występowi pewien autorytet, a że Szekspirowi nie trzeba płacić honorarium, więc nie kradnę jego tekstu. To jest jakby złożenie mu hołdu, co rzeczywiście robię.

- A jak ludzie reagują?

- Cóż, teraz już czuję się w tym całkiem swobodnie, bo mogę obserwować, jak słowa w nich zapadają; zapominają o mnie, ich oczy jakby zwracają się do wewnątrz i już jestem dla nich oszustem. No... co pan o tym myśli?

- Myślę, że Gielgud byłby zadowolony.

- O, napisałem do niego długi list i opowiedziałem, co robię i jak to robię.

Wyciągnął z tylnej kieszeni pękaty portfel, wydobył starannie złożony arkusik folii aluminiowej, rozchylił go i ostrożnie rozprostował małą kartkę papieru z wydrukowanym u góry nazwiskiem. List był napisany na maszynie i brzmiał: „Szanowny Panie; dziękuję za pański miły i interesujący list. Nie byłbym aktorem, gdybym nie wyczuł szczerzego komplementu, jaki zawarty jest w pańskiej pracy. Życzę Panu powodzenia i niech Bóg Panu błogosławi. John Gielgud”.

Westchnąłem i patrzyłem, jak jego palce ze złości składały kartkę, zamykały ją w owej aluminiowej zbroi i odkładały na miejsce.

- Nigdy nikomu tego nie pokazuję, żeby zmontować sobie występ - powiedział. - Do głowy by mi to nie przyszło.

I jestem pewien, że to prawda.

Okręcił w dłoni plastikową szklankę i popatrzał na pozostałe w niej resztki whisky, co często bywa gestem mającym zwrócić uwagę gospodarza na to, że jest opróżniona. Odkorkowałem butelkę.

- Nie - rzekł. - Ja już dziękuję. Od dawna nauczyłem się, że najważniejszą i najcenniejszą częścią techniki aktorskiej jest zejście ze sceny.

- Ale ja chciałbym zadać panu jeszcze parę pytań.

- Tym bardziej należy odejść. - Wysączył ostatnią kroplę. - Trzeba je pozostawić bez odpowiedzi i zrobić wyjście czysto i ostro. Dziękuję panu i dobrej nocy.

Patrzałem za nim, jak szedł lekkim krokiem ku swojej przyczepie, i wiedziałem, że będzie mnie nękało jedno pytanie. Zawołałem:

- Chwileczkę...

Przystanął i obrócił się do mnie.

- Co robi pański pies?

- A, takie głupie sztuczki - odpowiedział. - Dzięki niemu przedstawienie zachowuje prostotę. Podkręca je,, kiedy zaczyna wietrzeć.

I ruszył dalej ku swemu domkowi.

A więc istniało to nadal - ten zawód starszy od pisarstwa, taki, który zapewne przetrwa, kiedy pisane słowo zniknie. I wszystkie jałowe cuda filmów, telewizji i radia nie zdołają tego zniweczyć - żywego człowieka nawiązującego kontakt z żywą publicznością. Ale jakże on żył? Z kim się zadawał? Czym było jego życie ukryte? Miał: rację. Jego wyjście zaostriżyło pytania.

Noc była brzemenna w omeny. Rozzłoszczone niebo przemieniło tę niewielką połąć wody w groźny metal, a potem zerwał się wiatr - nie ten znany mi porywisty, pokrętny wiatr z morskich wybrzeży, ale wielka, wybuchająca wichura, której nic nie mogło stawić oporu na przestrzeni tysiąca mil we wszystkich kierunkach. Ponieważ był to wiatr dla mnie dziwny, a przez to tajemniczy, wywołał we mnie tajemniczą reakcję. W kategoriach rozsądku był dziwny tylko dlatego, że takim mi się wydawał. Jednakże pokaźna część tych naszych przeżyć, które uważamy za niewytłumaczone, musi być właśnie taka. Wiem z całą pewnością, że wiele osób zataja pewne doznania z obawy śmieszności. Iluż ludzi widziało, słyszało lub czytało rzeczy, które tak dalece obrażały ich poczucie tego, co powinno być, że całą sprawę szybko odsuwali od siebie, niczym brudy pod dywan?

Co do mnie, to staram się nie zamykać oczu nawet na rzeczy, których nie potrafię zrozumieć czy wyjaśnić, ale jest to trudne w tych czasach lęku. W owym momencie w Dakocie Północnej odczuwałem taką niechęć do dalszej jazdy, że równało się to strachowi. Jednocześnie zaś Charley chciał jechać - w istocie narobił o to takiego rwetesu, że popróbowaliśmy go przekonać.

- Posłuchaj mnie, psie. Mam tak silny impuls pozostania na miejscu, że równa się to nakazowi niebios. Gdybym go przewyciężył i pojechał, a potem zaskoczyłaby nas wielka śnieżycą, dojrzałbym w tym zlekceważoną przestrożę. Jeżeli zaś zostaniemy i przyjdzie wielka śnieżycą, będę pewny, że mam smykałkę do prorokowania.

Charley kichnął i dalej łąził niespokojnie.

- No dobrze, mój kundlu, spojrzymy na to od twojej strony. Chcesz jechać dalej. Założmy, że pojedziemy, a w nocy zwali się drzewo akurat w to miejsce, gdzie w tej chwili stoimy. Wtedy ty byłbyś tym, który korzysta z opieki bogów. I zawsze jest ta możliwość. Mógłbym ci opowiedzieć wiele historii o wiernych zwierzętach, które ocalały swych panów, ale mam wrażenie, że się zwyczajnie nudzisz, i nie będę ci się przypochlebiał.

Charley skierował na mnie swoje najcyniczniejsze spojrzenie. Myślę, że nie jest ani romantykiem, ani mistykiem.

- Wiem, o co ci idzie. Jeżeli pojedziemy, a drzewo się nie zwali, albo zostaniemy, a śnieg nie spadnie - co wtedy? Więc powiem ci, co wtedy. Zapomnimy o całym tym epizodzie i dziedzina proroctw nie poniesie żadnego szwanku. Ja głosuję za zostaniem. Ty głosujesz za jazdą. Ale ponieważ znajduję się bliżej szczytów stworzenia niż ty, a także jestem przewodniczącym, więc mój głos rozstrzyga.

Zostaliśmy i śnieg nie spadł, i żadne drzewo się nie zważyło, więc naturalnie zapomnieliśmy o całej sprawie i jesteśmy gotowi na przyjęcie dalszych mistycznych odczuć, gdy się pojawią. A wczesnym rankiem, do czysta wymiecionym z chmur i teleskopowo klarownym, zachrupała nam pod nogami gruba biała pokrywa zamrozu i wyruszyliśmy w drogę. Wóz Sztuki był nieoświetlony, ale pies w nim zaszczekał, kiedyśmy przejeżdżali ku szosie.

Ktoś musiał mi mówić o rzece Missouri pod miastem Bismarck w Dakocie Północnej albo też musiałem o niej czytać. W obydwu przypadkach nie zwróciłem na to uwagi. Ujrzałem ją ze zdumieniem. To tutaj mapa powinna składać się na pół. Tu jest granica między zachodem i wschodem. Po stronie Bismarcku jest wschodni krajobraz, wschodnia trawa, oblicze i zapach wschodniej Ameryki. Za Missouri, po stronie Mandanu, jest czysty zachód, z brunatną trawą, wyżłobieniami poczynionymi przez wodę i małymi wykwitami skalnymi. Te dwa brzegi rzeki mogłyby być odległe od siebie o tysiąc mil. Tak jak nie byłem przygotowany na ową linię graniczną Missouri, podobnie nie byłem przygotowany na Złe Ziemię. Zasługują one na tę

nazwę. Przypominają robotę złego dziecka. Takie miejsce mogłyby zbudować Upadłe Anioły na złość Niebiosom - suche i ostre, posępne i groźne, a dla mnie złowróbne. Idzie od niego coś, co mówi, że nie lubi i niechętnie widzi ludzkie istoty. Ponieważ jednak ludzie są tacy, jacy są, a ja jestem człowiekiem, skręciłem więc z szosy na łupkową drogę i ruszyłem między pagórki, ale niepewnie, jak gdybym wtargnął nieproszony na czyjeś przyjęcie. Nawierzchnia drogi szarpała złośliwie moje opony, a przeciążone resory Rosynanta jęczały w udręce. Cóż to za miejsce na kolonię troglodytów albo jeszcze lepiej olbrzymów! I tu jest dziwna rzecz. Tak jak się czułem niepożądany na tych ziemiach, podobnie i niechętnie o nich piszę.

Niebawem zobaczyłem jakiegoś człowieka opartego

O ogrodzenie z dwóch pasm drutu kolczastego, przytwierdzonego nie do słupków, ale do pokrzywionych gałęzi wbitych w ziemię. Miał ciemny kapelusz oraz dżinsy i długą kurtkę sprane na najbledszy błękit, z jaśniejszymi miejscami na kolanach i łokciach. Jego blade oczy były zmęczone jak skóra węża. Obok niego stał oparty o ogrodzenie małokalibrowy sztuczek, na ziemi zaś leżał stosik futerek i pierza - króliki i małe ptaszki. Przystanąłem, aby do niego zagadać, i spostrzegłem, że jego oczy omiatają Rosynanta, wychwytyują szczegóły, a potem wracają do swoich oczodołów. I stwierdziłem, że nie mam mu nic do powiedzenia. Te wszystkie „Wygłąda na to, że zima będzie wczesna” czy „Są tu dobre miejsca do łowienia?” wydawały się niestosowne. Więc po prostu patrzyliśmy na siebie w zamyśleniu.

- - Dobry wieczór!

- Tak jest - powiedział.

- Można tu gdzieś niedaleko kupić jajka?

- Nie całkiem blisko, chyba że pan pojedziesz aż do Galvy albo Beach.

- Miałem ochotę na trochę świeżych jajek.

- Proszkowane - odrzekł. - Moja kobita ma proszkowane.

- Dawno pan tu mieszka?

- Tak.

Czekałem, żeby o coś zapytał albo coś powiedział, abyśmy mogli rozmawiać dalej, ale się nie odezwał. A w miarę jak milczenie się przeciągało, było coraz trudniej wymyślić coś do powiedzenia. Popróbowałem jeszcze raz.

- A tutaj bywa bardzo zimno w tej porze roku?

- Dostyc.

- Za dużo pan mówi.

Wyszczrzył zęby.

- To samo powiada moja kobita.

- Do widzenia - rzekłem, włączyłem bieg i ruszyłem dalej. I nie dostrzegłem w moim lusterku, żeby za mną patrzył. Może i nie był typowym mieszkańcem Złych Ziemi, ale przynajmniej jednym z niewielu, jakich spotkałem.

Nieco dalej zatrzymałem się przed małym domkiem wyglądającym jak segment baraków z demobilu, ale pomalowanym na biało z żółtymi ozdobami, i z dogorywającymi resztkami ogrodu, gdzie były zmarznięte pelargonie i kilka kęp małych, guziczkowatych chryzantem, żółtych i czerwono-brązowych. Ruszyłem ścieżką mając pewność, że jestem obserwowany zza białych firanek. Na moje pukanie otworzyła drzwi stara kobieta, przyniosła mi wody, o którą poprosiłem, i o mało nie zagadała mnie na śmierć. Była zlakniona mówienia, paliła się do mówienia, o swoich krewnych, przyjaciółach i o tym, jak nie może do tego przywyknąć. Bo nie była tutejsza i nie tu było jej właściwe miejsce. Jej rodzinne strony były jakoby krainą mlekiem i miodem płynącą, z odpowiednią porcją małąp, kości słoniowej i paw. Jej głos terkotał dalej, jak gdyby przerażała ją cisza, która miała zapaść, kiedy odjadę.

Gdy tak mówiła, przyszło mi na myśl, że boi się tego miejsca, a co więcej, że i ja też. Czułem, że nie byłoby mi przyjemnie, gdyby mnie zaskoczyła tu noc.

Popadłem w nastrój ucieczki, spieszno mi było wyrwać się z tego niesamowitego krajobrazu. A potem późne popołudnie odmieniło wszystko. W miarę jak słońce się zniżało, pagórki i parowy, urwiska, rzeźbione wzgórza i rozpadliny traciły swój wypalony, przerażający wygląd i grały żółtością, soczyście brunatnymi tonami i stoma odmianami czerwieni i srebrnej szarości, podkreślonymi przez pasma głębokiej czerni. Było tak pięknie, że zatrzymałem się w pobliżu gęstwiny karłowatych, powykrzywianych przez wiatr cedrów i jałowców, a gdy już raz przystanąłem, pochwycił mnie i usidlił kolor, olśniła czystość światła. Na tle zachodzącego słońca blanki wzgórz rysowały się ciemno i ostro, podczas gdy na wschodzie, gdzie rozlewało się skośnie niepowstrzymane światło, cały ten dziwny krajobraz krzyczał barwami. A noc, bynajmniej nie straszna, była niewiarygodnie piękna, bo gwiazdy były blisko, a chociaż księżyc nie świecił, ich poświata tworzyła srebrzysty odbłask na niebie. Powietrze cięło nozdrza suchym mrozem. Dla czystej przyjemności ubierałem stos suchych gałęzi cedrowych i rozpałem małe ognisko jedynie po to, aby móc wachać woń płonącego drzewa i słyszeć zaciekle trzaskanie gałęzi. Ognisko tworzyło nade mną żółtą kopułę, a w pobliżu słyszałem polującą sowę i szczekanie kojotów - nie wycie, ale te krótkie, chichotliwe szczeknięcia z bezksiężycowych nocy. Jest to jedno z niewielu miejsc, jakie widziałem, gdzie noc była przyjaźniejsza od dnia.

I mogę z łatwością zrozumieć, dlaczego ludzi ciągnie z powrotem na Złe Ziemie.

Zanim zasnąłem, rozłożyłem na łóżku mapę, mapę podeptaną przez Charleya. Beach było niedaleko i tam kończyła się Dakota Północna. A dalej zaczynała się Montana, gdzie jeszcze nigdy nie byłem. Tej nocy zrobiło się tak zimno, że zamiast pidżamy włożyłem watowaną bieliznę, a kiedy Charley wypełnił swoje obowiązki, zjadł suchary i skonsumował jak zwykle galon wody, wreszcie zaś zwinął się na swoim miejscu pod łóżkiem, wydobyłem dodatkowy koc, żeby go przykryć - całego, aż po czubek nosa - on zaś westchnął, poruszył się i wydał wielkie sapnięcie czysto ekstatycznej satysfakcji. I pomyślałem sobie, jak każde niezbite uogólnienie, jakie zebrałem w mojej podróży, jest przekreślane przez inne. W nocy Złe Ziemie przemieniły się w Dobre Ziemie. Nie potrafię tego wyjaśnić. Tak było.

Następny fragment mojej wędrówki jest historią miłosną. Kocham się w Montanie. Dla innych stanów mam podziw, szacunek, uznanie, nawet pewne uczucie, ale w przypadku Montany jest to miłość, a trudno analizować miłość, kiedy się kocha. Dawno temu, gdy zachwycałem się fiołkowym blaskiem, którym promieniła moja Królowa Świata, ojciec zapytał mnie dlaczego, a ja pomyślałem, iż jest szalony, że tego nie widzi. Oczywiście teraz wiem, że była to mała, mysiewłosa, piegowata dziewczynka o kolanach pokrytych strupami, głosie jak nietoperz i tkliwej łagodności jadowitej jaszczurki, ale wtedy rozświetlała mi krajobraz i mnie samego.

Wydaje mi się, że Montana jest jednym wielkim rozbryzgiem świetności. Skala jest olbrzymia, ale nie przytłaczająca. Kraj bogaty w trawę i kolory, a góry takie, jakie bym sam stworzył, gdyby góry znalazły się kiedykolwiek na moim porządku dziennym. Montana wydaje mi się taka, jakim wyobrażałby sobie Teksas mały chłopiec słuchający opowiadań Tekszańczyków. Tu po raz pierwszy usłyszałem wyraźny akcent regionalny, nie naruszony przez telewizyj-szczyzną, powolny, ciepły rodzaj mowy. Miałem wrażenie, że szaleńczy zamęt Ameryki nie dotarł do Montany. Tamtejsi ludzie nie wydawali się bać cieni, w sensie Stowarzyszenia Johna Bircha. Spokój gór i pofalowanych prerii przenikał w mieszkańców. Kiedy przejeżdżałem przez ten stan, był właśnie sezon polowań. Ludzie, z którymi rozmawiałem, nie wydawali mi się ogarnięci szalem sezonowej rzezi, ale po prostu wyruszali na zabijanie jadalnego mięsa. I znowu moje stanowisko może być powodowane miłością, ale doznałem wrażenia, że miasta są tam miejscami do życia, a nie nerwowymi rojowiskami. Ludzie mieli czas przerywać swoje zajęcia, żeby na chwilę oddać się sztuce obcowania z bliźnimi.

Stwierdziłem, że nie przelatuję przez miasta, aby już mieć je za sobą. Nawet wynajdowałem rzeczy, które musiałem kupić, byleby zatrzymać się trochę. W Billings kupiłem kapelusz, w Livingston kurtkę, w Butte sztucer, którego specjalnie nie potrzebowałem, powtarzalny Remington 222, używany, ale w doskonałym stanie. Potem znalazłem lunetę do sztucera, którą musiałem mieć, i czekałem, kiedy ją na nim montowano, i w tym czasie poznałem wszystkich w sklepie i tych klientów, którzy przychodzili. Osadziwszy broń w imadle i wyjąwszy zamek nastawiliśmy nową lunetę na jakiś komin o trzy przecznice dalej, a później, kiedy zacząłem strzelać z tego sztucerka, nie miałem powodu niczego zmieniać. Na tych zajęciach spędziłem sporą część przedpołudnia, głównie dlatego, że chciałem tam posiedzieć. Ale widzę, że miłość, jak zwykle, nie jest wielomówna. Montana mnie zaczarowała. Jest zarazem wspaniałością i ciepłem. Gdyby miała morskie wybrzeże albo gdybym potrafił żyć z dala od morza, natychmiast przeniósłbym się tam i złożył podanie o prawo pobytu. Ze wszystkich stanów ten jest moim ulubionym i moją miłością.

W Custer zrobiliśmy wypad na południe, ażeby złożyć uszanowanie generałowi Custerowi i Sitting Bullowi na polu bitwy nad Little Big Horn. Nie sądzę, żeby był jakiś Amerykanin, który nie miałby w oczach obrazu Remingtona, przedstawiającego ostatni opór środkowej kolumny siódmego pułku kawalerii. Zdjąłem kapelusz dla uczczenia pamięci dzielnych ludzi, a Charley złożył hołd po swojemu, ale, jak mi się zdawało, z wielkim uszanowaniem.

Cała wschodnia Montana i zachodnie Dakoty są naznaczone wspomnieniami jako kraj Indian, a wspomnienia te nie są zbyt stare. Przed kilku laty miałem za sąsiada Charlesa Scotta Wooda, który napisał „Niebiańskie rozprawy”. Kiedy go znałem, był już bardzo stary, ale jako młody porucznik, świeżo po akademii wojskowej, został przydzielony do generała Milesa i walczył w kampanii Wodza Josepha *. Jego wspomnienia o niej były bardzo wyraźne i bardzo smutne. Mówił, że był to jeden z

najwaleczniejszych odwrotów w historii. Wódz Joseph i Indianie Nez Perce wraz ze swoimi squaw, dziećmi, psami i całym dobytkiem wycofywali się pod ciężkim ogniem przez tysiąc mil z górą, usiłując wymknąć się do Kanady. Wood mówił, że walczyli z przeważającymi siłami o każdą piędź drogi, aż wreszcie zostali otoczeni przez kawalerię pod wodzą generała Milesa i w znacznej części zniszczeni. Twierdził, że był to najsmutniejszy obowiązek, jaki kiedykolwiek wypełnił, i nigdy nie utracił szacunku dla zalet bojowych Indian Nez Perce. „Gdyby nie mieli ze sobą rodzin, nigdy byśmy ich nie dopadli - mówił. - A gdybyśmy mieli równe siły w ludziach i uzbrojeniu, nie zdołalibyśmy ich pobić. To byli mężczyźni - mówił. - Prawdziwi mężczyźni”.

* Wódz Indian Nez Percé; walczył z wojskami Stanów Zjednoczonych.

Muszę przyznać do opieszałości, jeżeli idzie o Parki Narodowe. Nie zwiedziłem ich wiele. Może dlatego, że zawierają rzeczy jedyne, imponujące, zdumiewające - największe wodospady, najgłębszy kanion, najwyższą skałę, najbardziej olśniewające dzieła człowieka czy przyrody. A ja wolę obejrzeć dobrą fotografię Brady'ego niż Mount Rushmore. Jestem bowiem zdania, że zabezpieczamy i czci-my wybryki naszego kraju i naszej cywilizacji. Park Narodowy Yellowstone jest równie reprezentatywny dla Ameryki jak Disneyland.

Zważywszy, że takie jest moje naturalne nastawienie, nie mam pojęcia, co mi kazało skrócić ostro na południe i przejechać granicę stanu, by rzucić okiem na Yellowstone. Może to był strach przed moimi sąsiadami. Już ich słyszałem mówiących: „Jak to; więc pan był tak blisko Yellowstone i nie pojechał tam? Musi pan być niespełna rozumu”. A może była to amerykańska tendencja przy podróżowaniu. Jedzie się gdzieś nie tyle dlatego, żeby zobaczyć, ile żeby potem opowiadać. Jakikolwiek miałem cel udając się do Yellowstone, cieszę się, że tam byłem, bo odkryłem coś na temat Charleya, czego bym pewnie nigdy się nie dowiedział.

Sympatycznie wyglądający strażnik Parku Narodowego wpuścił mnie, po czym zapytał:

- A co z tym psem? Wolno je wprowadzać tylko na smyczy.
- Dlaczego?
- Ze względu na niedźwiedzie.
- Proszę pana - powiedziałem. - To jest pies jedyny

w swoim rodzaju. Nie żyje kłami i pazurami. Respektuje prawo kotów do tego, żeby były kotami, chociaż za nimi nie przepada. Raczej zboczy z drogi, niż zakłóci spokój poważnej gąsienicy. Jego największą obawą jest, że ktoś mu pokaże królika i zaproponuje, żeby go pogonił. Jest to pies cichy i spokojny. Przypuszczam, że największym niebezpieczeństwem dla waszych niedźwiedzi będzie poczucie urazy, że Charley je ignoruje.

Młody człowiek roześmiał się.

- Ja się nie tak bardzo martwiłem o niedźwiedzie - powiedział. - Ale nasze niedźwiedzie stały się ogromnie nietolerancyjne wobec psów. Któryś z nich może zmanifestować swoje uprzedzenie trzepnięciem łapy i już po psie.

- Zamknę go na tyle wozu, proszę pana. Obiecuję panu, że Charley nie spowoduje najmniejszego zakłócenia w niedźwiedzim świecie, a ja, jako stary obserwator niedźwiedzi, także nie.

- Ja tylko muszę pana przestrzec - odrzekł. - Nie wątpię, że pański pies ma jak najlepsze intencje. Z drugiej znów strony nasze niedźwiedzie mają jak najgorsze. Niech pan nie zostawia na wierzchu jedzenia. Nie tylko kradną, ale odnoszą się krytycznie do każdego, kto próbuje je umoralnić. Jednym słowem proszę nie ufać ich słodkim minom, bo może pan oberwać. I niech pan nie pozwala psu chodzić samopas. Z niedźwiedziami nie ma dyskusji.

Wjechaliśmy więc w krainę cudów natury, która dostała bzika, i będziecie musieli uwierzyć w to, co się stało. Jedynym dla mnie sposobem udowodnienia tego byłoby dostać niedźwiedzia.

O niecałą milę od wjazdu zauważyłem przy drodze niedźwiedzia, który wylazł na nią spokojnie, jak gdyby chcąc mnie zatrzymać. W Charleyu natychmiast zaszła przemiana. Wrzasnął z wściekłości. Wargi mu się rozchyliły ukazując złe zęby, które mają niejaką trudność z rozgryzieniem sucharka. Wykrzykiwał zniewagi na niedźwiedzia, który, to usłyszawszy, stanął na tylnych łapach i wydał mi się wyższy od Rosynanta. Gorączkowo podkręciłem szybę w oknie i raptownie skręciwszy w lewo musnąłem zwierza i pognałem dalej, podczas gdy Charley darł się i wrzeszczał

obok mnie opisując ze szczegółami, co zrobiłby temu niedźwiedziowi, gdyby mógł się do niego dorwać. Nigdy w życiu nie byłem tak zdumiony. O ile mi wiadomo, Charley nigdy nie widział niedźwiedzia, a całe jego dzieje wykazują wielką tolerancję wobec wszystkiego, co żyje. Poza tym Charley jest tchórzem tak głęboko zakorzenionym, że wyrobił sobie technikę ukrywania tego faktu. A jednak wykazywał wszelkie objawy chęci wyskoczenia i zamordowania niedźwiedzia, który tysiącrotnie górował nad nim wagą. Nie mogę tego zrozumieć.

Nieco dalej pokazały się dwa niedźwiedzie i efekt się podwoił. Charley dostał obłądu. Skakał po mnie całym, klął i warczał, szczekał i wrzeszczał. Nie wiedziałem, że posiada zdolność warczenia. Gdzie się tego nauczył?

Niedźwiedzi było pod dostatkiem i droga przemieniła się w koszmar. Po raz pierwszy w życiu Charley oparł się perswazji, oparł się nawet kuksańcowi w ucho. Stał się prymitywnym mordercą, łaknącym krwi wroga, a przecież do tej pory nie miał żadnych wrogów. Na wolnym od niedźwiedzi odcinku otworzyłem szoferkę, wziąłem Charleya za obrozę i zamknąłem go w camperze. To jednak nic nie pomogło. Gdy mijaliśmy inne niedźwiedzie, wskakiwał na stolik i drapał po szybie chcąc się do nich dostać. Słyszałem spadające konserwy, gdy tak się miotał w swym szale. Niedźwiedzie po prostu wydobyły Hyde'a z mojego psa o głowie Jekylla. Co mogło to spowodować? Czy było to jakieś wspomnienie pradawnych czasów, kiedy tkwił w nim wilk? Znam go dobrze. Raz na jakiś czas próbuje blefować, ale wtedy od razu widać, że to kłamstwo. Przysięgam, że tym razem kłamstwa nie było. Jestem pewny, że gdybym go wypuścił, rzuciłby się na pierwszego mijanego niedźwiedzia i znalazł zwycięstwo lub śmierć.

Było to okropnym, szarpiącym nerwy widowiskiem, przypominającym oglądanie starego, spokojnego przyjaciela, który dostał obłądu. Żadne cuda przyrody, strome urwiska, bulgoczące wody czy dymiące źródła nie mogły przyciągnąć mojej uwagi, dopóki trwało to pandemonium. Po jakimś piątym spotkaniu dałem za wygraną, zawróciłem Rosynantem i pojechałem z powrotem. Nie śmiem myśleć, co by się stało, gdybym tam został na noc, a niedźwiedzie zeszyły się do mojego jedzenia.

Przy bramie strażnik parkowy wypuścił mnie.

- Nie był pan długo - powiedział. - A gdzie pies?

- Zamknięty na tyle. I muszę pana przeprosić. Ten pies ma serce i duszę niedźwiedziobójcy, a ja o tym nic nie wiedziałem. Do tej pory był łagodny nawet w stosunku do nie dopieczonych befsztyka.

- Aha - powiedział. - To się czasem zdarza. Dlatego pana ostrzegąłem. Pies-niedźwiedziarz wiedziałby, jakie ma szanse, ale widziałem kiedyś szpica, z którego nawet śladu nie zostało. Wie pan, dorodny niedźwiedź może smyrnąć psem jak piłką tenisową.

Jechałem prędko, wracając tą samą drogą, którą przybyłem, i nie miałem ochoty obozować, z obawy, że gdzieś w pobliżu mogą być jakieś nieoficjalne, nierządowe niedźwiedzie. Tę noc spędziłem w ładnym zajeździe samochodowym niedaleko Livingstonu. Zjadłem kolację w restauracji, a potem, usadowiwszy się z drinkiem w wygodnym fotelu i złożywszy bose, wymoczone stopy na dywanie w czerwone róże, przypatrywałem się Charleyowi. Był otumaniony. W oczach miał jakieś dalekie spojrzenie i był do cna wyczerpany, zapewne emocjonalnie. Przypominał mi człowieka po długim, ostrym pijaństwie - zmordowanego, osłabionego, załamanego. Nie mógł zjeść kolacji, nie chciał iść na wieczorny spacer, a kiedy znaleźliśmy się w pokoju, zwałił się na podłogę i zasnął.

W nocy usłyszałem, że skomle i poszczekuje, a kiedy zapaliłem światło, przebierał łapami, jak gdyby biegnąc, drgał cały, a oczy miał szeroko otwarte,

jednakże były to tylko niedźwiadkoszmary. Obudziłem go i dałem mu wody. Tym razem zasnął i ani się ruszył przez całą noc. Rano był jeszcze zmęczony. Zastanawiam się, dlaczego uważamy, że myśli i odczucia zwierząt są proste.

Pamiętam, że jako dziecko przeczytałem czy usłyszałem gdzieś słowa „Wielki Dział” i że mnie oszłomiło ich wspaniałe brzmienie, odpowiednie dla granitowego kręgosłupa kontynentu. Ujrzałem wtedy w myśli skarpy piętrzące się w chmurach, coś w rodzaju naturalnego Wielkiego Muru Chińskiego. Góry Skaliste są za duże, za długie, za ważne, żeby musiały być imponujące. W Montanie, do której wróciłem, teren się wznosi stopniowo i gdyby nie wymalowany napis, w ogóle bym nie wiedział, kiedy ten punkt przejechałem. Nie wydawał się zbyt wysoki jako wzniesienie. Minąłem go, gdy zobaczyłem napis, ale się zatrzymałem, cofnąłem, wysiadłem i stanąłem na nim okrakiem. Kiedy tak stałem zwrócony twarzą na południe, doznałem dziwnego uczucia na myśl, że deszcz padający na moją prawą stopę musiałby spłynąć do Oceanu Spokojnego, podczas gdy ten, który by padał na lewą, w końcu, po nieprzeliczonych milach, utorowałby sobie drogę do Atlantyku. Miejsce to nie było dostatecznie imponujące, aby zawierać w sobie fakt tak niebываły.

Niepodobna znaleźć się w tym wysokim, kręgosłupowym kraju nie kierując myśli ku pierwszym ludziom, którzy go przemierzali - ku francuskim eksploratorom, ku ludziom Lewisa i Clarka. Przelatujemy tędy w pięć godzin, przejeżdżamy w tydzień, a marudząc, tak jak ja, w miesiąc lub sześć tygodni. Natomiast Lewis i Clark, i ich wyprawa, wyruszyli z St. Louis w 1804, a powrócili w 1806 roku.

I jeżeli sobie wyobrażamy, że jesteśmy mężczyznanami, możemy wspomnieć, że w ciągu tych dwóch i pół lat przedzierania się przez dziki i nieznany kraj do Oceanu Spokojnego, a później z powrotem, tylko jeden człowiek umarł i tylko jeden zdezerterował. A my się trapimy, jeżeli dostawa mleka się opóźnia i o mało nie umieramy na atak serca, jeżeli jest strajk windziarzy. Co musieli myśleć tamci ludzie, kiedy rozwierał się przed nimi naprawdę nowy świat - a może posuwali się tak wolno, że wrażenie się zatarło? Nie mogę uwierzyć, żeby pozostali na to obojętni. Ich sprawozdanie dla rządu z pewnością jest pełnym podniecenia i podniecającym dokumentem. Nie mieli wątpliwości. Wiedzieli, co znaleźli.

Jechałem przez wzniesiony kciuk Idaho i przez prawdziwe góry, które pięły się prosto wwyż, porośnięte sosnami i grubo przysypane śniegiem. Moje radio zamilkło i myślałem, że się popsuło, ale to tylko te wysokie granie odcinały fale radiowe. Zaczął padać śnieg, ale szczęście mi dopisywało, bo był to śnieg lekki i wesoły. Powietrze było łagodniejsze niż po drugiej stronie Wielkiego Działu i przypomniałem sobie, iż czytałem, że ciepłe powietrze znad japońskiego prądu przenika daleko w głąb kraju. Podszycie było gęste i bardzo zielone, a wszędzie szumiały strumienie. Drogi były opustoszałe, tylko od czasu do czasu napotykałem myśliwych w czerwonych czapkach i żółtych kurtkach, niekiedy z kozłem albo jeleniem udrapowanym na masce wozu. W strome zbocze wprawione. były górskie szalasy, lecz niezbyt liczne.

Musiałem często przystawać ze względu na Charleya. Miał on rosnące trudności z opróżnieniem pęcherza, co jest dziewczęńskim określeniem na smutne objawy niemożności siusiania. To czasem przysparzało mu bólu, a zawsze zakłopotania. Bo weźcie pod uwagę, że jest psem o wielkim élan, nieskazitelnym manierach, dobrym tonie, enfin o pewnej majestatyczności. Nie tylko on sam cierpiał, cierpiały także jego uczucia. Stawałem przy drodze i pozwalałem mu spacerować, i przez delikatność obracałem się do niego plecami. Potrzebował na to bardzo długiego czasu.

Gdyby coś takiego zdarzyło się mężczyźnie, pomyślałbym, że to prostata. Charley jest starszym panem pochodzenia francuskiego. Jedynymi dwoma schorzeniami, do których przyznają się Francuzi, jest to oraz wątroba.

I tak czekając na niego i udając, że oglądam rośliny i małe strumyki, próbowałem zrekonstruować sobie moją podróż jako całość, a nie jako serię wydarzeń. Czy

robiłem coś źle? Czy wszystko szło tak, jak sobie życzyłem? Przed wyjazdem otrzymałem pouczenia, instrukcje, wskazówki i pranie mózgu od wielu moich przyjaciół. Jeden z nich jest bardzo znanym i wysoce szanowanym reporterem politycznym. Jeździł po prowincji z kandydatami do prezydenckich wyborów i kiedy się z nim widziałem, nie był wesoły, bo kocha swój kraj, a wyczuł w nim chorobę. Mogę jeszcze dodać, że jest człowiekiem bezwzględnie uczciwym. Powiedział do mnie z goryczą:

- Jeżeli w czasie swoich wędrówek natknie się pan gdziekolwiek na człowieka mającego odwagę, niech pan zaznaczy to miejsce. Chcę pojechać i zobaczyć się z nim. Nie widziałem nic poza tchórzostwem i oportunistą. To kiedyś był naród olbrzymów. Gdzież oni się podzieli? Nie można obronić kraju radą dyrektorów. Na to trzeba prawdziwych mężczyzn. Gdzie oni są?

- Muszą gdzieś być - powiedziałem.

- No więc niech pan się postara paru wygrzebać. Potrzebujemy ich. Jak Boga kocham, jedynymi w tym kraju ludźmi mającymi odwagę są Murzyni. Ma się rozumieć, ja wcale nie chcę wzbraniać Murzynom dostępu do heroizmu, ale niech mnie szlag trafi, jeżeli pragnę, żeby zmonopolizowali ten artykuł. Niech pan mi wygrzebie dziesięciu białych, zdrowych Amerykanów, którzy nie boją się mieć przekonania, poglądów czy zdania w jakiejś niepopularnej dziedzinie, a będą miał trzon stałej armii.

Jego wyraźne zatroskanie w tym względzie zrobiło na mnie wrażenie, więc po drodze rozglądałem się i nasłuchiwałem. I prawdą jest, że nie usłyszałem zbyt wielu przekonań. Widziałem tylko dwie bójki prawdziwych mężczyzn, prowadzone na gołe pięści i z entuzjastyczną niedokładnością, i obydwie toczyły się o kobiety.

Charley wrócił przepaszając mnie, że potrzebuje więcej czasu. Chętnie bym mu dopomógł, ale chciał być sam. I przypomniałem sobie jeszcze coś innego, co powiedział mój przyjaciel.

- Dawniej była pewna rzecz czy pewien artykuł, do którego przywiązywaliśmy wielką wagę. Nazywało się to Ludem. Niech pan się dowie, gdzie podział się Lud. Nie mam na myśli tych pocziwców od pasty do zębów i farby do włosów ani tych, co muszą mieć nowy wóz, bo inaczej pękną, ani tych od sukcesu i naczyń wieńcowych. Może to nigdy nie istniało, ale jeżeli był kiedyś Lud, to właśnie o tym towarze mówiła Deklaracja Niepodległości i Lincoln. Właściwie nawet znalazłem paru, ale niewielu. Czy nie byłoby głupie, gdyby konstytucja mówiła o młodym człowieku, którego życie koncentruje się wokół flirtu, figlów i brylantyny?

Pamiętam, że odparłem:

- Może Lud to są zawsze ci, co żyli w przedostatnim pokoleniu.

Charley był mocno zesztywniały. Musiałem mu pomóc wsiąść do szoferki Rosynanta. A potem ruszyliśmy dalej pod górę. Lekki śnieg prószył po szosie jak biały pył i wydało mi się, że wieczór teraz przychodzi wcześniej. Tuż pod granią jakiejś przełęczy zatrzymałem się, żeby wziąć benzynę w małym, skleconym byle jak na własną rękę skupisku pudełkowatych domków, z których każdy miał ganek, drzwi, jedno okno i ani śladu ogrodu czy wyźwirowanych ścieżek. Mały sklep, połączony z warsztatem naprawczym i pokojem śniadaniowym za pompami benzynowymi, był najmniej pociągający ze wszystkich, jakie widziałem. Niebieskie napisy w restauracji były stare i autografowane przez muchy niejednego minionego lata. „Placki, jakie zrobiłaby mama, gdyby umiała piec”. „Nie zaglądamy wam do ust. Nie zaglądamy do naszej kuchni”. „Nie przyjmuje się czeków, chyba z odciskami palców”. Te stare, oklepane rzeczy. Tutaj nie mogło być celofanu na jedzeniu.

Nikt się nie zjawił przy pompie benzynowej, więc wszedłem do pokoju śniadaniowego. Z tylnej izby, która zapewne była kuchnią, dochodziły odgłosy kłótni - niski głos i drugi wyższy, też męski, wrzeszczące do siebie wzajemnie.

- Jest tu kto? - zawołałem i głosy umilkły. A potem ukazał się w drzwiach krzepki mężczyzna, jeszcze łypiący ponuro po tej awanturze.

- Coś panu potrzeba?
- Nalać benzyny. Ale jeżeli macie wolny domek, mógłbym przenocować.
- Wybieraj pan sobie. Tu nie ma żywej duszy.
- Mogę wziąć kąpiel?
- Przyniosę panu kubek gorącej wody. Zimowa cena za nocleg: dwa dolary.
- Dobrze. Można dostać coś do jedzenia?
- Pieczona szynka z fasolą, lody.
- Okej. Ale ja mam psa.

- Jesteśmy w wolnym kraju. Domki są wszystkie otwarte. Wybierz pan sobie. I krzycz pan, jakby panu coś było potrzeba.

Nie oszczędzono żadnych wysiłków, aby uczynić owe domki brzydkimi i niewygodnymi. Łóżko było gruzłowate, ściany pomalowane na brudnożółty kolor, zastony niczym bielizna niechlujnej kobiety. Nie otwierano pokój zionął mieszanym aromatem myszy i wilgoci, pleśni i starego kurzu, natomiast pościel była czysta, a małe przewietrzenie usunęło wspomnienia po poprzednich mieszkańcach. U sufitu wisiła goła żarówka, a pokój był ogrzewany piecykiem naftowym.

Zapukano do drzwi i otworzyłem je młodemu człowiekowi lat około dwudziestu, ubranemu w szare flanelowe spodnie, buty w dwóch kolorach, krawat w groszki i blezer z odznaką jakiejś szkoły ze Spokane. Jego ciemne, błyszczące włosy były arcydziełem wymyślnego czesania, na czubku głowy przygładzone do tyłu i krzyżujące się z długimi, bocznymi pasmami, które opierały się na uszach. Był dla mnie wstrząsem po tamtym ludojardzie u kontuaru.

- Przyniosłem panu gorącą wodę - powiedział i był to głos drugiego uczestnika kłótni. Drzwi były otwarte i zauważyłem, że jego oczy przesunęły się po Rosynancie i zatrzymały na numerze rejestracyjnym.

- Pan naprawdę z Nowego Jorku?
- Uhm.
- Chciałbym tam kiedyś pojechać.
- Tam każdy chce przyjechać tutaj.
- Po co? Tu nic nie ma. Tu tylko się gnije.
- Jeżeli ktoś chce gnić, może to robić byle gdzie.
- Mnie idzie o to, że tu nie ma żadnych szans, żeby się podciągnąć.
- A do czego pan chce się podciągnąć?
- No, wie pan; nie ma teatru ani muzyki, nikogo, z kim... można by porozmawiać.

Ba, nawet trudno dostać świeże pisma, chyba że się zaprenumeruje.

- Więc pan czyta „New Yorkera”?
- Skąd pan wie? Prenumeruję go.
- I „Time”?
- Oczywiście.
- To pan nie musi nigdzie jechać.
- Co proszę?

- Ma pan świat w czubkach palców, świat mody, sztuki oraz świat myśli, tu, na własnym podwórku. Wyjazdy tylko by panu jeszcze bardziej wszystko poplątały.

- Kiedy człowiek lubi zobaczyć coś samemu - odrzekł. Przysięgam, że tak powiedział.

- To pański ojciec?
- Tak, ale jestem bardziej jak sierota. On lubi tylko łowić ryby, polować i pić.
- A pan co lubi?
- Ja chcę coś zrobić w życiu. Mam dwadzieścia lat. Muszę myśleć o swojej przyszłości. O, znów na mnie wrzeszczy. Nie może nic powiedzieć bez wrzasku. Czy pan będzie jadł razem z nami?

- Jasne.

Wykąpałem się powoli w pokrytym osadem, ocynkowanym wiadrze. Przez chwilę myślałem, czy nie wyciągnąć mojego nowojorskiego ubrania i nie wyelegantować się dla tego chłopaka, ale dałem z tym spokój i zdecydowałem się na czyste spodnie i wełnianą koszulę.

Kiedy wszedłem do pokoju śniadaniowego, twarz krzepkiego właściciela była czerwona jak dojrziała malina. Od razu na mnie naskoczył.

- Jakbym już nie miał dosyć kłopotów, jeszcze pan musisz być z Nowego Jorku.

- A to coś złego?

- Dla mnie tak. Ledwo mi się chłopak uspokoił, już pan mu podsypujesz soli pod ogon.

- Nie mówiłem dobrze o Nowym Jorku.

- Nie, ale pan stamtąd przyjechał i teraz chłopak znowu jest cały podkrecony. I co z tego, psiakrew? Nie ma tu z niego żadnego pożytku. Chodź pan, może pan zjeść razem z nami na tyłach.

„Na tyłach” to była zarazem kuchnia, spizarnia i jadalnia - a prycza przykryta wojskowymi kocami czyniła z tego także i sypialnię. Wielki, prymitywny piec do palenia drewnem trzaskał i syczał. Mieliśmy jeść przy kwadratowym stole nakrytym białą, pokaleczoną nożami ceratą. Podkrecony chłopak ponakładał na miski kipiącą fasolę z boczkiem.

- Czy mógłby pan wykombinować mi lampę do czytania?

- Psiakrew, wyłączam prądnicę, jak się kładziemy spać. Mogę panu dać lampę naftową. Siadaj pan. Mamy w piecu pieczoną szynkę z puszki.

Zamyślony chłopak podał apatycznie fasolę. Rumiany mężczyzna powiedział:

- Myślałem, że zwyczajnie skończy szkołę i po wszystkim, ale to nie on, nie Robbie. Zaczął chodzić na kursy wieczorowe, uważasz pan, nie do gimnazjum. Płacił za to. Nie wiem, skąd wziął pieniądze.

- Widać jest dosyć ambitny.

- Ambitny jak moje wielkie ucho. Pan nie wie, co to były za kursy - fryzjerskie. Nie fryzjerstwo męskie; czesanie - dla kobiet. No, teraz może pan rozumiesz, dlaczego mam zmartwienie.

Robbie, który krajał szynkę, obrócił się. Trzymał sztywno w prawej ręce wąski nóż. Poszukał w mojej twarzy wyrazu pogardy, którego się spodziewał.

Usiłowałem mieć minę zarazem surową, zamyśloną i neutralną. Poglądziłem brodę, co podobno jest oznaką skupienia.

- Cokolwiek powiem, jeden z was poszczuje mnie psami. Znalazłem się pośrodku.

Papa nabrał głęboko tchu i wypuścił go powoli.

- Racja, jak Boga kocham - powiedział, po czym zachichotał i napięcie pierzchno z pokoju.

Robbie przyniósł talerze z szynką i uśmiechnął się do mnie - jak mi się wydało, z wdzięcznością.

- No, teraz, kiedy już przestaliśmy się jeżyć na sobie, powiedz pan, co pan myślisz o tym całym damskim fryzjerowaniu - rzekł papa.

- Nie spodoba się panu to, co myślę.
 - Skąd pan wie, jak pan nie mówi?
 - No, okej, ale będę jadł prędko na wypadek, gdybym musiał wiać.
- Zjadłem całą fasolę i połowę szynki, zanim mu odpowiedziałem.

- No dobrze - zacząłem. - Trafił pan na temat, o którym dużo myślałem. Znam sporo kobiet i dziewczyn - różnego wieku, różnego rodzaju, różnego gatunku - i nie ma dwóch podobnych do siebie poza jedną rzeczą: fryzjerem. Po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że fryzjer jest najbardziej wpływowym człowiekiem w każdej społeczności.

- Pan sobie żartuje.

- Wcale nie. Przystudiowałem to gruntownie. Kiedy kobieta idzie do fryzjera, a idzie każda, jeżeli może sobie na to pozwolić, coś się z nią dzieje. Czuje się pewnie, odpręża się. Nie musi niczego udawać. Fryzjer wie, jaka jest jej skóra pod szminką, zna jej wiek, jej zabiegi kosmetyczne. Dlatego kobiety mówią fryzjerowi rzeczy, których nie odważyłyby się wyznać księdzu, i są szczerze w sprawach, które starałyby się zataić przed lekarzem.

- Nie może być.

- Owszem, może. Mówię panu, że to zbadalem. Kiedy kobiety oddają swoje sekretne życie w ręce fryzjera, zyskuje on autorytet, osiągany tylko przez niewielu innych mężczyzn. Słyszałem, jak z całkowitym przekonaniem cytowano wypowiedzi fryzjerów na temat sztuki, literatury, polityki, ekonomii, opieki nad dziećmi i moralności.

- Mnie się widzi, że pan kpi, ale na poziomie.

- Mówię to bez uśmiechu. Powiadam panu, że bystry, myślący, ambitny fryzjer posiada władzę niepojętą dla większości mężczyzn.

- Rany boskie! Słyszysz, Robbie! A ty to wszystko wiedziałeś?

- Coś niecoś. Przecież na tym moim kursie był cały dział o psychologii.

- Do głowy by mi to nie przyszło - powiedział papa. - Panie, a może tak szklaneczkę czegoś?

- Dziękuję, dzisiaj nie. Mój pies niedobrze się czuje. Jutro odjadę wcześniej i spróbuję znaleźć weterynarza.

- Coś panu powiem... Robbie skombinuje panu lampę do czytania. Zostawię prądnicę włączoną. Będzie pan chciał zjeść śniadanie?

- Chyba nie. Wyjadę wcześniej rano.

Kiedy wróciłem do mojego domku popróbowawszy dopomóc Charleyowi w jego utrapieniach, Robbie przytwierdzał małą lampkę do żelaznego wezglowia mojego smętnego łóżka. Powiedział cicho:

- Proszę pana, nie wiem, czy pan wierzy w to wszystko, co pan mówił, ale nie ma dwóch zdań, że bardzo mnie pan podparł.

- Myślę, że większość tego może być prawdą. A jeżeli tak, to jest w tym wielka odpowiedzialność, nie, Robbie?

- Pewnie, że jest - powiedział uroczyście.

Noc miałem niespokojną. Domek, który wynająłem, nie był nawet w przybliżeniu taki wygodny, jak ten, który wozilem ze sobą, a ledwie przyjechawszy wtrąciłem się w sprawę, która do mnie nie należała. I chociaż co prawda ludzie rzadko stosują się do rad innych, chyba że i bez tego mieli tak zrobić, niemniej istniała pewna możliwość, że w entuzjazmie dla mojej fryzjerskiej tezy mogłem wytworzyć potwora.

W środku nocy Charley obudził mnie cichym, nieśmiałym skomleniem, a ponieważ nie jest psem skomlącym, więc wstałem natychmiast. Było z nim

niedobrze, brzuch miał rozdęty, a nos i uszy gorące. Wyprowadziłem go na dwór i zostałem przy nim, ale nie mógł sobie ulżyć.

Żałuję, że nie znam się na weterynarii. Wobec chorego zwierzęcia ma się uczucie bezradności. Nie może ono wytłumaczyć, co czuje, choć z drugiej strony nie potrafi przecież kłamać, zmyślać objawów czy oddawać się przyjemnościom hipochondrii. Nie chcę przez to powiedzieć, że zwierzęta są niezdolne do udawania. Nawet Charley, który jest taki uczciwy, ma skłonności do utykania, kiedy jest urażony. Chciałbym, żeby ktoś napisał dobrą, obszerną książkę o domowym leczeniu psów. Sam bym to zrobił, gdybym miał kwalifikacje.

Charley był naprawdę chory i musiał rozchorować się jeszcze bardziej, jeżeli bym nie zdołał znaleźć jakiegoś sposobu rozładowania rosnącego ciśnienia. Kateter załatwiłby sprawę, ale któż go ma w górach, w środku nocy? Miałem plastikową rurkę do przetaczania benzyny, ale jej średnica była za duża. A potem przypomniałem sobie coś na ten temat, że ciśnienie powoduje napięcie mięśni, które znów zwiększa ciśnienie itd., tak że pierwszym krokiem jest rozluźnienie mięśni. Moja apteczka nie była przewidziana do praktyki ogólnej, ale miałem buteleczkę kapsułek nasennych - półtoragranowego seconalu. Tylko co z dawkowaniem? Tu właśnie byłaby pomocna taka książka o domowym leczeniu. Otworzyłem kapsułkę, wysypałem połowę zawartości i złożyłem ją na powrót. Wsunąłem ją Charleyowi poza wygięcie języka, tam, skąd nie mógł jej wypchnąć, potem podniosłem mu łeb i wmasowałem ją do gardła. Następnie położyłem go na łóżku i przykryłem. Po upływie pół godziny nie było w nim widać żadnej zmiany, więc otworzyłem drugą kapsułkę i dałem mu jeszcze połówkę. Myślę, że jak na jego wagę półtora grana jest dosyć dużą dawką, ale Charley widocznie miał sporą tolerancję. Opierał się lekarstwu przez trzy kwadransy, zanim jego oddech stał się wolniejszy, i wreszcie zasnął. Ja też musiałem się zdrzemnąć. Ocknąłem się, kiedy Charley upadł na podłogę. W tym stanie otumanienia lekarstwem ugięły się pod nim nogi. Wstał, przewrócił się, wstał znowu. Otworzyłem drzwi i wypuściłem go. No i owa metoda poskutkowała, tylko nie mogę pojąć, jak średniej wielkości pies może pomieścić w sobie tyle płynu. W końcu wrócił chwiejnie do pokoju, zwałił się na dywanik i natychmiast zasnął. Był tak kompletnie otumaniony, że zaniepokoiłem się ową dawką. Jednakże temperatura mu spadła, oddech był normalny, a tętno mocne i równe. Ja spałem niespokojnie, a kiedy się rozwidniło, spostrzegłem, że Charley nawet się nie poruszył. Zbudziłem go i zachował się bardzo miło, kiedy mnie zobaczył. Uśmiechnął się, ziewnął i zasnął na powrót.

Zaniósłem go do wozu i pognałem na złamanie karku do Spokane. Nie pamiętam nic z okolicy mijanej po drodze. Na przedmieściach znalazłem w książce telefonicznej weterynarza, zapytałem, jak jechać i wpadłem do gabinetu z Charleyem jako nagłym wypadkiem. Nie wymienię nazwiska owego lekarza, ale jest on jeszcze jednym powodem do napisania dobrej książki o domowym leczeniu psów. Doktor był starawy i musiał popijać, ale jakie mam prawo twierdzić, że miał kaca? Trzęsącą się ręką uniósł wargę Charleya, potem wywinął mu powiekę i pozwolił jej opaść.

- Co mu jest? - zapytał bez najmniejszego zainteresowania.
- Po to tu jestem, żeby się dowiedzieć.
- Jakiś otumaniony. To stary pies. Może miał udar.
- Miał rozdęcie pęcherza. Jeżeli jest otumaniony, to dlatego, że dałem mu półtora grana seconalu.
- Po co?
- Żeby się rozprężył.
- No i jest rozprężony.

- Czy ta dawka była za duża?
- Nie wiem.
- A ile by pan dał?
- Wcale bym nie dał.
- Zaczniemy od początku; co mu jest?
- Pewnie przeziębienie.
- Czy to może wywołać objawy pęcherzowe?
- Jeżeli się przeziębził, to owszem.
- Proszę pana. Ja jestem w podróży. Chciałbym usłyszeć trochę dokładniejszą diagnozę.

Prychnął.

- Panie, to stary pies. Stare psy miewają dolegliwości i bóle. Tak to już jest.

Musiałem być rozdrażniony po tej nocy, bo powiedziałem:

- I starzy ludzie także. Ale to im nie przeszkadza coś na to robić.

I myślę, że po raz pierwszy dotarłem do niego.

- Dam panu coś na przepłukanie nerek - powiedział. - To tylko przeziębienie.

Zabrałem małe pigułki, zapłaciłem rachunek i wyszedłem. Nie twierdzę, że ten weterynarz nie lubił zwierząt. Sądzę, że nie lubił samego siebie., a kiedy tak jest, dany osobnik musi zazwyczaj znaleźć poza sobą coś, czego może nie lubić. Inaczej musiałby przyznać się do pogardy dla siebie.

Z drugiej znów strony nie ustępuję nikomu w odrazie do samozwańczych miłośników psów, tych, którzy mnożą ich frustracje i każą im je obnosić. Taki miłośnik psów szczenioczko po dziecinnemu do dorosłych i myślących zwierząt i przypisuje im własne kłliwe cechy, aż wreszcie pies staje się dlań jego alter ego. Mam wrażenie, że tacy ludzie, kierując się tym, co w ich mniemaniu jest dobrocią, są zdolni do zadawania zwierzęciu długich i trwałych tortur przez odmawianie mu naturalnych pragnień i spełnień, aż wreszcie pies o słabym charakterze załamuje się i staje tłustym, astmatycznym, kudłatym kłębkim nerwów. Kiedy ktoś obcy zwraca się do Charleya takim szczenioczkiem, Charley go unika. Bo Charley nie jest człowiekiem; jest psem i to mu się podoba. Uważa, że jest psem pierwszorzędnym i wcale sobie nie życzy być drugorzędną istotą ludzką. Kiedy ów weterynarz-alkoholik dotknął go swoją roztrzęsioną, nieporadną ręką, dojrzałem w oczach Charleya wyraz zawołanej pogardy. Miałem wrażenie, że poznał się na tym człowieku, i może doktor wiedział, że się poznał. Możliwe, że tu był słaby punkt tego człowieka. Musi być bardzo przykre wiedzieć, że nasi pacjenci nie mają w nas wiary.

Po Spokane minęło niebezpieczeństwo wczesnych śniegów, bo powietrze było odmienione i wysłodzone przez silne tchnienie Pacyfiku. Faktyczny czas trwania podróży z Chicago był krótki, ale olbrzymia skala i różnorodność kraju, rozliczne wydarzenia i ludzie napotykanii po drodze wydłużyły czas ponad wszelką miarę. Bo nie jest prawdą, że ubogi w wydarzenia okres z przeszłości wspominamy jako długi. Przeciwnie, trzeba kamieni milowych wydarzeń, ażeby nadać wspomnieniom wymiary. Brak wydarzeń kurczy czas.

Pacyfik jest moim rodzinnym oceanem; poznałem go najpierw, dorastałem na jego wybrzeżu, zbierałem na plażach morskie żyjątka. Znam jego nastroje, jego barwę, jego naturę. Byłem jeszcze bardzo daleko w głębi lądu, kiedy poczułem pierwszy zapach Pacyfiku. Jeżeli ktoś długo przebywał na morzu, zapach lądu wybiega mu daleko na powitanie. I tak samo jest, kiedy ktoś długo przebywał w głębi lądu. Wydaje mi się, że poczułem woń morskich skał i wodorostów, i kotłowisko morskiej kipieli, ostrość jodu i utajony zapach niesionych i kruszonych przez fale wapiennych muszelek. Taka daleka i zapamiętana woń przychodzi nieznacznie, tak

że jej się świadomie nie czuje, lecz raczej wyzwala się w nas elektryczne podniecenie - jakaś burzliwa radość. Spostrzegłem, że pędzę drogami stanu Waszyngton, spragniony morza niczym wędrowny leming.

Pamiętałem doskonale bujny i piękny wschodni Waszyngton i szlachetną rzekę Kolumbia, która wycisnęła swoje piętno na Lewisie i Clarku. I chociaż były tu teraz tamy i linie elektryczne, których nie widziałem, przecież od tamtych czasów niewiele się zmieniło. Dopiero kiedy zbliżałem się do Seattle, stały się widoczne niewiarygodne przemiany.

Oczywiście czytałem o wybuchowym wzroście zaludnienia na wybrzeżu zachodnim, ale przez wybrzeże zachodnie większość osób rozumie Kalifornię. Ludzie ścigali rojami do miast, miasta zdwajały i potrajały liczbę swoich mieszkańców, a strażnicy interesów skarbu utyskiwali na rosnący ciężar inwestycji oraz potrzebę zajmowania się nową, ogromną falą niezamożnych. Tu, w stanie Waszyngton, zobaczyłem to po raz pierwszy. Pamiętałem Seattle jako miasto usadowione na wzgórzach, przy niezrównanej przystani - małe miasto mające dużo przestrzeni, drzew i ogrodów, z domami dopasowanymi do takiego tła. Teraz już takie nie jest. Wierzchołki wzgórz pościanano, ażeby wyrównać miejsce na zagrody dla współczesnych królików. Ośmiopasowe autostrady przerznąły się jak lodowce przez ten niełatwy kraj. To Seattle nie miało nic wspólnego z tym, które pamiętałem. Ruch uliczny przelewał się z morderczą intensywnością. Na skrajach tego miasta, które niegdyś znałem tak dobrze, nie mogłem odnaleźć drogi. Wzdłuż dawnych wiejskich drózek, bogatych w jagody, ciągnęły się wysokie ogrodzenia z drutów i długie na milę fabryki, a ponad wszystkim wisiał żółty dym postępu stawiając opór morskemu wiatrowi, który usiłował go przepędzić.

To brzmi tak, jak gdybym opłakiwał dawne czasy, co jest zmartwieniem ludzi starych, albo też uprawiał opozycję wobec przemian, co jest postawą bogatych i głupich. Tak nie jest. To Seattle nie było zmienionym miejscem, które niegdyś znałem. Było czymś nowym. Gdybym tam został przeniesiony nie wiedząc, że to Seattle, nie potrafiłbym poznać, gdzie jestem. Wszędzie szaleńczy rozrost, rozrost rakowaty. Buldożery zmiatały zielone lasy i piętrzyły ich szczątki na spalanie. Połupane białe drewno z form do betonu leżało w stosach pod szarymi murami. Zastanawiam się, dlaczego postęp tak bardzo przypomina niszczenie.

Następnego dnia poszedłem do starego portu Seattle, gdzie ryby, kraby i krewetki były pięknie porozkładane na białych łożach z kruszonego lodu i gdzie obmyte i lśniąco jarzyny porozmieszczano niczym na obrazach. Piłem sos ze ślimaków i jadłem ostre coctajle krabowe przy portowych straganach. Port zmienił się niewiele - był trochę bardziej odrapany i brudny niż przed dwudziestu laty. I tu pewne uogólnienie dotyczące rozwoju miast amerykańskich, stosujące się bodaj do wszystkich, jakie znam. Kiedy miasto zaczyna się rozrastać i rozprzestrzeniać na zewnątrz, od skrajów, wówczas centrum, które niegdyś było jego chlubą, pozostawia się w pewnym sensie czasowi. Wtedy jego budynki czernieją i rozpoczyna się coś w rodzaju rozkładu; wprowadzają się tam ludzie ubożsi, w miarę jak spadają czynsze, a małe, marginesowe przedsiębiorstwa zajmują miejsce niegdyś kwitnących zakładów. Dzielnica jest ciągle za dobra, żeby ją zburzyć, a zbyt przestarzała, żeby być pożądana. Poza tym cała energia przepłynęła do nowych przedsięwzięć, do półwiejskich supermarketów, kin na otwartym powietrzu, nowych domów z rozległymi trawnikami i stiukowych szkół, gdzie utwierdza się dzieci w ich nieuctwie. Stary port o wąskich uliczkach i nawierzchniach z brukowców, usmolony od dymu, wchodzi w okres zapuszczenia, zaludniany nocą przez nieokreślone ludzkie ruiny, lotofagów, którzy co dzień szukają zapomnienia w czystym spirytusie. Prawie każde miasto,

jakie znam, ma taką umierającą matkę gwałtu i rozpaczy, gdzie wsiąka w noc światło latarni ulicznych, a policjanci chodzą po dwóch. A potem pewnego dnia miasto powraca, wycina ową ranę i buduje pomnik swojej przeszłości.

Odpoczynek podczas mojego pobytu w Seattle poprawił stan Charleya. Zastanawiałem się, czy przy jego podeszłym wieku ustawiczne wstrząsy ciężarówki nie mogły być przyczyną owej dolegliwości.

Ma się rozumieć, kiedy jechaliśmy wzdłuż pięknego wybrzeża, zmieniała się moja metoda podróżowania. Co wieczór znajdowałem jakiś przyjemny motel, gdzie można było odpocząć - piękne nowe budynki, które powyrastały w ostatnich latach. Zacząłem wyczuwać w Zachodzie pewną tendencję, na której przyswojenie jestem być może za stary. Jest to zasada robienia wszystkiego samemu. Przy śniadaniu stoi na stole maszynka do grzanek. Grzanki przyrządza się samemu. Kiedy zajeżdżałem do któregoś z owych klejnotów komfortu i wygody i zameldowawszy się otrzymywałem komfortowy pokój - po zapłaceniu z góry, rzecz jasna - na tym się kończył wszelki kontakt z kierownictwem. Nie było żadnych kelnerów czy chłopców hotelowych. Pokojówki wsuwały się i wysuwały niewidocznie. Jeżeli chciałem lodu, była na to maszyna przy kancorze. Sam zaopatrywałem się w lód, w gazety. Wszystko było dogodne, ulokowane centralnie i budzące uczucie osamotnienia. Żyłem w największym luksusie. Inni goście przyjeżdżali i odjeżdżali po cichu. Jeżeli się ich zaskoczyło słowami „Dobry wieczór”, wydawali się trochę zmieszani, a potem odpowiadali: „Dobry wieczór”. Miałem wrażenie, że oglądali mnie w poszukiwaniu miejsca, gdzie można by wrzucić monetę.

Gdzieś w Oregonie, w dżdżystą niedzielę, dzielny Rosynant zmusił mnie do poświęcenia mu uwagi. Dotychczas nie mówiłem o moim wiernym wehikule poza czysto formalnymi słowami uznania. Czyż nie zawsze tak bywa? Cenimy cnotę, lecz o niej nie dyskutujemy. Uczciwy buchalter, wierna żona, poważny naukowiec przyciągają niewiele naszej uwagi w porównaniu do defraudanta, włóczęgi, oszusta. Jeżeli zaniedbałem Rosynanta w niniejszej relacji, to dlatego, że sprawował się doskonale. Zaniedbanie nie rozciągało się jednak na dziedzinę mechaniki. Skrupulatnie zmieniałem olej i pilnowałem smarowania. Nie cierpię oglądać, jak się zaniedbuje czy maltretuje motor albo wykorzystuje ponad jego możliwości.

Rosynant odwzajemniał mi się za moją troskliwość tak, jak był powinien: warczącym silnikiem i doskonałym funkcjonowaniem. Tylko w jednej rzeczy postąpiłem bezmyślnie czy może nadgorliwie. Wiozłem za dużo wszystkiego - za dużo żywności, za wiele książek, tyle narzędzi, że wystarczyłoby na zmontowanie okrętu podwodnego. Jeżeli natrafiałem na smaczną wodę, napełniałem mój zbiornik, a trzydzieści galonów wody waży trzysta funtów. Zapasowa butla butanu na wszelki wypadek waży siedemdziesiąt pięć funtów. Resory osiadły nisko, ale nie wydawały się zagrożone, a na wyboistych drogach zwalniałem i prowadziłem wóz ostrożnie, lecz dlatego, że był taki dobry, traktowałem go tak jak uczciwego buchaltera czy wierną żonę: nie zwracałem na niego uwagi. I oto w Oregonie, w dżdżystą niedzielę, kiedy przejeżdżałem przez bezkresną, błotnistą kałużę, prawa tylna opona pękła z wilgotnym hukem. Znałem i posiadałem paskudne, obdarzone złym charakterem wozy, które by to zrobiły z czystego bezpieczeństwa i złościwości, ale Rosynant nie był taki.

Wszystko się może zdarzyć, pomyślałem; tak to się w życiu trafia. Ano, tym razem trafiło to w osiem cali błotnistej wody, a zapasowe koło, ulokowane pod szoferką, siedziało w błocie. Narzędzia do zmiany koła znajdowały się pod podłogą, pod stolikiem, tak że musiałem wypakować cały mój ładunek. Nowy lewarek, nigdy nie używany i lśniący fabryczną farbą, był sztywny i nieposłuszny, a ponadto nie

pasował do nawisu Rosynanta. Położyłem się na brzuchu i wsunąłem się czy raczej wpłynąłem pod wóz trzymając nozdrza ponad powierzchnią wody. Rączka lewarka była śliska od tłustej mazi. W brodzie potworzyły mi się gruzły błota. Leżałem sapiąc jak ranna kaczka i cicho klą-łera wciskając powoli lewarek do przodu, pod oś, którą musiałem wymacać, ponieważ była pod wodą. Potem, z nadludzkim stękanem i bulgotaniem, z oczami wyłażącymi z orbit, podlewarowałem ogromny ciężar. Czułem, jak mięśnie mi pękają i odłazą od przytrzymujących je kości. Licząc według faktycznego czasu nie minęła więcej niż godzina, nim założyłem zapasowe koło. Byłem nie do poznania pod kilkoma warstwami żółtego błota. Ręce miałem pokaleczone i pokrwawione. Przetoczyłem zdjęte koło w położone wyżej miejsce i obejrzałem oponę. Cały bok był wyrwany. Następnie popatrzyłem na lewą tylną i ku swojemu przerażeniu ujrzałem na jej boku wielki bąbel gumy, a nieco dalej drugi. Było oczywiste, że druga opona może lada chwila pęknąć, a to była niedziela i deszcz, i Oregon. Gdyby pękła druga, utknęlibyśmy na mokrej, opustoszałej drodze nie mając innego wyjścia, jak tylko wybuchnąć łzami i czekać na śmierć. I może jakieś dobre ptaki przysypałyby nas liśćmi. Ściągnąłem z siebie błoto razem z ubraniem i włożyłem świeży strój, który ubłocił się w trakcie tego.

Żaden wóz nie zaznał nigdy tak unizonego traktowania jak Rosynant, gdy z wolna ruszyliśmy dalej. Każda nierówność na drodze przeszywała mnie bólem. Pełziliśmy w tempie co najwyżej pięciu mil na godzinę. I sprawdziła się stara reguła, która mówi, że kiedy się potrzebuje miast, jedno jest bardzo daleko od drugiego. A ja potrzebowałem czegoś więcej niż miasta. Potrzebowałem dwóch nowych, wytrzymałych tylnych opon. Ci, co projektowali mój samochód, nie przewidzieli takiego ładunku, jaki wiozłem.

Po czterdziestu latach w okropnej, mokrej pustyni, bez żadnego obłoku za dnia czy słupa ognia w nocy, który by nam był drogowskazem, dotarliśmy do wilgotnego, małego zamkniętego na głucho miasteczka, którego nazwa mi się wymyka, ponieważ nigdy jej się nie dowiedziałem. Wszystko było pozamykane - wszystko, z wyjątkiem jednego małego warsztatu obsługi. Jego właściciel był olbrzymem

O pokrytej bliznami twarzy i złych, białych oczach. Gdyby był koniem, za nic bym go nie kupił. Człowiek ten był ogromnie małomówny.

- Ma pan kłopot - powiedział.
- Pan mi to mówi! Czy pan sprzedaje opony?
- Nie pański rozmiar. Musiałbym po takie posłać do Portlandu. Mógłbym zadzwonić jutro i dostać je może następnego dnia.
- A tu w mieście nigdzie nie można ich kupić?
- Są dwa miejsca. Oba zamknięte. I nie myślę, żeby tam mieli ten rozmiar. Panu potrzeba większych opon.

Poskrobał się po brodzie, długo przyglądał się bąblom na lewej tylnej i dotknął ich wskazującym palcem, który przypominał pilnik. W końcu wszedł do swojego kantorka, odsunął na bok stos okładzin hamulcowych, pasów do wentylatorów i katalogów i spod spodu wygrzebał telefon.

1 jeśli kiedykolwiek moja wiara w zasadniczą świętość ludzi zostanie nadszarpnięta, pomyślę o tym złoczyńnie wyglądającym człowieku.

Po trzech połączeniach odnalazł kupca, który miał oponę potrzebnego rodzaju i rozmiaru, lecz człowiek ten był właśnie na weselu i nie mógł się stamtąd wyrwać. Po dalszych trzech rozmowach dowiedział się, iż rzekomo jest jeszcze jedna taka, ale o osiem mil stąd. Deszcz padał dalej. Rzecz ciągnęła się bez końca, bo między jednym połączeniem a drugim był rząd samochodów, które czekały na benzynę i oliwę, a wszystko to załatwiane było z dostojną powolnością.

W końcu zmobilizował jakiegoś szwagra. Miał on farmę przy szosie o kawałek drogi od tego miejsca. Nie chciało mu się wychodzić w deszcz, ale mój zły święty wywarł na niego jakiś nacisk. Ów szwagier pojechał do obu odległych od siebie miejsc, gdzie mogły być opony, znalazł je i przywiózł mi. W niespełna cztery godziny byłem wyposażony i jechałem na wielkich, wytrzymałych oponach, takich, jakie powinienem był mieć od początku. Chętnie bym ukląkł w błocie i ucałował ręce tego człowieka, ale tak nie zrobiłem. Dałem mu dosyć królewski napiwek, on zaś powiedział:

- Nie musiał pan tego robić. Ale niech pan pamięta o jednym. Te nowe opony są większe. Zmienia panu dane na szybkościomierzu. Będzie pan jechał prędzej niż strzała pokazuje i jak pan trafi na drażliwego glinę, to może pana przyskrzynić.

Byłem tak pełen pokornej wdzięczności, że ledwie mogłem mówić. Zdarzyło się to w niedzielę, w Oregonie, w deszcz, i mam nadzieję, że ten złowrogo wyglądający człowiek z warsztatu obsługi będzie żył tysiąc lat i zaludni ziemię swoimi potomkami.

Nie ma najmniejszej wątpliwości, że Charley szybko się stawał ekspertem drzewnym o ogromnym doświadczeniu. Prawdopodobnie mógłby dostać posadę jako konsultant w zarządzie lasów. Jednakże od początku ukrywałem przed nim wszelkie wiadomości o gigantycznych sekwojach. Wydawało mi się, że pudel z Long Island, który by złożył swoje uszanowanie drzewu *Sequoia sempervirens*, albo *Sequoia gigantea*, mógłby wyróżniać się spośród wszystkich innych psów - mógłby być nawet czymś w rodzaju Galahada, który ujrzał świętego Graala. Ta myśl jest oszałamiająca. Po takim przeżyciu mógłby zostać mistycznie przeniesiony na inną płaszczyznę bytowania, w inny wymiar, podobnie jak sekwoje wydają się być poza czasem i poza sferą naszego zwykłego myślenia. To przeżycie mogłoby go nawet przyprawić o obłąd. Pomyślałem i o tym. Z drugiej znów strony mogło uczynić z niego skończonego nudziarza. Pies, który zaznał czegoś takiego, mógł stać się pariasem w najprawdziwszym znaczeniu tego słowa.

Sekwoje, raz ujrzone, pozostawiają po sobie piętno albo stwarzają wizję, która nie opuszcza nas już nigdy. Nikt dotąd nie namalował ani nie sfotografował naprawdę dobrze takiego drzewa. Uczucie, które wywołują, jest nieprzekazywalne. Idzie od nich cisza i potęga. Sprawia to nie tylko ich niewiarygodny ogrom czy kolor, który zdaje się zmieniać i przeobrażać w naszych oczach; nie - one są niepodobne do jakichkolwiek znanych nam drzew, są ambasadorami innej epoki. Jest w nich tajemnica paproci, które zniknęły przed milionem lat w pokładach ery węglowej. Mają swoje własne światło i cień. W ich obecności nawet najbardziej pustacki, beztroski i niesforny człowiek poddaje się zakłęciu zdumienia i respektu. Respekt - to jest właściwe słowo. Czuje się potrzebę złożenia niskiego ukłonu bezspornym władcom. Znałem te olbrzymy od mego najwcześniejszego dzieciństwa, żyłem wśród nich, obozowałem i sypiałem przytulony do ich ciepłych, ogromnych ciał, ale nawet najczęstsze obcowanie nie wyrobiło we mnie lekceważenia. A takiego uczucia doświadczam nie tylko ja.

Przed wielu laty pewien obcy przybysz sprowadził się w moje strony pod Monterey. Jego zmysły musiały ulec atrofii i stępieniu od pieniędzy i ich zdobywania. Kupił gaj *sempervirensów* w głębokiej dolinie niedaleko wybrzeża, a potem, korzystając ze swego prawa właściciela, ściął je i sprzedał drewno, a na tym miejscu zostawił szczątki swej rzezi. Zgroza i drętwe oburzenie napełniły miasteczko. To było nie tylko morderstwo, ale i świętokradztwo. Patrzyliśmy na tego człowieka ze wstrętem i pozostał napiętnowany do końca swoich dni.

Ma się rozumieć, wiele starodawnych gajów wycięto, ale liczne dostojne pomniki istnieją nadal i będą istniały z dobrej i interesującej przyczyny. Stany i rządy nie mogły zakupywać i ochraniać tych świętych drzew. Wobec tego kluby, organizacje, nawet jednostki nabywały je i przeznaczały przyszłości. Nie znam żadnego innego podobnego przypadku. Takie jest działanie sekwoi na umysł ludzki. Ale jakie miało być w przypadku Charleya?

Zbliżając się do kraju sekwoi, w południowym Oregonie, trzymałem Charleya na tyle Rosynanta, niejako zakapturzonego. Minąłem kilka gajów i przepuściłem je, jako nie całkiem odpowiednie - a potem, na równej łące nad potokiem, ujraliśmy pradziada, stojącego samotnie, wysokiego na trzysta stóp i mającego obwód niewielkiej kamienicy. Konary o płaskich, jasnozielonych liściach zaczynały się dopiero na wysokości stu pięćdziesięciu stóp. Poniżej była prosta, z lekka zwężająca się kolumna pnia, czerwonofiole-towogranatowa. Wierzchołek był szlachetny i rozdarty piorunem jakiejś pradawnej burzy. Zjechałem na bok drogi i zatrzymałem się o pięćdziesiąt stóp od tego boskiego drzewa, tak blisko, iż musiałem odchylić głowę i podnieść oczy do pionu, by dojrzeć jego konary. To była chwila, na którą czekałem.

Otworzyłem tylne drzwi, wpuściłem Charleya i stanąłem patrząc w milczeniu, to bowiem mógł być psi sen o niebie w najwznioślejszej postaci.

Charley powęszył i potrząsnął obrozą. Zbliżył się do jakiegoś chwastu, opracował małe drzewko, pobiegł do potoku, napił się, a następnie rozejrzał za jakimś nowym zajęciem.

- Charley! - zawołałem. - Patrz!

Pokazałem mu pradziada. Pomerdał ogonem i napił się jeszcze. Powiedziałem:

- No, oczywiście. Nie podnosi głowy dość wysoko, żeby zobaczyć gałęzie i poznać, że to jest drzewo. - Podeszedłem do niego i podniosłem mu pysk prosto do góry. - Spójrz, Charley. To jest drzewo nad drzewami. To jest kres Poszukiwań.

Charley dostał napadu kichania tak jak wszystkie psy, kiedy mają nos zadarty za wysoko. Poczułem tę wściekłość i nienawiść, którą się ma dla nie doceniających, dla tych, co przez ignorancję niweczą wypieszczony plan. Zawlokłem go do pnia i potarłem oń jego nosem. Popatrzył na mnie zimno, wybaczył mi i odbiegł do krzaka leszczyny.

- Gdybym przypuszczał, że zrobił to na złość albo dla kawału - powiedziałem do siebie - zabiłbym go na miejscu. Nie mogę żyć w tej nieświadomości.

Otworzyłem scyzoryk i poszedłem nad potok, gdzie uciąłem gałąź małej wierzby, gałąź rozwidloną, gęsto obrośniętą listkami. Przyciąłem starannie jej końce, wreszcie zastrugałem grubszy, po czym wróciłem do dostojnego pradziada Tytanów i zatknąłem małą wierzbę w ziemię, tak że jej ulścienie opierało się o pobrużdżoną korę sekwoi. Następnie zagwizdałem na Charleya, on zaś zareagował dosyć uprzejmie. Rozmyślnie na niego nie patrzyłem. Biegał to tu, to tam, aż nagle spostrzegł wierzbę z drgnięciem zaskoczenia. Obwąchał delikatnie jej świeże listki, a potem, obróciwszy się najpierw w jedną, później w drugą stronę, ażeby ustalić namiar i tor pocisku, dał ognia.

Zostałem dwa dni w pobliżu gigantów, i nie było żadnych wycieczkowiczów, żadnych rozgadanych band z aparatami fotograficznymi. Panuje tam katedralna cisza. Może ta gruba, miękka kora wchłania dźwięki i stwarza ciszę. Drzewa wznoszą się prosto do zenitu; nie ma tam horyzontu. Świt przychodzi wcześniej i pozostaje światem, dopóki słońce nie wzejdzie wysoko. Wtedy zielone, do paproci podobne listowie tam, w górze, przesiewa światło słońca na kolor zielonożółty i rozprowadza je promieniami czy raczej pasmami jasności i cienia. Gdy słońce minie zenit, robi się popołudnie i zaraz potem wieczór z szepczącym zmierzchem, tak długim, jak przedtem świt.

W ten sposób czas i zwykły podział dnia ulegają zmianie. Dla mnie świt i zmierzch jest porą spokoju, ale tu, między sekwojami, prawie cały dzień jest spokojem. Ptaki przelatują w nikłym świetle albo błyskają jak iskry w pasmach słońca, ale odzywają się rzadko. Pod stopami ma się podściółkę igieł składaną przez dwa tysiące lat z góry. Nie sposób dosłyszeć odgłosu kroków na owym grubym kobiercu. Dla mnie jest tutaj jakiś nastrój odosobnienia, odcięcia od świata. Człowiek powstrzymuje się od mówienia z obawy, aby nie zakłócić czegoś - czego? Od najwcześniejszego dzieciństwa czułem, że coś się dzieje w tych lasach, coś, w czym nie uczestniczę. I jeśli zapomniałem o tym uczuciu, odzyskałem je bardzo prędko.

W nocy ciemność jest czarna - tylko prosto w górze jakaś plama szarości, a tu i ówdzie gwiazda. I coś oddycha w tej czerni, bo owe olbrzymy, które panują nad dniem i zaludniają noc, są żywe i mają swoją istność, może odczucia, a gdzieś głęboko także percepcję i może zdolność porozumiewania się. Przez całe życie obcowalem z tymi tworam. (Dziwne, że słowo „drzewa” jakoś tu nie pasuje). Mogę pogodzić się z nimi, ich potęgą i wiekiem, bo wcześniej się z nimi zetknąłem. Z drugiej strony ludzie, którym brak takiego doświadczenia, zaczynają czuć się tutaj nieswojo, mają wrażenie niebezpieczeństwa, zamknięcia, osaczenia i przytłoczenia. Przestrasza ich nie tylko ogrom sekwoi, ale ich dziwność. I czemuż by nie? Są one bowiem pozostałością rasy, która kwitła na czterech kontynentach w tak zamierzchłych czasach geologicznych, jak górny okres jurajski. Znajdowano kopalne szczątki tych starożytnych, datujące się z okresu kredowego, podczas gdy w eocenie i miocenie rozpościerały się na Anglię, Europę i Amerykę. A potem przyszły lodowce i starły tytanów bezpowrotnie. I zostały tylko te nieliczne - oszałamiająca pamiątka po świecie takim, jaki był niegdyś, dawno temu. Czyżbyśmy nie lubili, aby nam przypomniano, że jesteśmy bardzo młodzi i niewypierzeni na świecie, który był już stary, kiedyśmy się na nim pojawili? I czy nie ma w tym silnego opierania się pewności, że żywy świat podąży dalej swoją dostojną drogą, gdy my nie będziemy już na nim zamieszkiwać?

Trudno mi pisać o moich rodzinnych stronach, o północnej Kalifornii. Powinno to być najłatwiejsze, bo ten wsparty o Pacyfik pas ziemi znałem lepiej niż którekolwiek miejsce na świecie. Ale jest on dla mnie nie jedną rzeczą, lecz wieloma - nadrukowanymi jedna na drugiej, tak że w końcu wszystko się zamazuje. To, czym jest teraz, wypaczają wspomnienia tego, czym był, dalej zaś tego, co mi się tam zdarzyło, a całość powikłana tak, że obiektywizm jest prawie niemożliwy. Tę czteropasową asfaltową autostradę, smaganą mknącymi samochodami, pamiętam jako wąską, krętą, górską drogę, po której toczyły się drewniane wozy ciągnięte przez powolne muły. Oznajmiały

o swoim zbliżaniu się donośnym, słodkim brząkaniem dzwonek u chomąt. Tu znowu było małe, malutkie miasteczko - skład towarów mieszanych pod drzewem i kuźnia, a przed nią ławka, na której siadało się i słuchało brzęku młota o kowadło. Teraz rozpościerają się tu na milę we wszystkie strony małe domki, każdy taki sam jak następny, zwłaszcza dlatego, że usiłują być odmienne. Tam znowu było zadrzewione wzgórze, z dębami wirginijskimi ciemnozielonymi na tle wypalanej trawy, gdzie w księżycowe noce wyły kojoty. Wierzch wzgórza zrównano i przekątnikowa stacja telewizyjna sterczy tam do nieba i przynosi nerwowe obrazy tysiącom malutkich domków, stłoczonych przy drogach jak mszyce.

I czy nie jest to typowe narzekanie? Nigdy nie opierałem się przemianom, nawet kiedy je nazywano postępem, a jednak czuję urazę do obcych ludzi, którzy ten kraj, uważany przez mnie za mój własny, nurzają w hałasie, zamęcie i nieuniknionych usypiskach odpadków. A oczywiście ci nowi ludzie będą niechętnie widzieli nowszych. Pamiętam, jak za czasów mojego dzieciństwa dawaliśmy odzew na naturalną niechęć do obcych. My, którzyśmy się tu urodzili, a także nasi rodzice, czuliśmy dziwną wyższość nad przybyszami, barbarzyńcami, forestierami, oni zaś, ci obcy, czuli niechęć do nas i nawet ułożyli ordynarny wiersz na nasz temat:

W czterdziestym dziewiątym górnik przyszedł,
Po latach dwóch przybyły kurwy, a kiedy razem się skumali,
Syna tej ziemi zmajstrowali.

My byliśmy solą w oku dla Hiszpano-Meksykanów, a oni z kolei dla Indian. Czy to może dlatego sekwoje przyprowadzają ludzi o nerwowość? Te tubylcze drzewa były już rozrośnięte, gdy na Golgocie odbyła się polityczna egzekucja. Były bliskie wieku średniego, gdy Cezar zniszczył republikę rzymską w trakcie jej ratowania. Dla sekwoi każdy jest obcym, barbarzyńcą.

Czasami pogląd na zmiany bywa skrzywiony przez zmianę w nas samych. Pokój, który wydawał się taki duży, skurczył się, góra stała się wzgórzem. Jednakże w tym przypadku to nie jest złudzenie. Pamiętam Salinas, miejsce mojego urodzenia, gdy z dumą oznajmiało, że ma cztery tysiące obywateli. Dziś ma ich osiemdziesiąt tysięcy i skacze dalej niepowstrzymanie w postępie matematycznym - sto tysięcy za trzy lata i może dwieście za dziesięć, a końca tego nie widać. Nawet ci, których radują cyfry i którym imponuje wielkość, zaczynają się niepokoić uświadamiając sobie stopniowo, że musi gdzieś być punkt nasycenia i że postęp może być postępem w kierunku zadławienia. I nie znaleziono żadnego wyjścia. Nie można zabronić ludziom się rodzić - przynajmniej na razie.

Wspominałem wyżej o pojawieniu się przyczepy, domu na kółkach, i o pewnych korzyściach dla jej właścicieli. Uważałem, że na Wschodzie i na Środkowym Zachodzie jest ich dużo, ale w Kalifornii lęgną się one jak śledzie. Postoje dla przyczep są wszędzie, obsiadają zbocza wzgórz, wlewają się w łożyska rzek. I przynoszą ze sobą nowy problem. Ci ludzie korzystają ze wszystkich lokalnych

urządzeń, ze szpitali, szkół, ochrony policyjnej, przedsięwzięć społecznych - a jak dotąd nie płacą podatków. Miejscowe urzędy opłacane są z podatku od nieruchomości, od którego ruchomy dom jest wolny. Wprowadzie stan nakłada opłaty od pojazdów, ale opłaty te nie zasilają okręgów ani miast poza kosztami utrzymania i rozbudowy dróg. W ten sposób właściciele nieruchomości muszą utrzymywać roje przybyszów i to ich dość irytuje. Ale nasze prawa podatkowe i nasz sposób myślenia o nich rozwijały się długo. Umysł wzdraga się przed pogłównym i podatkiem od urzędów. Pojęcie własności nieruchomości, jako źródła i symbolu bogactwa, jest w nas głęboko wrosnięte. A teraz duża liczba ludzi znalazła sposób, żeby to obejść. To mogłoby spotkać się z pochwałą, jako że na ogół podziwiamy tych, którzy umieją wykręcać się od podatków, gdyby nie fakt, że ciężar owej swobody spada coraz większym brzemieniem na innych. Jest oczywiste, że w bardzo niedługim czasie przyjdzie obmyślić całą nową metodę opodatkowania, bo inaczej obciążenie nieruchomości stanie się tak wielkie, że nikt nie będzie mógł sobie na nią pozwolić: własność, bynajmniej nie będąc źródłem zysku, stanie się karą, co będzie szczytem piramidy paradoksów. W przeszłości pogoda, klęski i plagi zmuszały nas wbrew naszej woli do zmian. Obecnie nacisk wywierany jest przez nasz biologiczny sukces jako gatunku. Pokonaliśmy wszystkich wrogów z wyjątkiem nas samych.

Kiedy byłem dzieckiem dorastającym w Salinas, nazywaliśmy San Francisco „Miastem” - „The City”. Oczywiście było to jedyne miasto, jakie znaliśmy, ale po dziś dzień myślę o nim jako o Mieście, a tak samo i każdy inny, kto się z nim zetknął. Dziwne to i ekskluzywne słowo. Poza San Francisco tylko mała część Londynu i Rzym pozostają w umyśle jako City i Miasto. Nowojorczyki mówią, że mieszkają w Nowym Jorku. Paryż nie ma innego tytułu poza Paryżem. Mexico City jest Stolicą.

Niegdyś znałem Miasto bardzo dobrze, spędziłem tam mój okres poddaszowy, podczas gdy inni byli straconym pokoleniem w Paryżu. Podchowałem się w San Francisco, wspinałem się na jego wzgórza, sypiałem w jego parkach, pracowałem w jego dokach, maszerowałem i krzyczałem w jego rewoltach. W pewnym sensie uważałem, że posiadam Miasto, tak samo jak ono posiadało mnie.

San Francisco urządziło dla mnie widowisko. Zobaczyłem je z drugiego brzegu zatoki, z tej wielkiej szosy, która mija Sausalito i wbiega na Most Złotych Wrót. Popołudniowe słońce ubarwiło je na białe i złote - wznoszące się na swoich wzgórzach niby wspaniałe miasto ze szczęśliwego snu.

Miasta położone na wzgórzach mają przewagę nad tymi, które są na płaszczynie. Nowy Jork tworzy swe własne wzgórza wyniosłymi gmachami, ale to złoto-białe akropolis wznoszące się fala nad falą na tle błękitnego nieba Pacyfiku było czymś oszałamiającym, czymś malowanym niby obraz średniowiecznego miasta włoskiego, które nie mogło nigdy istnieć. Zatrzymałem się przy szosie, ażeby popatrzeć na nie i na wiodący do niego ponad wlotem od morza naszyjnik mostu. Po zielonych, wyższych wzgórzach w stronie południowej przetaczały się wieczorne mgły niby stada owiec powracających do zagród w złotym mieście. Nigdy go nie widziałem piękniejszym. Gdy byłem dzieckiem i mieliśmy jechać do Miasta, nie mogłem przedtem spać przez kilka nocy z szalonej emocji. Pozostawia ono swoje piętno.

A potem przejechałem przez wielki łuk zawieszony na włóknach i oto byłem w mieście, które znałem tak dobrze.

Pozostało Miastem, które zapamiętałem, tak ufny w swoją wielkość, że może pozwolić sobie na łaskawość. Było dla mnie łaskawe w czasach mojego ubóstwa i nie miało mi za złe mojej chwilowej wyplącalności. Mogłem tam siedzieć bez końca, ale musiałem pojechać do Monterey, żeby przekazać mój głos w wyborach.

Za moich młodych lat, w okręgu Monterey, o sto mil na południe od San Francisco, wszyscy byli republikanami. Moja rodzina była republikańska. Ja też może bym jeszcze był, gdybym tam został. Prezydent Harding popchnął mnie ku partii demokratycznej, a prezydent Hoover mnie tam ucementował. Jeżeli wdaję się w moje osobiste dzieje polityczne, to dlatego, że uważam, iż mój przypadek może nie być odosobniony.

Przyjechałem do Monterey i zaczęły się kłótnie. Moje siostry są nadal republikankami. Wojna domowa jest podobno najzjadlejszą ze wszystkich wojen, a z pewnością spory polityczne w rodzinie są najbardziej gwałtowne i jadowite. Mogę dyskutować o polityce chłodno i analitycznie z ludźmi obcymi. To było niemożliwe z moimi siostrami. Każde takie posiedzenie kończyliśmy zasapani i wyczerpani z wściekłości. Nie było kompromisu w żadnym punkcie. Nie żądano i nie dawano pardonu.

Co wieczór obiecywaliśmy sobie:

- Kochajmy się i bądźmy dla siebie serdeczni. Dzisiejszego wieczora żadnych rozmów o polityce.

A w dziesięć minut później już wrzeszczeliśmy na siebie:

- John Kennedy jest taki owaki...
- Jeżeli tak uważasz, to jak możesz pogodzić się z Dickiem Nixonem?
- Pomówmy spokojnie. Jesteśmy rozsądnymi ludźmi. Zastanówmy się nad tym.
- Ja już się zastanowiłam. A co z tą szkocką whisky?
- O, jeżeli zaczynasz z tej beczki, to co z tym składem kolonialnym w Santa Anna? A co z Checkers, moja ślicznotko?
- Ojciec by się w grobie przewrócił, gdyby ciebie słyszał.
- Nie, jego w to nie mieszaj, bo dzisiaj byłby demokratą.
- Pomyśl, co ty mówisz. Bobby Kennedy skupuje głosy na worki.
- A ty uważasz, że żaden republikanin nigdy nie kupował głosów? Nie bądź śmieszna.

Było to zaciekle i trwało bez końca. Powygrzebywaliś-my przestarzałą broń konwencjonalną oraz obelgi, które miotaliśmy sobie wzajemnie.

- Ty mówisz jak komunista.
- A ty podejrzenie przypominasz Czyngis-chana.

To było okropne. Ktoś obcy, słysząc nas, wezwałby policję, ażeby nie dopuścić do rozlewu krwi. I nie sądzę, żebyśmy byli jedyni. Przypuszczam, że działo się to prywatnie w całym kraju. Chyba tylko publicznie naród nie chciał otwierać ust.

Głównym celem tego mojego powrotu w ojczyste strony zdawały się być kłótnie na temat polityki, jednakże w przerwach odwiedzałem dawne miejsca. Było wzruszające spotkanie w barze Johnny'ego Garcii w Monterey, ze łzami i uściskami, z przemówieniami i czułościami w tej poci hiszpańszczyźnie z czasów mojej młodości. Byli Indianie Jolon, których pamiętałem jako chodzących w koszulach chamacos. Lata gdzieś uciekły. Tańczyliśmy ceremonialnie, z rękami splecionymi z tyłu. I śpiewaliśmy hymn południowego okręgu:

Był samotny młodzian
z Jolón Co mu się sprzykrzył żywot solo
Tedy pojechał do King City Najść
kogoś z czarem seniority Puta chingada cabrón *

* Przekład Z. Stolarka.

** Gallego — człowiek pochodzący z hiszpańskiej prowincji Galicja.

Nie słyshałem tego od wieków. Był to tydzień dawnych, rodzinnych czasów. Lata powłaziły z powrotem w swoje dziury. To było to samo Monterey, gdzie niegdyś wpuszczano razem na arenę niedźwiedzia grizzly i byka, miasteczko słodkiej i sentymentalnej gwałtowności i mądrej prostoty, której jak dotąd nie znały i przez to nie zbrukały nie owinięte w pieluchy umysły.

Siedzieliśmy przy barze, a Johnny Garcia spoglądał na nas swoimi zażawionymi oczami Gallega **. Koszulę miał rozpiętą, a na szyi zawieszony złoty medalik na łańcuszku. Pochylił się nad barem i powiedział do siedzącego najbliżej:

- Przyjrzyj się temu! Tu obecny Juanito dał mi to przed laty... Przywiózł z Meksyku; La Morena, La Virgin-cita de Guadalupe, i patrz! - odwrócił złoty krążek. - Moje imię i jego.

- Wydrapane szpilką - powiedziałem.

- Nigdy go nie zdejmuję - rzekł Johnny.

Masywny, czarnowłosy paisano, którego nie znałem, stanął przy barze i pochylił się nad nim.

- Favor? - zapytał, a Johnny, nie patrząc w jego stronę, wyciągnął ku niemu medalik. Tamten ucałował go, powiedział: - Gracias - i szybko wyszedł wahadłowymi drzwiami.

Pierś Johnny'ego wezbrała wzruszeniem, a oczy mu zwilgotniały.

- Juanito - powiedział do mnie. - Wróć do domu! Wróć do swoich przyjaciół. My cię kochamy. Potrzebujemy ciebie. To jest twoje miejsce, compadre, nie zostawiaj go pustego.

Muszę przyznać, że poczułem dawny przyptyw miłości i krasomówstwa, choć nie mam w sobie ani kropli hiszpańskiej krwi.

- Cuñado mio - powiedziałem smutno. - Ja teraz mieszkam w Nowym Jorku.

- Nie lubię Nowego Jorku - rzekł Johnny.

- Nigdy tam nie byłeś.

- Wiem. Dlatego go nie lubię. A ty musisz wrócić. Ty jesteś stąd.

Pilem potężnie i niech mnie richo, jeśli nie przyłapałem się na tym, że wygłaszam mowę. Stare słowa, nie używane od tak dawna, powróciły mi falą.

- Niech twoje serce ma uszy, mój wuju, mój przyjacielu. My obaj nie jesteśmy już małymi śmierzdelami. Czas załatwił wiele naszych spraw.

- Cicho - odparł. - Nie chcę tego słuchać. To nieprawda. Dalej lubisz wino, dalej lubisz dziewczyny. Co się zmieniło? Ja ciebie znam. No me cagas, niño.

- Te cago nunca. Był jeden wielki człowiek nazwiskiem Thomas Wolfe i napisał książkę pod tytułem: „Nie możesz już wrócić do domu”. I to jest prawda.

- Kłamca - rzekł Johnny. - Tu jest twoja kolebka, twój dom. - Nagle uderzył w blat baru dębowym kijem do pokojowego baseballu, którego używał podczas kłótni, aby przywrócić spokój. - Po nieskończonym czasie - może za sto lat - tutaj powinien być twój grób.

Kij wypadł mu z ręki i Johnny zapłakał na myśl o moim przyszłym zgonie. Ja także zachlipałem nad tą perspektywą. Spojrzałem na moją pustą szklankę.

- Ci Gallegos nie mają żadnego wychowania.

- Och, na miłość boską - rzekł Johnny. - Och, wybacz mi! - i napełnił nam szklanki.

Stojący przy barze milczeli, na smagłych twarzach malował się uprzejmy brak wyrazu.

- Za twój powrót do domu, compadre - powiedział Johnny. - Janie Chrzycielu, rzuć do diabła te bzdury.

- Conejo de mi Alma - odrzekłem. - Króliczku mojej duszy, wysłuchaj mnie.

Tamten wysoki, czarnowłosy, wrócił z ulicy, pochylił się nad barem, ucałował medalik Johnny'ego i wyszedł znowu. Powiedziałem z rozdrażnieniem:

- Były czasy, kiedy człowieka słuchano. Czy muszę wykupić bilet? Muszę zrobić rezerwację, żeby coś powiedzieć?

Johnny obrócił się w stronę milczącego baru.

- Cisza! - powiedział zaciekle i znowu chwycił kij baseballowy.

- Teraz ci powiem rzeczy prawdziwe, szwagrze mój. Wyjdź na ulicę; sami obcy, nietutejsi, całymi tysiącami. Popatrz na wzgórze, na owe gołębniki. Przeszedłem dzisiaj przez całą ulicę Alvarado i z powrotem przez Calle Principal i nie widziałem nikogo oprócz obcych. Dziś po południu zabłądziłem w Peter's Gate. Poszedłem na Pole Miłości, tam za tym domem Joe'go Duckwortha obok parku. Teraz tam jest skład używanych samochodów. Mam nerwy skołatanе od świateł na skrzyżowaniach. Nawet policjanci są obcy, nietutejsi. Pojechałem do doliny Carmel, gdzie dawniej mogliśmy strzelać ze sztucera we wszystkie strony. Teraz nie mógłbyś rzucić kamieniem, żeby kogoś nie trafić. I słuchaj, Johnny, mnie ludzie nie przeszkadzają, ty o tym wiesz. Ale to są ludzie bogaci. Sadzą pelargonie w wielkich doniczkach. Tam, gdzie dawniej czekały na nas żaby i raki, są baseny kąpielowe. Nie, mój przyjacielu. Gdyby to był mój dom, czy mógłbym chodzić po ulicach nie słysząc błogosławieństwa?

Johnny siedział oparty niedbale o bar.

- Ale tu, Juanito, jest tak samo. My ich tu nie wpuszczamy.

Popatrzyłem na rząd twarzy.

- Tak, tu jest lepiej. Ale czyż mogę żyć na stołku barowym? Nie łudźmy się. To, cośmy znali, umarło i może większa część tego, czym byliśmy, umarła. Tamto wszystko jest nowe i może dobre, ale my tego nie znamy.

Johnny wsparł skronie na złożonych dłoniach, a oczy miał krwią nabiegłe.

- Gdzie są ci wielcy? Powiedz mi, gdzie jest Willie Trip?

- Umarł - odrzekł głucho Johnny.

- Gdzie jest Pilon, Pom Pom, Miz Gragg, Stevie Field?

- Umarł, umarł umarł - powtórzył jak echo.

- Ed Ricketts, Whitey Numer Jeden i Dwa, gdzie Sonny Boy, Ankle Varney, Jezus Maria Corcoran, Joe Porta-gee, Krótki Lee, Flora Wood i ta dziewczyna, co trzymała pajaki w kapeluszu?

- Pomarli... Wszyscy pomarli - jęknął Johnny. - Całkiem jakby się było w wiadrze pełnym duchów.

- Nie. Nie oni są prawdziwymi duchami. Duchami jesteśmy my.

Tamten wysoki, czarnowłosy wszedł i Johnny bez prośzenia wyciągnął ku niemu medalik do pocałowania. Potem odwrócił się i na szeroko rozstawionych nogach podszedł do lustra barowego. Przez chwilę przyglądał się bacznie swojej twarzy, następnie wybrał jedną z butelek, wyjął korek, powąchał go, posmakował. Potem obejrzał swoje paznokcie. Wzdłuż baru poruszono się niespokojnie, ramiona się przygarbiły, nogi rozprostowały.

„Będzie awantura” - powiedziałem do siebie.

Johnny wrócił do baru i delikatnie postawił butelkę między nami. Oczy miał szeroko otwarte, zamyślane. Potrząsnął głową.

- Zdaje się, że ty nas już nie lubisz. Może jesteśmy dla ciebie za mali. - Czubki jego palców wygrywały powolne akordy na niewidzialnej klawiaturze baru.

Przez krótką chwilę czułem pokusę. Usłyszałem dźwięk trąb i szczęk oręża. Ale, do diabła, już jestem na to za stary. Dwoma krokami znalazłem się przy drzwiach. Obróciłem się.

- Dlaczego on całuje twój medalik?
- Bo robi zakłady.
- Okej. To do jutra, Johnny.

Podwójne drzwi zamknęły się za mną. Byłem na ulicy Alvarado, oblanej światłem neonów - a dookoła mnie byli sami obcy.

W tym podnieceniu nostalgicznej złości wyrządziłem złą przysługę półwypowi Monterey. Jest to miejsce piękne, schludne, dobrze zorganizowane i postępowe. Plaże, na których niegdyś walały się rybie wnętrzności i roiły muchy, są teraz czyste. Fabryki konserw, dawniej wydające okropny smród, poznikwały, a na ich miejsce pojawiły się restauracje, sklepy z antykami i tym podobne. Teraz się łowi turystów, nie sardynki, a jest to gatunek, którego zapewne się nie wytępi. A Carmel, zapoczątkowany przez głodujących pisarzy i nikomu niepotrzebnych malarzy, jest teraz miejscowością ludzi zamożnych i emerytowanych. Gdyby założyciele Carmelu powrócili, nie mogliby sobie pozwolić na zamieszkanie tam, ale do tego by nie doszło. Zostaliby natychmiast zatrzymani jako podejrzani osobnicy i deportowani poza obręb miasta.

Miejsce mojego pochodzenia zmieniło się, a ja, ponieważ odjechałem, nie zmieniłem się razem z nim. W mojej pamięci trwało takie, jakim niegdyś było, i jego zewnętrzny wygląd zaskakiwał mnie i gniewał.

Tego, co chcę opowiedzieć, musiało zaznać bardzo wielu w tym kraju, gdzie tylu ludzi wędruje i powraca. Odwiedziłem starych i cenionych przyjaciół. Miałem wrażenie, że włosy cofnęły im się znad czoła nieco dalej niż mnie. Powitania były entuzjastyczne. Wspomnienia napływały rzeką. Wydobywaliśmy i odkurzaliśmy dawne występki i dawne tryumfy. I nagle moja uwaga się rozpraszająca, i patrząc na mego starego przyjaciela widziałem, że jego także. I prawdą było to, co powiedziałem Johnny'emu Garcii - że byłem duchem. Moje miasto rozrosło się i zmieniło, a mój przyjaciel zmienił się razem z nim. Wracając teraz, równie zmieniony dla mego przyjaciela jak moje miasto dla mnie, zniekształcałem mu obraz, mąciłem wspomnienia. Wyjeżdżając umarłem i przez to byłem utrwalony i niezmienny. Mój powrót wywoływał tylko zamęt i niepokój. Chociaż nie mogli tego powiedzieć, moi dawni przyjaciele chcieli, żebym odjechał i przez to zajął właściwe miejsce w układzie ich wspomnień - a ja chciałem odjechać z tej samej przyczyny. Tom Wolfe miał rację. Nie można już wrócić do domu, bo dom przestał istnieć poza kulkami na mole pamięci.

Odjazd mój był ucieczką. Jednakże uczyniłem jedną ceremonialną i sentymentalną rzecz, zanim się odwróciłem plecami. Pojechałem na Górę Fremonta, najwyższy szczyt na wiele mil wokół. Wspiąłem się po ostatnich, sterczących skałach na sam wierzchołek. Tutaj, między tymi poczerniałymi, granitowymi głazami, generał Fremont stawiał ostatni opór meksykańskiej armii i tu ją pokonał. Kiedy byłem małym chłopcem, czasami znajdowaliśmy na tym obszarze kule armatnie i zardzewiałe bagnety.

Ten samotny kamienny szczyt dominował nad całym moim dzieciństwem i młodością, nad wielką doliną Salinas, ciągnącą się ku południowi na przestrzeni prawie stu mil, i miastem Salinas, w którym się urodziłem, rozrastającym się teraz jak łąka bujnej trawy ku podnóżom wzgórz. Góra Toro, w siostrzanym łańcuchu na zachodzie, była krągłą, dobrotliwą górą, a na północy zatoka Monterey lśniła niczym błękitny półmisek. Czuję, wachając i słysząc wiatr wiejący z długiej doliny. Pachniał brunatnymi wzgórzami, porośniętymi dzikim owsem.

Pamiętam, jak kiedyś, w owym okresie młodości, który jest głęboko zaprzątnięty śmiercią, pragnąłem być pochowany na tym szczycie, z którego bez oczu mógłbym widzieć wszystko, co znałem i kochałem, bo w tamtych czasach nie było świata za górami. I pamiętam, jak bardzo byłem przejęty swoim pochówkiem. Jest rzeczą dziwną i może szczęśliwą, że kiedy zbliża się nasza godzina, zainteresowanie tym słabnie w miarę, jak śmierć staje się faktem, a nie widowiskiem. Tu, na tych wyniosłych skałach, mój pamięci powrócił. Charley, zbadawszy teren, siadł u

moich stóp, a kosmate uszy powiewały mu niczym bielizna na sznurze. Jego nos, wilgotny z zaciekawienia, węszył niesione przez wiatr wonie stu mil.

- Nie możesz wiedzieć, drogi Charleyu, że tam, w tej małej dolince, łowiłem pstrągi z twym imiennikiem, a moim wujem, Charleyem. A znowu tam - patrz, gdzie pokazuję - matka moja ustrzeliła żbika. Prosto w tej stronie,

O czterdzieści mil stąd, było nasze rodzinne ranczo - stare, głodowe ranczo. Widzisz tamto ciemniejsze miejsce? Więc to jest maleńki kanion, gdzie płynie czysty, śliczny potok obrośnięty dzikimi azaliami i obrzeżony dużymi dębami. A na jednym z tych dębów mój ojciec wypalił swoje imię gorącym żelazem razem z imieniem dziewczyny, którą kochał. W ciągu długich lat kora porośla i przysłoniła ranę.

I dopiero niedawno temu ktoś ściał ten dąb na opał, wbity klin odsłonił imię mojego ojca i ten człowiek mi je przysłał. Na wiosnę, Charleyu, kiedy dolina zasłana jest błękitnym łubinem jak kwietne morze, czuje się tutaj zapach nieba, zapach nieba.

Utrwaliłem sobie jeszcze raz w oczach widok na południe, zachód i północ, a potem pospieszyliśmy daleko od trwałej i niezmiennej przeszłości, w której matka moja ciągle zabija żbika, a ojciec ciągle wypala imię swoje i swojej ukochanej.

Byłoby przyjemnie móc powiedzieć o moich podróżach z Charleyem: „pojechałem odszukać prawdę o moim kraju i znalazłem ją”. A potem byłoby takie proste zapisać moje znaleziska i oprzeć się wygodnie w fotelu z miłym poczuciem, że wykryłem różne prawdy i pouczyłem o nich moich czytelników. Chciałbym, żeby to było takie proste. Jednakże to, co niosłem w głowie i głębiej, w moich doznaniach, było beczką robaków. Dawno temu odkryłem przy zbieraniu i klasyfikowaniu morskich żyjątek, że to, co znajdowałem, było ściśle związane z tym, jak się w danej chwili czułem. Zewnętrzna rzeczywistość ma skłonność nie być jednak aż tak zewnętrzną.

Okazuje się, że ten kraj-potwór, ten najpotężniejszy z narodów, ta ikra przyszłości jest makrokosmosem mikro-kosmosu - mnie. Gdyby Anglik czy Francuz, czy Włoch przejechał moją trasą i zobaczył to, co ja zobaczyłem, usłyszał to, co usłyszałem, zebrane przez nich obrazy byłyby nie tylko różne od moich, ale również odmienne jeden od drugiego. Jeżeli inni Amerykanie czytając niniejszą relację uznają ją za prawdziwą, będzie to tylko znaczyło, że jesteśmy do siebie podobni w naszej amerykańskości.

Od początku do końca nie stykałem się z ludźmi dla mnie obcymi. Gdyby tak było, może potrafiłbym opisać ich bardziej obiektywnie. Ale to jest mój naród i mój kraj. Jeżeli znalazłem rzeczy budzące krytykę i ubolewanie, były one skłonnościami równie obecnymi we mnie samym. Gdybym miał wygotować jedno nieskazitelnie przeanalizowane uogólnienie, byłoby ono następujące: pomimo całej naszej olbrzymiej rozległości geograficznej, pomimo całego naszego partykularyzmu, mimo przemieszania naszych ras pochodzących ze wszystkich części etnicznego świata, jesteśmy narodem, nowym plemieniem. Amerykanie są o wiele bardziej Amerykanami niż mieszkańcami Północy, Południa, Zachodu czy Wschodu. A potomkowie Anglików, Irlandczyków, Włochów, Żydów, Niemców, Polaków są do gruntu Amerykanami. To nie jest hurapatriotyzm, ale uważnie zaobserwowany fakt. Kalifornijscy Chińczycy, bostońscy Irlandczycy, Niemcy z Wisconsinu, ba, i Murzyni z Alabamy mają więcej cech wspólnych niż takich, które ich dzielą. A to jest tym bardziej godne uwagi, że dokonało się tak szybko. Faktem jest, że Amerykanie ze wszystkich dzielnic i wszystkich ras są bardziej do siebie podobni niż Walijszczyki do Anglików, mieszkańiec Lan-cashire do cockneya * czy nawet Szkot z nizin do Szkotów z gór. Zdumiewające jest, że stało się to w niespełna dwieście lat, w większości zaś podczas ostatnich pięćdziesięciu. Amerykańska tożsamość jest rzeczą ścisłą i sprawdzalną.

Ruszając w drogę powrotną uświadomiłem sobie, że nie zdołałem obejrzeć wszystkiego. Moja odbierająca wrażenia płyta żelatynowa zaczynała się zamazywać. Postanowiłem obejrzeć jeszcze dwa rejony i na tym skończyć - Teksas i próbkę Głębokiego Południa. Z lektury odniosłem wrażenie, że Teksas zaczyna być odrębną siłą, a Południe przechodzi bóle porodowe, przy czym natura jego przyszłego dziecka jest ciągle niewiadoma. I uważałem, iż owe bóle porodowe są tak dotkliwe, że zapomniano o dziecku.

Ta podróż była jak pełny, wielodaniowy posiłek postawiony przed zagłodzonym człowiekiem.

* Mieszkaniec Londynu, szczególnie z east-end, mówiący gwarą londyńską.

Najpierw człowiek ten próbuje zjeść wszystko, co mu dają, ale stopniowo zaczyna stwierdzać, że musi pominąć pewne rzeczy, aby zachować apetyt i funkcjonowanie swych nerwów smakowych.

Wyprowadziłem Rosynanta z Kalifornii możliwie najkrótszą trasą - tą którą znałem dobrze z dawnych czasów w latach trzydziestych. Z Salinas do Los Banos, przez Fresno i Bakersfield, potem przez przełęcz w pustynię Mohave, pustynię spaloną i płonąca nawet o tak późnej porze roku, ze wzgórzami jak kopce czarnego żużlu w oddali i spękaną ziemią, wyssaną do sucha przez głodne słońce. Teraz jest łatwo jechać pewnym i wygodnym samochodem wysokoszybkościową drogą, z miejscami postoju, gdzie jest cień, i stacjami obsługi wychwalającymi swoje urządzenia chłodnicze. Ale pamiętam czasy, kiedy przyjeżdżaliśmy tu modląc się w duchu, nasłuchując jakiegoś defektu w naszych utrudzonych, starych silnikach, ciągnąc za sobą smugę pary z gotujących się chłodziw. Wtedy taki zepsuty wrak przy drodze był w prawdziwie ciężkiej sytuacji, chyba że ktoś się zatrzymał, aby zaoferować pomoc. I nigdy nie przejeżdżałem pustyni nie dzieląc czegoś z owymi dawnymi rodzinami, które wlokły się przez to ziemskie piekło pozostawiając za sobą białe szkielety koni i bydła, po dziś dzień znaczące ich szlak.

Mohave jest pustynią wielką i budzącą lęk. To jest tak, jak gdyby natura poddawała próbę wytrzymałość i wytrwałość człowieka, ażeby sprawdzić, czy godny jest dostania się do Kalifornii. Migotliwy, suchy upał tworzy wizje wody na gładkiej płaszczyźnie. A nawet kiedy jedzie się z dużą szybkością, wzgórza wyznaczające granice pustyni cofają się przed nami. Charley, pies stale zżakniony wody, dyszał astmatycznie, aż całe ciało drgało mu z wysiłku, zaś dobre osiem cali jego języka zwisało płasko jak liść ociekając śliną. Zjechałem z drogi w mały parów, ażeby dać mu wody z mojego trzydziestogalonowego zbiornika. Jednakże zanim pozwoliłem mu się napić, oblałem go całego, a także własne włosy, ramiona i koszulę.

Powietrze jest tam tak suche, że parowanie wywołuje nagłe uczucie zimna.

Wyjąłem z lodówki puszkę piwa, zasiadłem w cieniu Rosynanta i patrzyłem na miazdżoną słońcem równinę, tu i ówdzie nakrapianą kępami bożodrzewu.

Około pięćdziesięciu jardów ode mnie stały obserwując mnie dwa kojoty, których płowa sierść zlewała się z piaskiem i światłem słońca. Wiedziałem, że za moim pierwszym szybkim czy podejrzanym ruchem znikną bez śladu. Jak najobjętniej i najpowolniej sięgnąłem po mój nowy sztucerek wiszący nad łóżkiem - ten kalibru 222, z zajadłymi małymi żądłami o dużej prędkości i dalekim zasięgu. Bardzo wolno podniosłem broń. Możliwe, że w cieniu mojego domku byłem na wpół niewidoczny przy oślepiającym świetle na zewnątrz. Ten mały sztucerek ma piękną lunetę z szerokim polem widzenia. Kojoty ani drgnęły.

Uchwyciłem obydwu w lunetę, a soczewka ściągnęła je bardzo blisko. Języki miały wywieszane, tak że zdawały się drwiąco uśmiechać. Były to zwierzęta dorodne, ale zagłodzone, z dobrym futrem, którego złotawe włosy przemieszane były z czarnymi. W lunecie były wyraźnie widoczne małe, cytrynowożółte oczy. Przeniosłem krzyż lunety na pierś siedzącego po prawej i odsunąłem bezpiecznik. Łokcie oparte o stolik podpierały broń. Krzyż lunety spoczywał nieruchomo na komorze. Wtedy kojot siadł jak pies i podniósł prawą tylną łapę, by się podrapać w prawą łopatkę.

Mój palec wzdragał się dotknąć spustu. Muszę już bardzo się starzeć i mój dawny zapal wystyga. Kojoty są szkodnikami. Kradną kury. Przerzedzają zastępy przepiórek i wszelkiego innego ptactwa łownego. Musi się je zabijać. Są wrogami. Mój pierwszy strzał zważyłby siedzące zwierzę, a wtedy drugi kojot rzuciłby się do ucieczki. Mogłem przewrócić go strzałem w biegu, bo jestem dobrym strzelcem kulowym.

Ale nie strzeliłem. Moje wychowanie mówiło mi: „Strzelaj”, a mój wiek odpowiadał: „Tu nie ma kury w promieniu trzydziestu mil, a jeśli jakieś są, to nie są moimi kurami. A to bezwodne miejsce nie jest ostoją przepiórek. Nie, te dwa chłopaki utrzymują się w formie za pomocą szczurów i królików, a to oznacza, że szkodniki zjadają szkodniki. Dlaczego miałbym się w to mieszać?”

„Zabij je - mówiło moje wychowanie. - Każdy je zabija. To jest obowiązek publiczny”. Mój palec przesunął się do spustu. Krzyż był oparty o pierś, tuż pod dyszącym językiem. Wyobrażałem sobie uderzenie i targnięcie gniewnej stali, skok i zmaganie, dopóki nie stanęłoby rozszarpane serce, a wkrótce potem cień jastrzębia, później drugiego. O tym czasie od dawna by mnie tu już nie było - wyjechałbym z pustyni i znalazł się na drugim brzegu rzeki Kolorado. A tutaj, obok kęp bożodrzewu zostałyby naga czaszka bez oczu, kilka ogryzionych kości, plama czarnej zaschniętej krwi i parę strzępków złotawego futra.

Widocznie jestem za stary i za leniwy, żeby być dobrym obywatelem. Drugi kojot stał bokiem do mojego sztucera. Przesunąłem krzyż lunety na jego łopatkę i zatrzymałem go. Nie było mowy o chybieniu z tego sztucera i z tej odległości. Oba zwierzęta były moje. Ich życie należało do mnie. Zabezpieczyłem broń i położyłem ją na stoliku. Bez lunety kojoty nie były tak poufale blisko. Od rozgrzanego światła migotało powietrze.

Wtedy przypomniałem sobie coś, co słyszałem dawno temu, i co, mam nadzieję, jest prawdą. Mój informator mówił mi, iż w Chinach było niepisane prawo, że jeśli jeden człowiek ocalił drugiemu życie, stawał się za to życie odpowiedzialny do końca swoich dni. Albowiem, wmieszawszy się w bieg wydarzeń, wybawca nie mógł potem uchylić się od odpowiedzialności. I to zawsze wydawało mi się logiczne.

Teraz wziąłem na siebie symboliczną odpowiedzialność za dwa żywe i zdrowe kojoty. W subtelnym świecie wzajemnych powiązań jesteśmy ze sobą złączeni po wsze czasy. Otworzyłem dwie puszkę z pokarmem dla psów i zostawiłem je jako wotum.

Przez południowy zachód przejeżdżałem wiele razy, a jeszcze częściej przelatywałem nad nim - nad tym wielkim i tajemniczym, udręczonym przez słońce pustkowiem. Jest ono tajemnicą, czymś przyczajonym i czekającym. Wydaje się opustoszałe, wolne od pasożytniczego człowieka, ale nie całkowicie tak jest. Jeżeli podążycie za podwójnym śladem kół poprzez piasek i skały, znajdziecie gdzieś ludzką siedzibę, wtuloną w osłonięte miejsce, z paroma drzwiami kierującymi swoje korzenie ku wodzie podskórnej, z poletkiem nędznej kukurydzy i dyń, i paskami wołowiny suszącej się na sznurze. Istnieje plemię ludzi pustynnych, może nie ukrywających się, ale szukających azylu przed grzechami zamętu.

Nocą w owym bezwodnym powietrzu gwiazdy schodzą tak nisko, że nieomal można ich dotknąć palcami. W takich miejscach żyli pustelnicy z wczesnej epoki kościoła, którzy przenikali do nieskończoności swymi nie zaśmieconymi umysłami. Wielkie koncepcje jedności i majestatycznego ładu jakoś zawsze rodziły się na pustyni. Spokojne rachowanie gwiazd i obserwacja ich ruchów przyszły najpierw z obszarów pustynnych. Znałem ludzi z pustyni, którzy wybierali sobie miejsce ze spokojną, nieśpieszną pasją, odrzucając nerwowość nawodnionego świata. Ludzie ci nie zmienili się wraz z wybuchowymi czasami, co najwyżej umierali i byli zastępowani przez siebie podobnych.

I zawsze są na pustyni tajemnice, opowiadane i powtarzane historie o sekretnych miejscach w pustynnych górach, gdzie przetrwały szczepy z dawniejszej ery, które czekają, by się stamtąd na nowo wynurzyć. Zazwyczaj owe plemiona strzegą skarbów ukrytych przed falami podbojów, złotych przedmiotów jakiegoś archaicznego

Montezumy lub kopalń lak bogatych, że ich odkrycie odmieniłoby świat. Jeżeli ktoś obcy wykrywa ich istnienie, jest zabijany albo przepada bez śladu. Historie te mają nieunikniony układ, którego nie podważa pytanie: „Jeżeli nikt nie wraca, to skąd wiadomo, co tam jest?” O, jest tam na pewno, lecz jeśli to znajdziecie, was nigdy więcej nie znajdą.

I jest jeszcze jedna monolityczna opowieść, która się nigdy nie zmienia. Dwaj poszukiwacze wspólnie odkrywają kopalnię nadnaturalnie bogatą - kopalnię złota albo diamentów, albo rubinów. Obładowują się próbkami, biorą ich tyle, ile zdołają unieść, i zaznaczają sobie w myśli to miejsce punktami orientacyjnymi wszędzie dokoła. Potem, w drodze powrotnej do świata, jeden umiera z pragnienia i wyczerpania, lecz drugi pełnie dalej porzucając większą część skarbu, na którego niesienie jest już za słaby. W końcu dociera do jakiejś osady albo może znajdują go inni poszukiwacze. Oglądają jego próbki z ogromnym podnieceniem. Niekiedy w takiej opowieści ten, który przeżył, umiera pozostawiając wskazówki swoim wybawcom albo też wraca do sił. Wówczas dobrze wyekwipowana wyprawa rusza na poszukiwanie skarbu i nie może go odnaleźć. Słyszałem tę historię wiele razy i nie zmienia się ona nigdy. W pustyni jest pożywka dla mitów, ale mity muszą gdzieś mieć korzenie w rzeczywistości.

A na pustyni są prawdziwe tajemnice. W wojnie słońca

i suszy z żywymi organizmami życie ma swoje sekrety przetrwania. Życie, obojętne na jakim poziomie, musi mieć wilgoć, bo inaczej zniknie. Dla mnie niezwykle interesująca jest konspiracja życia na pustyni, mająca przechytryć śmiertelne promienie niezwykłego słońca. Znękana ziemia wydaje się pokonana i martwa, ale to są tylko pozory. Wielka i pomysłowa organizacja żywej materii potrafi przetrwać udając przegraną. Szary i zakurzony bożodrzew nosi oleistą zbroję chroniącą jego wewnętrzną wilgotność. Niektóre rośliny nasycają się wodą podczas rzadkich deszczów i przechowują ją na przyszły użytek. Zwierzęta mają twardą, suchą skórę albo wierzchnią osłonę, aby obronić się przed odwodnieniem. A wszystko, co żyje, wyrobiło sobie metody znajdowania albo tworzenia cienia. Małe płazy i gryzonie zagrzebują się lub wciskają pod ziemię, albo przywierają do ocienionej strony głązu. Ruszają się powoli, aby zachować energię, a rzadko zdarza się zwierzę, które może czy chce stawiać przez dłuższy czas czoło słońcu. Grzechotnik zdechnie po godzinie pełnego słońca. Pewne owady o śmielszej pomysłowości wynalazły własne systemy chłodzenia. Te zwierzęta, które muszą mieć wilgoć, dostają ją z drugiej ręki - królik z liścia, kujot z krwi królika.

Można daremnie wypatrywać żywych stworzeń za dnia, natomiast gdy słońce zajdzie, a noc da swoje przyzwolenie, świat stworzeń budzi się i podejmuje swój zawiły układ. Wtedy wychodzą łowieni i łowcy, i łowcy łowców. Noc budzi się wśród bzykania, krzyków i szcęknięć.

Kiedy bardzo późno w historii naszej planety nastąpił niewiarygodny wypadek życia, pewna suma czynników chemicznych w połączeniu z temperaturą, w ilościach i odmianach tak subtelnymi, że aż nieprawdopodobnymi, zmieszała się w retorcie czasu i wynurzyła się z tego rzecz nowa, miękka, bezradna i bezbronna w dzikim świecie nie-życia. Następnie w tych organizmach zaszły procesy przemian i zróżnicowania, tak że każdy gatunek stał się odmienny od wszystkich innych. Ale jeden składnik, być może najważniejszy, tkwi w każdej postaci życia - element przetrwania. Żadna żyjąca rzecz nie jest go pozbawiona, a życie nie mogłoby istnieć bez tej magicznej formuły. Oczywiście każda forma wyrobiła sobie własny mechanizm przetrwania; niektórym to się nie powiodło i zniknęły, natomiast inne zaludniły ziemię. Pierwsze życie mogło z łatwością zostać zdmuchnięte i ów wypadek

mógł nigdy się nie powtórzyć - ale z chwilą, gdy raz zaczęło istnieć, jego pierwszą właściwością, obowiązkiem, troską, kierunkiem i celem, będącymi udziałem wszystkiego, co żyje, jest zachowanie życia. I tak się dzieje i będzie się działo, dopóki inny wypadek tego nie przekreśli. A pustynia, ta sucha, chłostana słońcem pustynia, jest dobrą szkołą obserwowania przemyślności i nieskończonej różnorodności techniki przetrwania na przekór bezlitosnemu oporowi. Życie nie mogło odmienić słońca czy wody, czy pustyni, więc odmieniło samo siebie.

Pustynia, będąc miejscem niepożądanym, może być ostatnią ostoją życia przeciwko nie-życiu. Albowiem na żyznych, wilgotnych i pożądanym obszarach świata życie piętrzy się samo przeciwko sobie i w tym zamęcie na koniec sprzymierza się z wrogim nie-życiem. A to, czego nie zdołał uczynić pałacy, prażący, zamrażający, trujący oręż nie-życia, może być dokonane aż do ostatecznego zniszczenia i unicestwienia przez wypaczoną taktykę przetrwania. Jeżeli najwszechstronniejsza z form życia - ludzka - obecnie walczy o przetrwanie, tak jak walczyła zawsze, może wyeliminować nie tylko samą siebie, ale i wszelkie inne życie. Gdyby zaś to miało nastąpić, niepożądane miejsca, takie jak pustynie, mogą się stać surową macierzą repopulacji. Bo mieszkańcy pustyni są dobrze wyćwiczeni

i dobrze uzbrojeni przeciwko spustoszeniu. Nawet nasz własny zbłąkany gatunek może wynurzyć się na nowo z pustyni. Samotny człowiek i jego zahartowana przez słońce żona, którzy czepiają się cienia w jakimś nieowocnym i nie łakomym miejscu, wraz ze swoimi towarzyszami broni - kojotem, królikiem, ropuchą, grzechotnikiem oraz zastępem pancernych owadów - mogą, jako doświadczone i wypróbowane cząsteczki życia, być ostatnią jego nadzieją przeciwko nie-życiu. Pustynia już nieraz zrodziła różne zakłęte rzeczy.

Dużo wcześniej wspominałem tu o zmianach na granicach stanów, zmianach w szosowej angielszczyźnie, w formach prozy na napisach, o zmianach dozwolonej szybkości. Zagwarantowane przez konstytucję prawa stanowe wydają się być namiętnie i radośnie wykonywane. Kalifornia rewiduje pojazdy w poszukiwaniu jarzyn i owoców mogących przenosić zgubne owady i choroby, a odpowiednie przepisy są wprowadzane w życie z nieomal religijną gorliwością.

Przed kilku laty znałem pewną wesołą i pomysłową rodzinę z Idaho. Zamierzając odwiedzić krewnych w Kalifornii zabrała ona ze sobą całą ciężarówkę kartofli do sprzedawania po drodze dla pokrycia wydatków. Pozbyli się już połowy swego ładunku, kiedy ich zatrzymano na granicy Kalifornii odmawiając kartoflom prawa wjazdu. Nie byli finansowo zdolni do porzucenia swoich kartofli, więc wesoło rozbili obóz na samej linii granicznej, gdzie jedli kartofle, sprzedawali kartofle, wymieniali kartofle. Po dwóch tygodniach ciężarówka się opróżniła. Wtedy przejechali legalnie przez posterunek graniczny i podążyli w dalszą drogę.

Odrębność stanów, którą zjadliwie nazwano bałkanizacją, stwarza liczne problemy. Rzadko dwa stany mają taki sam podatek od benzyny, a owe podatki w znacznej mierze pokrywają koszty budowy i utrzymania szos. Olbrzymie ciężarówki międzystanowe korzystają z tych dróg i przez samą swoją wagę i szybkość podnoszą koszty ich konserwacji. Toteż stany mają punkty ważenia ciężarówek, gdzie się szacuje i opodatkowuje ładunki. Jeżeli zaś jest różnica w podatku od benzyny, oblicza się pojemność zbiorników i wymierza podatek.

Napisy brzmią: „Zatrzymanie dla wszystkich ciężarówek”. Będąc ciężarówką zatrzymałem się tylko po to, aby otrzymać znak, że mam zjechać z wagi. Tam nie szukano takich jak ja. Ale czasami stawałem i rozmawiałem z inspektorami, kiedy nie byli zbyt zajęci. I to mnie doprowadza do tematu policji stanowej. Jak większość Amerykanów nie jestem miłośnikiem policjantów, a stałe dochodzenia w sprawie przekupstwa, brutalności oraz długiej i malowniczej listy wykroczeń, których dopuszcza się miejska policja, nie działają na mnie kojąco. Jednakże ta moja niechęć nie rozciąga się na policję stanową, obecnie utrzymywaną w większości kraju. Posługując się prostą metodą rekrutowania ludzi inteligentnych i wykształconych, płacenia im odpowiednio i stawiania ich poza zasięgiem nacisku politycznego, wiele stanów zdołało stworzyć elitarny zespół ludzi, pewnych swojej godności i dumnych ze swej służby. W końcu nasze miasta mogą uznać za konieczne zreorganizowanie swojej policji na wzór policji stanowej. To jednak nigdy nie nastąpi, dopóki organizacje polityczne zachowają bodaj najmniejszą władzę karania czy nagradzania.

Po drugiej stronie rzeki Kolorado naprzeciw Needles wstawały na tle nieba ciemne i poszarpane wały Arizony, za nimi zaś olbrzymia, pochyła płaszczyzna wznosząca się znowu ku kręgosłupowi kontynentu. Znam ową drogę tak dobrze z licznych przejazdów - Kingman, Ash Fork, Flagstaff ze szczytem góry w głębi, a potem Winslow, Holbrook, Sanders, w dół i znowu pod górę, aż wreszcie minie się Arizonę. Miasteczka były nieco rozleglejsze i jaśniej oświetlone, niż je zapamiętałem, motele większe i bardziej luksusowe.

Wjechałem do Nowego Meksyku, przemknąłem w nocy obok Gallup i zatrzymałem się na Dziale Kontynentalnym - który tu jest o wiele efektowniejszy niż na północy. Noc była bardzo zimna i sucha, a gwiazdy jak szlifowane szkło. Wjechałem w mały kanion, gdzie nie było wiatru, i zaparkowałem przy kopcu potłuczonych butelek od whisky i dżinu, których były tysiące. Nie wiem, dlaczego tam leżały.

I siedząc w samochodzie spojrzałem w oczy temu, co dotąd ukrywałem przed sobą. Popędzałem samego siebie, odwalałem mile za milami, bo nic już nie słyszałem i nie widziałem. Przekroczyłem granicę swojej chłonności. Albo też, jak człowiek, który dalej napycha się jedzeniem, kiedy już jest nasycony, czułem, że nie mogę przyswajać tego, czym mnie karmiły oczy. Każde wzgórze wyglądało tak, jak to, które dopiero co minąłem. To samo odczuwałem w madryckim Prado, obejrzawszy sto obrazów - tę przesyconą i bezradną niezdolność oglądania ich więcej.

Nadeszła więc pora znalezienia osłoniętego miejsca nad potokiem, aby odświeżyć się i wypocząć. Charley, w ciemnościach na siedzeniu obok mnie, napomknął o pewnej trudności cichym jęklwym westchnieniem. Zapomniałem nawet o nim. Wypuściłem go, on zaś pobrnął ku stercie potłuczonych butelek, obwąchał je i poszedł w inną stronę.

Nocne powietrze było bardzo zimne, przejmująco zimne, tak że oświetliłem moją kabinę i zapaliłem gaz, aby ją nagrzać. W kabinie był nieporządek. Łóżko było nie pościelone, a w zlewie leżały smętnie naczynia ze śniadania. Usiadłem na łóżku i zapatrzyłem się w szarą posępność. Dlaczego myślałem, że zdołam dowiedzieć się czegoś o kraju? Przez ostatnie kilkaset mil unikałem ludzi. Nawet na nieodzownych postojach przy nabieraniu benzyny odpowiadałem monosylabami i nie zachowałem żadnego obrazu. Moje oczy i mózg zawiodły mnie. Łudziłem się, że coś było ważne czy nawet pouczające. Istniało, oczywiście, proste lekarstwo. Nie wstając wyciągnąłem butelkę whisky, nalałem sobie pół szklanki, powąchałem i zlałem z powrotem do butelki. Tutaj nie było lekarstwa.

Charley nie wracał. Otworzyłem drzwi, zagwizdałem, ale nie było żadnej odpowiedzi. To mnie wyrwało z tego nastroju. Złapałem latarkę i skierowałem w kanion jej ostry promień. Światło zabłysło na dwóch oczach o jakieś pięćdziesiąt jardów. Pobiegłem ścieżką i znalazłem go stojącego, zapatrzonego w przestrzeń tak, jak przed chwilą ja.

- Co się stało, Charleyu, czy źle się czujesz?

Jego ogon powoli pomachał w odpowiedzi: „O, nie. Chyba zupełnie dobrze”.

- Dlaczego nie przyszedłeś, kiedy gwizdałem?

„Nie słyszałem twojego gwizdania”.

- Na co tak patrzysz?

„Nie wiem. Chyba na nic”.

- I co? Nie chcesz kolacji?

„Właściwie nie jestem głodny. Ale będę udawał, że jem”.

Wróciwszy do kabiny opadł na podłogę i złożył brodę na łapach.

- Chodź na łóżko, Charleyu. Posmucmy się razem.

Usłuchał, ale bez entuzjazmu, a ja zacząłem przebierać palcami po jego czubie i za uszami, tak jak to lubi.

- Dobrze tak?

Przekręcił głowę.

„Troszkę bardziej w lewo. O tu. Tu jest to miejsce”.

- Byliby z nas marni eksploratorzy. Kilka dni w drodze i już dostajemy chandry. Pierwszy biały człowiek, który tu przybył... zdaje się, nazywał się Narvaez i ta mała wycieczka zabrała mu bodaj sześć lat. Posuń się. Zaraz sprawdzę. Nie; osiem lat - od 1528 do 1536 roku. Więc sam Narvaez nie dotarł tak daleko. Ale czterech jego ludzi doszło. Ciekawy jestem, czy kiedyś mieli chandrę. My jesteśmy miękcy, Charleyu. Może już pora na odrobinę dzielności. Kiedy są twoje urodziny?

„Nie wiem. Może, tak jak u koni, pierwszego stycznia”.

- Myślisz, że mogłyby być dzisiaj?

„Kto wie?”

- Mógłbym ci zrobić tort. Musi być naleśnik w proszku, bo tylko to mam. Dużo syropu i świeca na wierzchu.

Charley obserwował tę operację z niejakim zainteresowaniem. Jego głupi ogonek prowadził delikatnie rozmowę.

„Jakby cię ktoś zobaczył robić urodzinowy tort dla psa, co nawet nie wie, kiedy jego urodziny, pomyślałby, żeś zbzikował”.

- Jeżeli nie potrafisz wyrażać się gramatycznie swoim ogonem, to może i dobrze, że nie umiesz mówić.

Wyszło to wcale nieźle - cztery warstwy naleśników z syropem klonowym między jedną a drugą i ogarek świecy na wierzchu. Wypiłem zdrowie Charleya czystą whisky, podczas gdy on jadł i zlizywał syrop. I potem obaj poczuliśmy się różnie. Tylko tamta wyprawa Narvaeza - osiem lat. To byli mężczyźni w owych czasach.

Charley zlizął syrop z wąsów.

„Dlaczegoś taki smętny?”

- Bo przestałem widzieć. Kiedy tak się dzieje, człowiek myśli, że nie będzie widział nigdy więcej.

Wstał i przeciągnął się, najpierw przód, potem tył.

„Przejdźmy się pod górę - zaproponował. - Może zacząłeś na nowo”.

Obejrzeliśmy stos potłuczonych butelek od whisky i poszliśmy dalej ścieżką. Suche, mroźne powietrze wydobywało się z nas pióropuszcami pary. Jakieś dość duże zwierzę pomknęło po wyboistym kamiennym zboczu - czy może małe zwierzę i duża mała lawina.

- Co mówi twój nos; że co to było?

„Nic, co bym rozpoznawał. Jakiś piżmowy zapach. I nic takiego, co bym pogonił”.

Noc była tak ciemna, że aż nakrapiana ognistymi plamkami. Moja latarka wydobyła wzajemny błysk na stromym, skalistym zboczu. Wdrapałem się wyżej, osuwając się i ześlizgując, zgubiłem odbite echem światło i odnalazłem je znowu, ładny, mały świeżo pęknięty kamień z kawałkiem miki - nie majątek, ale rzecz, którą dobrze jest mieć. Włożyłem go do kieszeni i obaj poszliśmy spać.

CZĘŚĆ CZWARTA

Kiedy rozpoczynałem niniejszą opowieść, wiedziałem, że prędzej czy później będę musiał zabrać się do Teksasu, i obawiałem się tego. Mogłem ominąć Teksas mniej więcej z taką łatwością jak podróżnik kosmiczny Mleczną Drogę. Teksas sterczy na północ swoją ogromną Odnogą, a ciągnie się i opada wzdłuż Rio Grande. Kiedy człowiek raz znajdzie się w Teksasie, ma wrażenie, że potrzeba nieskończonego czasu, aby się stamtąd wydostać, i niektórym nie udaje się to w ogóle.

Niech mi będzie wolno od razu powiedzieć, że nawet gdybym chciał ominąć Teksas, nie mógłbym tego zrobić, albowiem jestem ożeniony w Teksasie, uteściowany, uwu-jowany, uciotkowany i ukuzynowany aż do ostatnich granic możliwości. Geograficzne trzymanie się z dala od Teksasu nic nie pomaga, bo Teksas przewija się przez nasz dom w Nowym Jorku, przez nasz rybacki domek w Sag Harbor, a nawet kiedy mieliśmy mieszkanie w Paryżu, Teksas był także i tam. Przenika on świat aż do śmieszności. Kiedyś we Florencji, widząc ładną, małą włoską księżniczkę, powiedziałem do jej ojca: „Ale ona nie wygląda na Włoszkę. Może to wydać się dziwne, ale przypomina amerykańską Indiankę”. Na co jej ojciec odrzekł: „I dlaczego by nie? Jej dziadek ożenił się z Indianką Cherokee w Teksasie”.

Pisarze stający wobec problemu Teksasu zaczynają brnąć w ogólniki, a ja nie jestem wyjątkiem. Teksas jest stanem umysłu. Teksas jest obsesją. Nade wszystko zaś Teksas jest narodem w pełnym znaczeniu tego słowa. Otóż i stadko pierwszych ogólników. Teksańczyk poza Teksasem jest cudzoziemcem. Moja żona nazywa siebie Teksanką, która się oderwała, ale to tylko częściowo jest prawdą. Nie ma prawie wcale akcentu, dopóki nie zacznie rozmawiać z Teksańczykiem, a wtedy natychmiast do niego powraca. Nie trzeba by skrobać głęboko, by dotrzeć do jej pochodzenia. Jednosylabowe słowa rozciąga do dwóch sylab. A czasem, w chwili zmęczenia, wymawia je nosowo. Nasza córka po pobycie w Austin odwiedziła nowojorskich przyjaciół. Zapytała:

- Gdzie są szczątki?
- Jakie, kochanie? - spytał gospodarz. - Szczątki czego?
- Szczątki do czyszczenia ubrania - odrzekła.

Badałem problem Teksasu z wielu punktów widzenia

i przez wiele lat. I oczywiście każda z moich prawd nieuchronnie przekreśla następną. Wydaje mi się, że przebywając poza swoim stanem Teksańczycy są trochę wystraszeni i bardzo wrażliwi w odczuciach i te właściwości powodują chętność, arogancję i hałaśliwe zadowolenie z siebie - ucieczkę nieśmiałyh dzieci. U siebie Teksańczycy nie są wcale tacy. Ci, których znam, są mili, życzliwi, wspaniałomyślni i spokojni. W Nowym Jorku tak często słyszymy, jak podkreślają swoją skarbioną jedność. Teksas jest jedynym stanem, który przystąpił do unii przez traktat. Zachowuje prawo wystąpienia, kiedy zechce. Tak często ich słyszeliśmy grożących wystąpieniem, że utworzyłem entuzjastyczną organizację - Amerykańskich Przyjaciół Secesji Teksasu. To ucina ten temat. Chcą móc wystąpić, ale nie życzą sobie, żeby ktoś chciał ich wystąpienia.

Podobnie jak większość namiętnych narodów Teksas ma swoją własną, prywatną historię, opartą na faktach, ale nie ograniczoną przez fakty. Tradycja twardego, zaradnego człowieka pogranicza jest prawdziwa, ale nie wyłączna. Tylko niewielu wie, że za wspaniałych, dawnych czasów w Wirginii istniały trzy kary za ciężkie

zbrodnie: śmierć, zesłanie do Teksasu i uwięzienie, w tej kolejności. A niektórzy z deportowanych musieli mieć potomków.

I znowu - wspaniała obrona Alamo do ostatniego człowieka przed hordami z Santa Anna jest faktem. Dzielne oddziały Teksaszczyków w istocie wywalczyły sobie niepodległość od Meksyku, a wolność i swoboda to święte słowa. Trzeba jednak odnieść się do współczesnych obserwatorów w Europie, żeby uzyskać nie-teksaską opinię o charakterze owej tyranii, która stworzyła konieczność rewolty. Zewnętrzni obserwatorzy twierdzą, że nacisk był dwojaki. Mówią, że Teksaszczyki nie chcieli płacić podatków, a po drugie Meksyk zniósł niewolnictwo w 1829 roku, Teksas zaś, będąc częścią Meksyku, miał obowiązek oswobodzenia swych niewolników. Oczywiście były też inne przyczyny buntu, ale te dwie są efektowne dla Europejczyka, tutaj zaś rzadko wymieniane.

Powiedziałem, że Teksas jest stanem umysłu, ale sądzę, że jest czymś więcej. Jest mistyką, bardzo zbliżoną do religii. I to się tak dalece sprawdza, że ludzie albo namiętnie kochają Teksas, albo namiętnie go nienawidzą i podobnie jak w innych religiach tylko niewielu ośmiela się nad nim zastanawiać z obawy, że zagubią się w tajemnicach i paradoksach. Wszelkie moje obserwacje mogą być szybko przekreślone przez inną opinię czy kontroobserwację. Jednakże myślę, iż trudno będzie spierać się z moim poglądem, że Teksas jest jeden. Na przekór całej olbrzymiej różnorodności terenu, klimatu i zewnętrznego wyglądu i mimo wszelkich wewnętrznych zwad, sporów i zmagani, Teksas ma wielką spójność, może silniejszą niż jakakolwiek inna część Ameryki. Bogaty, biedny, Odnoga, zatoka, miasto czy wieś - Teksas jest obsesją, głównym tematem dociekań i namiętnie cenioną własnością wszystkich Teksaszczyków. Przed paru laty Edna Ferber napisała książkę o bardzo małej grupce bardzo bogatych Teksaszczyków. O ile mogę osądzić, jej opis był ścisły, natomiast wydźwięk dyskredytujący. I natychmiast książka została zaatakowana przez Teksaszczyków wszystkich grup, klas i stopni zamożności. Zaatakować jednego Teksaszczyka, to znaczy ściągnąć na siebie ogień wszystkich Teksaszczyków. Z drugiej znów strony kawały na temat Teksasu są czczoną instytucją i w wielu wypadkach powstają w Teksasie.

Tradycja hodowcy bydła z pogranicza jest równie troskliwie pielęgnowana w Teksasie, jak pamięć o krwi normańskiej w Anglii. I wprawdzie wiele rodzin pochodzi od kontraktowych kolonistów, poniekąd przypominających dzisiejszych braceros, ale wszyscy snują marzenia o długorogich bykach i bezkresnym horyzoncie. Kiedy ktoś robi majątek na nafcie czy zamówieniach państwowych, na chemikaliach czy hurtowej sprzedaży towarów mieszanych, jego pierwszą czynnością jest zakupienie rancza, .największego, na jaki go stać, i hodowanie bydła. Kandydat na urząd publiczny, który nie posiada rancza, ma podobno niewielkie szanse wybrania. Tradycja ziemi głęboko tkwi w teksaskiej psychce. Biznesmeni noszą buty na wysokich obcasach, które nigdy nie widziały ostrogi, a ludzie bardzo bogaci, którzy mają domy w Paryżu i regularnie polują na pardwy w Szkocji, nazywają siebie starymi chłopakami ze wsi. Byłoby łatwo podkpiwać z tej ich postawy, gdyby się nie wiedziało, że tym sposobem usiłują utrzymać związek z siłą i prostotą ziemi. Czują instynktownie, że w niej jest źródło nie tylko bogactwa, ale energii. A energia Teksaszczyków jest bezmierna i wybuchowa. Człowiek, któremu się powiodło i który ma swoje tradycyjne ranczo, nie jest, przynajmniej o ile mogłem stwierdzić, nieobecny właścicielem. Pracuje na roli, dogląda swoich stad i powiększa je. Energia w klimacie zawrotnie gorącym jest także zawrotna. A tradycję ciężkiej pracy utrzymuje się bez względu na fortunę czy też jej braki

Moc jakiejś postawy bywa zdumiewająca. Poza innymi godnymi uwagi tendencjami Teksas jest krajem militarnym. Siły zbrojne Stanów Zjednoczonych naszpikowane są Teksaszczykami, którzy w nich często dominują. Nawet tak uwielbiane widowiska sportowe prowadzone są nieledwie jak operacje wojskowe. Nigdzie nie ma większych orkiestr ani liczniejszych maszerujących organizacji, z oddziałami przybranych w kostiumy dziewcząt, które wywijają połyskliwymi batutami. Lokalne mecze piłki nożnej mają w sobie chwałę i desperację wojny, a kiedy teksaska drużyna wychodzi w pole przeciw obcemu stanowi, staje się armią ze sztandarami.

Jeżeli wciąż powracam do energii Teksasu, to dlatego, że jestem tak bardzo jej świadom. Przypomina mi ona ten wybuch dynamizmu, który w dawnych wiekach nakazał i pozwolił całym ludom wędrować i dokonywać podbojów. Z ziemnej substancji Teksasu dobywać można bogate łupy. Przypuszczam, że gdyby tak nie było, nieposkromiona energia Teksaszczyków wylałaby się na zewnątrz i zawojowała nowe ziemie. To przeświadczenie jest poniekąd potwierdzone przez nieustanny ruch teksaskiego kapitału. Jednakże, jak dotąd, podbój odbywał się raczej przez zakupy niż drogą orężną. Naftowe pustynie Bliskiego Wschodu i otwierające się ziemie Ameryki Południowej odczuły ów napór. Poza tym są nowe wyspy kapitałowego podboju: wytwórnie na Środkowym Zachodzie, zakłady przetwórcze, fabryki narzędzi i barwników, drewno i miazga drzewna. Nawet domy wydawnicze zostały dołączone do prawowitych, dwudziestowiecznych łupów teksaskich. W tych uwagach nie ma żadnego morału ani żadnej przestrogi. Energia musi mieć ujście i będzie go szukała.

We wszystkich epokach narody bogate, energiczne i szczęśliwe, zapewniwszy sobie miejsce na świecie, odczuwały głód sztuki, kultury, nawet nauki i piękna. Miasta teksaskie wystrzelają w górę i na wszystkie strony. College[^] uginają się od darów i dotacji. Teatry i orkiestry symfoniczne wyrastają z dnia na dzień. W każdym ogromnym, burzliwym przypiływie energii i entuzjazmu muszą być błędy i nieporozumienia, nawet naruszenia zdrowego rozsądku i smaku. I zawsze istnieje nieproduktywne bractwo krytyków, którzy dyskredytują i wyszydają, patrzą ze zgrozą i wzgardą. Mnie osobiście interesuje fakt, że te rzeczy w ogóle się dzieją. Bez wątplenia przyjdą jeszcze tysiące sromotnych porażek, ale w historii świata artyści zawsze ciągnęli tam, gdzie byli mile widziani i dobrze traktowani.

Swoją istotą i rozmiarem Teksas zachęca do uogólnień, a uogólnienia zazwyczaj kończą się paradoksem - „stary chłopak ze wsi” na symfonicznym koncercie, a farmer w butach i granatowych dżinsach u Neimana-Marcusa, kupujący chińskie nefryty.

Pod względem politycznym Teksas jest także paradoksalny. Z tradycji i tęsknoty jest Demokratą Starego Południa, co nie przeszkadza mu głosować w ogólnokrajowych wyborach na konserwatywną partię republikańską przy jednoczesnym wybieraniu liberałów na stanowiska miejskie i okręgowe. Moje pierwotne stwierdzenie jest nadal aktualne: w Teksasie każda rzecz może być przekreślona przez coś innego.

Większość obszarów na świecie można określić za pomocą szerokości i długości geograficznej, opisać chemicznie ich niebo, wodę i ziemię, poroślą i pokrytą zidentyfikowaną florą i zamieszkałą przez znaną faunę, i na tym koniec. Ale są i takie, gdzie występują baśnie, mity, przyjęte wyobrażenia, miłość, tęsknota lub przesąd - i tak wypaczają chłodny, jasny obraz, że utrwała się rodzaj wielobarwnego, magicznego zamętu. Grecja jest takim obszarem i te części Anglii, gdzie stąpił król Artur. Jedną z cech takich miejsc, jakie tutaj próbuję określić, jest to, że w bardzo

znacznej mierze są one osobiste i subiektywne. I niewątpliwie Teksas jest takim miejscem.

Przejechałem przez dużą część Teksasu i wiem, że w jego granicach widziałem mniej więcej tyle odmian krajobrazu, konturów, klimatu i formacji, ile ich jest na świecie z wyjątkiem tylko Arktyki, a i to dobry północny wiatr może tu przynieść lodowate tchnienie. Surowe, sięgające aż po horyzont równiny Odnogi są obce małym, zalesionym wzgórzom i słodkim potokom Gór Davisa. Bujne cytrusowe sady z doliny Rio Grandę nie są w niczym pokrewne porośniętym bożodrzewem równinom południowego Teksasu. Gorące i wilgotne powietrze wybrzeża zatoki w niczym nie przypomina chłodnego kryształu na północo-zachodzie Odnogi. A Austin na swoich wzgórzach wśród jezior mógłby leżeć na przeciwległym krańcu świata od Dallas.

Usiłuję przez to wyjaśnić, że w Teksasie nie ma fizycznej czy geograficznej jedności. Jego jedność tkwi w wyobrażeniu. I to nie tylko u Teksaszczyków. Słowo Teksas stanowi symbol dla każdego na świecie. Nie ma dwóch zdań, że owa bajka o urojonym Teksasie jest często syntetyczna, czasami nieprawdziwa, a nieraz romantyczna, ale to w niczym nie umniejsza jej siły jako symbolu.

Powyższe rozważania nad istotą pojęcia Teksasu są tutaj zapisane jako wstęp do mojej wędrówki z Charleyem w Rosynancie przez Teksas. Wprędce stało się oczywiste, że ten odcinek musi być inny niż reszta podróży. Po pierwsze znałem te strony, a po drugie miałem tu przyjaciół i powinowatych przez małżeństwo, taka zaś sytuacja właściwie uniemożliwia obiektywizm, bo nie znam miejsca, gdzie gościnność byłaby praktykowana tak gorliwie jak w Teksasie.

Jednakże zanim ta ogromnie przyjemna, a czasem wyczerpująca cecha ludzka zaczęła działać, miałem trzy dni bezimienności w pięknym motelu pośrodku Amarillo. Przejeżdżający na zwirowej drodze samochód wyrzucił w górę kamyki, które rozbiły dużą przednią szybę Rosynanta, i trzeba było wstawić nową. Ale, co ważniejsze, Charley ponownie zapadł na swoją dawną dolegliwość i tym razem było z nim bardzo źle, miał ogromne bóle. Wspomniałem tamtego biednego, nieudolnego weterynarza na północo--zachodzie, który nie wiedział nic i o nic nie dbał. I przypomniałem sobie, jak Charley spojrzał na niego z bolesnym zdziwieniem i wzdargą.

W Amarillo doktor, którego wezwałem, okazał się młodym człowiekiem. Przyjechał otwartym wozem średniej ceny. Pochylił się nad Charleyem.

- Jakież on ma problemy? - zapytał.

Wyjaśniłem rodzaj trudności Charleya. Wtedy dłonie młodego weterynarza opuściły się i przesunęły po biodrach i rozdętym brzuchu - dłonie wytrawne i mądre. Charley wydał ogromne westchnienie, a jego ogon poruszył się z wolna od podłogi w górę i z powrotem. Charley oddał się pod opiekę tego człowieka z pełną ufnością. Już przedtem widywałem taki natychmiastowy kontakt i dobrze jest go widzieć.

Silne palce sondowały i badały, po czym weterynarz się wyprostował.

- To może się zdarzyć każdemu staruszkowi - powiedział.

- Czy to jest to, co myślę?

- Uhm. Prostata.

- Może pan to wyleczyć?

- Jasne. Najpierw będę go musiał rozprężyć, a potem mogę mu dać lekarstwa.

Czy pan może zostawić go na jakieś cztery dni?

- Zostawię go, czy mogę, czy nie.

Wziął Charleya na rękę, wyniósł go i położył na przednim siedzeniu otwartego wozu, a wtedy puchaty ogon po-stukał o skórę. Charley był zadowolony i ufny, a ja również. I tak się to zdarzyło, że zostałem przez pewien czas w Amarillo. Aby dopełnić tego epizodu, powiem, że w cztery dni później odebrałem Charleya zupełnie

zdrowego. Doktor wręczył mi pigułki, które miałem dawać Charleyowi podczas podróży, żeby choroba więcej nie powróciła. Nie ma absolutnie niczego, co mogłoby zastąpić dobrego człowieka.

Nie zamierzam rozwodzić się długo nad Teksasem. Od śmierci Hollywoodu Stan Samotnej Gwiazdy zajął czołowe miejsce w wywiadach, zwiedzaniu i dyskusjach. Jednakże żadna relacja o Teksasie nie byłaby kompletna bez teksaskiej orgii, ukazującej wielkich bogaczy trwoniących swoje miliony na niesmaczny i namiętny ekshibicjonizm.

Moja żona przybyła z Nowego Jorku, aby się ze mną spotkać, i zostaliśmy zaproszeni na Dzień Dziękczynienia na teksaskie ranczo. Jest ono własnością naszego przyjaciela, który czasem przyjeżdża do Nowego Jorku, gdzie też wyprawiamy dlań orgię. Nie wymienię jego nazwiska zgodnie z tradycją pozwalania czytelnikowi, by sam je odgadł. Przypuszczam, że jest bogaty, choć nigdy go o to nie pytałem.

Stosownie do zaproszenia przyjechaliśmy na ranczo po południu przed dziękczynieniową orgią. Jest to ranczo piękne, bogate w wodę, drzewa i pastwiska. Koparki usypały wszędzie ziemne tamy dla zatrzymania wody, tworząc szereg życiodajnych jezior pośrodku rancza. Na gęsto porośniętych trawą płaszczynach pasły się czystej krwi herefordy, podnosząc głowy tylko wówczas, gdy przejeżdżaliśmy w chmurze pyłu. Nie wiem, jak duże jest to ranczo. Nie pytałem mojego gospodarza.

Dom, parterowa budowla z cegły, stał w gaju drzew bawełnianych, na małym wzniesieniu ponad sadzawką utworzoną przez obwiedzione tamami źródło. Ciemną powierzchnię wody rozcinały wpuszczone tam pstrągi. Dom był wygodny, miał trzy sypialnie, każda z łazienką - zarówno wanną jak prysznicem. Salon, wykładany boazerią z barwionej sośniny, służył także jako jadalnia, z kominkiem na jednym końcu i oszkloną gablottą na broń pod ścianą. Przez otwarte drzwi do kuchni widać było służące - masywną, czarną damę i rozchichotaną dziewczynę. Gospodarz wyszedł nam na spotkanie i pomógł wnieść nasze walizki.

Orgia zaczęła się od razu. Wzięliśmy kąpiel i wychodząc z łazienki otrzymaliśmy whisky z wodą sodową, którą wypiliśmy chciwie. Następnie zwiedziliśmy znajdującą się naprzeciw stajnię i psiarnię, gdzie były trzy pointery, z których jeden nie czuł się zbyt dobrze. Potem udaliśmy się do corralu, gdzie córka państwa domu trenowała wierzchowego konia, utalentowane zwierzę imieniem Srokaty. Z kolei obejrzelśmy dwie nowe tamy, za którymi z wolna przybierała woda, a przy kilku wodospadach obcowaliśmy z małym stadem świeżo zakupionego bydła. Ten gwałtowny trud nas wyczerpał, więc wróciliśmy do domu na krótką drzemkę.

Zbudziwszy się z niej stwierdziliśmy, że zjeżdżają się przyjaciele z sąsiedztwa; przywieźli oni duży kociołek chili eon carne ¹⁶ sporządzonego według domowego przepisu i najlepszego, jakie kiedykolwiek jadłem. Potem zaczęli przybywać inni bogaci ludzie, ukrywający swoją pozycję przy pomocy granatowych dżinsów oraz butów do konnej jazdy. Podano napitki i nawiązała się wesola rozmowa na temat polowania, jazdy konnej i hodowli bydła, przeplatana licznymi wybuchami śmiechu. Rozparłem się w fotelu pod oknem i w gęstniejącym zmierzchu obserwowałem dzikie indyki zlatujące się na drzewa bawełniane. Nadlatują one niezdarnie, rozpraszają się, a potem nagle stapiają z drzewami i znikają. Zapadło ich co najmniej trzydzieści.

Kiedy zrobiło się ciemno, okna przemieniły się w zwierciadła, w których mogłem obserwować gospodarza i jego gości bez ich wiedzy. Porozsiadali się w małym, wykładanym boazerią pokoju, kilku w bujających fotelach, a trzy panie na sofie. I uwagę moją zwróciła subtelność ich ostentacji. Jedna z pań robiła sweter na drutach,

a druga pracowała nad łamigłówką, postukując się w zęby gumką osadzoną na końcu żółtego ołówka. Mężczyźni rozmawiali swobodnie o trawie i wodzie, o takim-aktakim, który zakupił w Anglii nagrodzonego byka i przywiózł go samolotem do domu. Ubrani byli w dżinsy tej jasnogranatowej barwy - jaśniejsze i nieco wystrzępione na szwach - którą można osiągnąć jedynie za pomocą stu prań.

Jednakże na tym się nie kończyły wystudiowane detale. Buty były pościerane od wewnątrz, pokryte słonym osadem potu końskiego, a obcasy pościanane. Rozpięte kołnierze koszul mężczyzn ukazywały ciemnobrunatne pasy opalenizny na szyjach, a jeden z gości zadał sobie trud i koszt złamania wskazującego palca, który nosił w łupkach, osłonięty kawałkiem skóry wyciętym z rękawicy. Mój gospodarz posunął się tak daleko, że sam obsługiwał swych gości przy barku, na który składało się wiaderko z lodem, duże butelki wody sodowej, dwie flaszki whisky i skrzynka lemoniady.

Zapach pieniędzy był wszędzie. Na przykład córka domu siedziała na podłodze czyszcząc sztucer i opowiadając wymyślną i sprośną historię o tym, jak Srokaty, jej ogier, przeskoczył pięciożerdziową bramę corralu i odwiedził pewną klacz w sąsiednim okręgu. Uważała, że ma prawo własności do żrebaka z uwagi na szlachetność krwi Sroka-tego. Ta cała scena potwierdzała to, cośmy wszyscy słyszeli o bajecznych teksaskich milionerach.

Przypomniało mi się, jak niegdyś w Pacific Grove malowałem wnętrze chaty, którą ojciec zbudował tam przed moim urodzeniem. Mój najemny pomocnik pracował obok mnie, a ponieważ obaj nie mieliśmy doświadczenia, więc byliśmy mocno pochłapani. Nagle stwierdziliśmy, że zabrakło nam farby. Powiedziałem:

- Neal, skocz do Holmana i przynieś pół galona farby i kwartę rozpuszczalnika.
- Będę musiał się umyć i przebrać - odpowiedział.
- Bzdura! Idź tak, jak jesteś.
- Nie mogę.
- Dlaczego? Ja bym poszedł.

Wtedy powiedział rzecz mądrą i pamiętną:

- Pan musi być strasznie bogaty, żeby się tak źle ubierać.

I to nie jest dowcip. To prawda. I było prawdą na owej orgii. Jak niewiarygodnie bogaci muszą być ci Teksaszczyki, żeby żyć z taką prostotą?

Przespacerowałem się z żoną dokoła pstrągowej sadzawki i dalej, pod wzgórze. Powietrze było chłodne, a wiatr wiejący z północy niósł w sobie zimę. Nasłuchiwaliśmy żab, ale już pochowały się na okres zimowy. Usłyszeliśmy natomiast kojota, który wył z wiatrem, i krowę ryczącą za odłączonym od piersi dziecieniem. Pointery przybiegły do drucianej siatki psiarni, wijąc się jak uradowane węże i kichając z entuzjazmu, a nawet ten chory wyszedł ze swojej budy i tytnął na nas. Potem stanęliśmy w wysokim wejściu wielkiej stodoły i wdychaliśmy słodkość lucerny i chlebny zapach prasowanego jęczmienia. W corralu rasowe konie parskaly na nas i pocierały głowami o żerdzie, a Srokaty wymierzył kopniaka znajomemu wałachowi, po prostu żeby nie wyjść z wprawy. Wśród nocy latały sowy krzycząc, aby poderwać swoje ofiary, a gdzieś daleko lelek pohukiwał cicho, rytmicznie. Żałowałem, że Charley Pies nie może być z nami. Zachwyciłby się tą nocą. Jednakże wypoczywał pod działaniem środków uspokajających w Amarillo, kurując swoją prostatę.

Ostry północny wiatr zaszeleścił w nagich gałęziach drzew bawełnianych. Wydało mi się, że zima, która podczas całej podróży deptała mi po piętach, na koniec mnie dopędziła. Gdzieś w naszej, czy przynajmniej mojej, niedawnej przeszłości zoologicznej sen zimowy musiał być istotnym faktem. Bo inaczej, dlaczego zimne

nocne powietrze działałoby na mnie tak usypiająco? Tak było i jest; i wróciliśmy do domu, gdzie goście już pokładli się spać, i poszliśmy do łóżka.

Obudziłem się wcześniej. Widziałem przedtem dwie wędki na pstrągi, oparte o drzwi siatkowe obok naszego pokoju. Ślizgając się po szronie zeszedłem z trawiastego wzgórza na skraj ciemnej sadzawki. Do żyłki była już przyczepiona muszka, czarny robak, nieco wystrzępiony, ale jeszcze dostatecznie kosmaty. I kiedy dotknął powierzchni sadzawki, woda wzburzyła się i zakotłowała. Wyciągnąłem dziesięciocalowego pstrąga tęczowego, przerzuciłem go na trawę i uderzyłem po głowie. Zarzuciłem wędkę czterokrotnie i złowiłem cztery pstrągi. Wypatroszyłem je i cisnąłem wnętrzności ich przyjaciółom.

W kuchni kucharka dała mi kawy, po czym zasiadłem we wnęce, podczas gdy ona obtaczała moje ryby w mące kukurydzianej i przysmażała je na chrupko w tłuszczu z bekonu; wreszcie podała mi je pod kołderką ze słoninki, która rozkruszała się w ustach. Od dawna już nie jadłem takiego pstrąga - pięć minut od wody do patelni. Ujmuje się go delikatnie palcami za głowę i ogon i ogryza od kręgosłupa, a na końcu zjada ogon, kruchy jak frytka. Kawa ma specjalny smak w mroźny poranek, a trzecia filiżanka jest równie dobra jak pierwsza. Siedziałbym tak w kuchni rozprawiając o niczym z kucharką, ale mnie wyprosiła, ponieważ musiała napchać nadzieniem dwa indyki na dziękczynieniową orgię.

W przedpołudniowym słońcu poszliśmy zapolować na przepiórki - ja z moją starą i wyświeconą dwunastką

o powgniatanej lufie, którą wozilem w Rosynancie. Ta strzelba nie była nadzwyczajna, kiedy ją kupowałem używaną przed laty piętnastu, i wcale się odtąd nie poprawiła. Przypuszczam jednak, że jest równie dobra jak ja. Jeżeli zdołam trafić, strzelba strąca ptaka na ziemię. Jednakże przed wyruszeniem spojrziałem z niejaką tęsknotą przez szklane drzwiczki gabloty na dubeltówkę Luigi Franchi kaliber dwanaście, z purdeyowskimi zamkami, tak piękną, że ogarnęła mnie pożądliwość. Ornament na stali miał perłowy połysk damasceńskiej głowni, a osada wtapiała się w zamki, zamki zaś w lufy, jak gdyby tak właśnie wyrosły z jakiegoś magicznego nasienia. Jestem pewny, że gdyby gospodarz zauważył moją zazdrość, byłby mi pożyczył ową pięknotę, ale go o to nie poprosiłem. Przypuśćmy, że bym się potknął i upadł albo ją upuścił, albo też uderzył jej ślicznymi lufami o kamień? Nie, to byłoby jak niesienie klejnotów koronnych przez pole minowe. Moja stara, skołatana broń nie jest rarytasem, ale przynajmniej wszystko, co mogło jej się stać, już się stało, i nie ma żartowania.

Gospodarz nasz od tygodnia obserwował, gdzie zbierają się stadka. Rozstawiliśmy się i ruszyli przez krzaki i zarośla, w wodę, potem za nią i pod górę; pointery ze sprężynowej stali pracowały przed nami, a jedna tłusta, stara suka zwana Księżną pracowała z płomieniem w oczach sprawniej od nich wszystkich i od nas także. Znaleźliśmy tropy przepiórek w pyle, tropy przepiórek na piasku i błocie łożysk strumieni, kawałki pierza na suchych łożyskach bożodrzewu. Przeszliśmy całe mile, powoli, ze strzelbami nagotowanymi do strzału w furkające stado. I ani razu nie zobaczyliśmy przepiórki. Opowiadaliśmy sobie różne historie i kłamstwa o poprzednich polowaniach na przepiórki, ale to nic nie pomagało. Przepiórki zniknęły, zniknęły naprawdę. Ja strzelam zaledwie średnio do przepiórek, lecz moi towarzysze byli świetnymi strzelcami, psy były zawodowe, ostre, twarde i twardo pracujące. Przepiórek nie było. Ale jest jedna przyjemna rzecz w polowaniu. Nawet jeżeli ptaków nie ma, woli się iść niż nie iść.

Mój gospodarz sądził, że serce mi krwawi. Powiedział:

- Proszę pana. Niech pan dziś po południu weźmie ten swój sztucer i strzeli sobie dzikiego indyka.

- A ile ich tu jest? - zapytałem.

- Ano, dwa lata temu wpuściłem trzydzieści. Myślę, że teraz jest ich z osiemdziesiąt.

- Naliczyłem trzydzieści sztuk w tym stadzie, które siadło wczoraj wieczorem przy domu.

- Są jeszcze dwa stada - powiedział.

W gruncie rzeczy nie miałem ochoty na indyka. Co bym z nim zrobił w Rosynancie? Powiedziałem:

- Zaczekajmy jeszcze rok. Kiedy dojdą do setki, przyjadę i zapolujemy razem.

Wróciliśmy do domu, wzięliśmy prysznic i ogolili się, a ponieważ to był Dzień Dziękczynienia, więc włożyliśmy białe koszule, krawaty i marynarki. Orgia rozpoczęła się zgodnie z planem o drugiej. Przeleczę szybko po szczegółach, ażeby nie szokować czytelników, a poza tym nie widzę powodu, żeby wystawiać tych ludzi na drwiny. Po dwóch solidnych whisky wniesiono oba brunatne i lśniące indyki, gospodarz je pokrajał, a my ponakładaliśmy sobie sami. Odmówiliśmy modlitwę przed posiłkiem, następnie zaś wznieśliśmy toasty i najedli się do odpowiedniej nieprzytomności. Potem, niby dekadencyjni Rzymianie u stołu Petroniusza, przespacerowaliśmy się i wrócili na nieodzowną i nieuniknioną drzemkę. I taka była moja dziękczynieniowa orgia w Teksasie.

Oczywiście nie sądzę, żeby robili to co dzień. Po prostu by nie mogli. I ponieważ to samo dzieje się, kiedy nas odwiedzają w Nowym Jorku. Rzec jasna, chcą oglądać przedstawienia i chodzić do nocnych lokali. I po paru dniach tego mówią: „Po prostu nie rozumiemy, jak wy możecie żyć w taki sposób”. Na co odpowiadamy: „Bo my wcale tak nie żyjemy. I nie będziemy, kiedy wrócicie do domu”.

Teraz mam lepsze samopoczucie, kiedy już wystawiłem na badawcze światło dekadencyjne praktyki bogatych Teksaszczyków, których znam. Ale ani przez chwilę nie myślę, że co dzień jedzą chili con carne albo pieczone indyki.

Kiedy układałem sobie podstawowy plan mojej wędrówki, były pewne określone pytania, na które chciałem dostać właściwe odpowiedzi. Nie wydawało mi się, żeby pytania te były niemożliwe. Sądzę, że można by je wszystkie zebrać w jedno: „Jacy są dzisiaj Amerykanie?”

W Europie jest popularną rozrywką opisywanie, jacy są Amerykanie. Każdy zdaje się to wiedzieć. I nas równie cieszy taka zabawa. Ileż to razy słyszałem któregoś z moich rodaków opisującego z całą pewnością po trzytygodniowym objeździe po Europie charakter Francuzów, Włochów, Niemców, a nade wszystko Rosjan? W toku podróży wprędce dostrzegłem różnicę między Amerykaninem a Amerykanami. Często są tak dalecy od siebie, że mogliby być przeciwieństwami. Nieraz jakiś Europejczyk, opisawszy wrogo i szyderczo Amerykanów, zwracał się do mnie i mówił: „Oczywiście nie mam na myśli pana. Mówię o innych”. Sprowadza się to do tego: Amerykanie, Brytyjczycy są tą masą bez twarzy, której się nie zna, natomiast Francuz czy Włoch jest naszym znajomym i przyjacielem. Nie ma on żadnej z tych cech, które nasza ignorancja każe nam nienawidzić.

Zawsze to uważałem za rodzaj semantycznej pułapki, ale pojeździwszy po własnym kraju nie mam już wcale pewności, że tak jest. Amerykanie, tak jak ich widziałem i z nimi rozmawiałem, byli w istocie jednostkami, z których każda różniła się od innych, ale stopniowo doszedłem do wniosku, że Amerykanie istnieją, że naprawdę mają ogólne cechy charakterystyczne, niezależnie od stanów, z których pochodzą, od pozycji społecznej i finansowej, wykształcenia, religii i przekonań politycznych. Jeżeli jednak istnieje typ Amerykanina zbudowany z prawdy, a nie będący odzwierciedleniem czy to wrogości, czy pobożnych życzeń, to jakież on jest? Jak wygląda? Co czyni? Jeżeli ta sama piosenka, ten sam dowcip, ten sam styl przenikają jednocześnie do wszystkich części kraju, to znaczy, że Amerykanie muszą być w czymś do siebie podobni. Fakt, że ten sam dowcip, ten sam styl nie ma efektu we Francji, Anglii czy Włoszech, uzasadnia takie twierdzenie. Jednakże im bardziej zastanawiałem się nad tym typem Amerykanina, tym mniejszą miałem pewność, jaki jest. Wydawał mi się coraz bardziej paradoksalny, a wiem z doświadczenia, iż kiedy paradoksy piętują się nadmiernie, oznacza to, że brakuje pewnych elementów w równaniu.

Przewędrowałem przez całą galaktykę stanów, z których każdy miał swój własny charakter, i poprzez całe chmury i roje ludzi, i przede mną leżał jeszcze jeden obszar, Południe, który bałem się zobaczyć, a jednak wiedziałem, że muszę zobaczyć i usłyszeć. Nie ciągnie mnie do bólu i gwałtu. Nigdy nie przypatruję się wypadkom, chyba że mogą coś pomóc, ani nie obserwuję dla przyjemności bójek ulicznych. Z lękiem myślałem o Południu. Wiedziałem, że jest tam ból i zamęt, i wszystkie maniackie skutki ogłupienia i strachu. A że Południe jest częścią kraju, więc jego bóle rozprzestrzeniają się na całą Amerykę.

Znałem, tak jak każdy je zna, prawdziwe, ale niepełne określenie problemu - że grzech pierworodny ojców zaciążył na dzieciach następnych pokoleń. Mam na Południu licznych przyjaciół, zarówno Murzynów jak białych, wielu obdarzonych wspaniałym umysłem i charakterem, i często, kiedy wynikał już nawet nie problem, ale zaledwie sugestia tematu Murzyni-biali, widziałem i czułem, że wkraczają w dziedzinę przeżyć, do której nie mam dostępu.

Możliwe, że ja, bardziej niż większość ludzi z tak zwanej Północy, nie posiadam właściwego i emocjonalnego rozeznania tej udręki, nie dlatego, że jako biały nie mam doświadczenia z Murzynami, ale z uwagi na naturę mojego doświadczenia.

W Salinas, w Kalifornii, gdzie się urodziłem i chodziłem do szkoły gromadząc wrażenia, które mnie kształtowały, była tylko jedna rodzina murzyńska. Nazywali się

Cooperowie; i ojciec i matka byli już tam, kiedy przyszedłem na świat, ale mieli trzech synów, jednego trochę starszego ode mnie, jednego w moim wieku i jednego o rok młodszego, tak że w szkole powszechnej i w gimnazjum zawsze był Cooper o klasę wyżej, w mojej klasie i o klasę niżej ode mnie. Jednym słowem byłem obramowany Cooperami. Ojciec, powszechnie nazywany panem Cooperem, prowadził małe przedsiębiorstwo przewozowe - prowadził je dobrze i zarabiał przyzwoicie. Jego żona była ciepłą, serdeczną kobietą, każdej chwili gotową dać kawałek piernika, ilekroć nam się zachciało go od niej wycygnąć.

Jeżeli w Salinas były jakieś przesady rasowe, to nigdy nie słyszałem ani nie wyczułem ich śladu. Cooperowie cieszyli się szacunkiem, a ich szacunek dla samych siebie nie był bynajmniej wymuszony. Ulisses, najstarszy, wysoki, spokojny chłopak, był jednym z najlepszych w naszym mieście w skoku o tyczce. Pamiętam smukły wdzięk jego ruchów w sportowym stroju i pamiętam, jak mu zazdrościłem gładkiego i bezbłędnego wyliczenia w czasie. Umarł w trzecim roku nauki w gimnazjum i byłem jednym z niosących jego trumnę, i myślę, iż zawiniłem grzechem dumy z tego, że mnie wybrano. Drugi syn, Ignatius, mój kolega z tej samej klasy, nie należał do moich ulubieńców, jak dzisiaj widzę, ponieważ był bezspornie najlepszym uczniem. W arytmetyce, a później w matematyce górował nad nami stopniami, w łacinie zaś nie tylko był lepszy, ale i nie oszukiwał. A któż może lubić takiego kolegę? Najmłodszy z Cooperów - dzieciak - był wszystkim uśmiechem. Dziwne, że nie pamiętam jego imienia. Od samego początku był muzykiem, a kiedy go widziałem po raz ostatni, tkwił głęboko w jakiejś kompozycji, która dla moich częściowo wykształconych uszu zdawała się być śmiała, oryginalna i dobra. Ale poza tymi uzdolnieniami młodzi Cooperowie byli moimi przyjaciółmi.

Otóż są to jedyni Murzyni, jakich znałem, czy z jakimi miałem styczność za czasów mojego chłonnego dzieciństwa, widzicie więc, jak mało byłem przygotowany na szeroki świat. Kiedy na przykład usłyszałem, że Murzyni są niższą rasą, pomyślałem, iż ten, kto tak twierdził, był źle poinformowany. Kiedy słyszałem, że Murzyni są brudni, wspominałem lśniąca kuchnię pani Cooper. Leniwi? Terkot i stukot konnej platformy pana Coopera na ulicy budził nas

o świecie. Nieuczciwi? Pan Cooper był jednym z nielicznych mieszkańców Salinas, którzy nigdy nie odwlekali spłaty długu poza piętnasty danego miesiąca.

Obecnie uświadamiam sobie, że w Cooperach było jeszcze coś, co wyodrębniało ich spośród innych Murzynów, których od tamtej pory widziałem i poznałem. Ponieważ ich nie krzywdzono ani nie znieważano, nie zachowywali się defensywnie czy bojowo. Ponieważ ich godność była nienaruszona, nie mieli potrzeby zachowywać się butnie, a ponieważ młodzi Cooperowie nigdy nie słyszeli, że są gorsi od innych, ich umysły mogły rozwijać się do właściwych granic.

Takie było moje doświadczenie z Murzynami do czasu, kiedy dorosłem, może zanadto dorosłem, ażeby zmienić ugruntowane nawyki dzieciństwa. O, wiele odtąd widziałem i czułem druzgoczące fale gwałtu, rozpaczy i zamętu. Widziałem murzyńskie dzieci, które naprawdę nie potrafiły się uczyć, szczególnie te, które we wrażliwym okresie dzieciństwa słyszały, że są kimś niższym. I kiedy wspominałem Cooperów i mój stosunek do nich, chyba głównym uczuciem, jakiego doznaję, jest żal, że zapuszczono między nas kurtynę strachu i gniewu. I właśnie przyszła mi do głowy zabawna możliwość. Gdyby w Salinas ktoś z mądrzejszego i bardziej oświeconego świata zapytał: „Czy chciałbyś, żeby twoja siostra wyszła za kogoś Coopera?”, myślę, że byśmy się roześmieli. Bo może nasunęłoby nam się przypuszczenie, że Cooper mógłby nie chcieć ożenić się z naszą siostrą, choć wszyscy byliśmy ze sobą tak zaprzyjaźnieni.

Tak więc się dzieje, że jestem podstawowo niezdolny do opowiadania się po którejś stronie w konflikcie rasowym. Muszę przyznać, że okrucieństwo i przemoc wobec słabych przyprawia mnie o straszną wściekłość, ale to się w równej mierze stosuje do traktowania każdego słabego przez każdego silnego.

Poza moimi niedostatkami jako rasisty wiedziałem, że na Południu nie jestem pożądanym. Kiedy ludzie zaangażowani są w coś, z czego nie są dumni, niechętnie widzą świadków. W istocie uważają, że świadek jest przyczyną kłopotów.

W całej tej dyskusji na temat Południa mówiłem jedynie o gwałcie wyzwolonym przez ruch desegregacyjny - dzieci chodzące do szkoły, młodych Murzynów domagających się wątpliwego przywileju dostępu do lokali śniadaniowych, autobusów i toalet. Ale szczególnie interesuje mnie sprawa szkół, ponieważ wydaje mi się, że owa plaga może zniknąć jedynie wtedy, gdy będą miliony Cooperów.

Niedawno mój bliski przyjaciel z Południa namiętnie pouczał mnie o teorii „równi, ale odseparowani”.

- - Tak się składa - powiedział - że w moim mieście są trzy nowe szkoły murzyńskie, nie równe, ale lepsze od szkół białych. I czy nie myślisz, że oni powinni się tym zadowolić? A na dworcu autobusowym umywalnie są dokładnie takie same. Co na to powiesz?

Odrzekłem: - - Może to jest sprawa niewiedzy. Moglibyście to rozwiązać i naprawdę pokazać im ich miejsce, gdybyście zamienili się szkołami i toaletami. Z chwilą, kiedy by sobie zdali sprawę, że wasze szkoły nie są tak dobre jak ich, uświadomiliby sobie swój błąd.

I wiecie, co na to powiedział? Odparł: - Ty paskudny rozrabiako! Ale powiedział to z uśmiechem.

Kiedy jeszcze byłem w Teksasie, pod koniec roku 1960, najszerzej opisywanym i obfotografowanym w gazetach wydarzeniem była immatrykulacja paru małych dzieci murzyńskich w jednej z nowoorleańskich szkół. Za tymi maleńkimi czarnymi berbeciami stał majestat prawa i jego władza wymuszania posłuchu - zarówno szale jak miecz sprzymierzyły się z dziećmi - a przeciw nim było trzysta lat strachu, gniewu i lęku przed zmianą w zmieniającym się świecie. Co dzień widywałem zdjęcia w gazetach i filmy na ekranie telewizyjnym. Przyczyną upodobania dziennikarzy do tej historii była grupa tęgich kobiet w średnim wieku, które dzięki jakiejś osobliwej definicji słowa „matka” zbierały się codziennie, ażeby wyrzaskiwać inwektywy na owe dzieci. Co więcej, mała ich grupka tak dalece się wyszkoliła, że nazwano je „Wodzirejkami” i co dzień gromadził się tłum, aby podziwiać i oklaskiwać ich występy.

Ten dziwny dramat wydawał się tak nieprawdopodobny, iż uważałem, że muszę to zobaczyć. Było w nim coś równie przyciągającego, jak w cielęciu o pięciu nogach czy w dwugłowym płodzie na pokazie osobliwości - to zniekształcenie normalnego życia, które zawsze uważamy za tak interesujące, że płacimy, aby je zobaczyć, może dlatego, by sobie udowodnić, iż mamy właściwą ilość nóg czy głów. Na owym przedstawieniu w Nowym Orleanie odczułem całe rozbawienie, jakie daje coś nieprawdopodobnego i anormalnego, ale także i coś w rodzaju zgrozy, że to jest możliwe.

O tym czasie zima, która podążała moim tropem, odkąd opuściłem dom, uderzyła nagle ponurym północnym wiatrem. Przyniósł on lód i marznący śnieg z deszczem i okrył szosy brudną gołoledzią. Odebrałem Charleya od dobrego doktora. Wyglądał dwa razy młodziej i czuł się doskonale, na dowód czego biegał, skakał, tarzał się, śmiał i popiskiwał z czystej radości. Dobrze było mieć go znowu przy sobie, gdy tak siedział obok mnie i wyglądał na odwijającą się drogę albo kulił się do snu, z głową na moich kolanach i swymi głupiutkimi uszami nadstawionymi do głaskania. Ten pies potrafi przespać każdą ilość roztropnych pieszczoł.

Przestaliśmy teraz marudzić, przyłożyliśmy koła do szosy i ruszyliśmy w drogę. Nie mogliśmy jechać szybko z uwagi na gołoledź, ale parliśmy nieprzerwanie naprzód, ledwie zerkając na przesuwaną się obok nas Teksas. A Teksas był dojmująco bezkresny - Sweetwater i Balinger, i Austin. Minęliśmy Houston. Przystawaliśmy, aby wziąć benzynę, wypić kawę i zjeść kawałek placka. Charley pożywił się i spacerował na stacjach benzynowych. Noc nas nie zatrzymała, a kiedy oczy zaczęły mnie boleć i piec od zbyt długiego wypatrywania, ramiona zaś przemieniły się w dwa wzgórciki bólu, skręciłem na rozjazd i wlałem jak kret do łóżka, tylko po to, by nadal widzieć szosę wijącą się pod zamkniętymi powiekami. Zdołałem przespać się nie dłużej niż dwie godziny, po czym znowu ruszyłem w przejmująco zimną noc, i dalej, i dalej. Woda przy drodze była twardo zamrożona, a ludzie mieli głowy okutane szalami i swetrami.

Kiedy indziej przyjeżdżałem do Beaumont ociekając potem i łaknąc lodu i klimatyzacji. Obecnie Beaumont, z całym swym blaskiem neonów, było, jak to się mówi, zamrożone. Przejechałem przez nie nocą albo raczej w ciemnościach dobrze po północy. Człowiek ze zsiniałymi palcami, który napełniał mi bak, spojrzął na Charleya i powiedział:

- O, to pies! A ja myślałem, że pan tam masz czarnucha. - I roześmiał się z zadowoleniem.

Było to pierwszym z wielu identycznych powiedzeń. Słyszałem to co najmniej dwadzieścia razy. „Myślałem, że pan tam ma czarnucha”. Był to dowcip niezwykły - zawsze świeży - i nigdy: „Murzyna” czy nawet „czarnego”, ale zawsze „czarnucha”.

To słowo wydawało się strasznie ważne, niejako było słowem zabezpieczającym, którego należało się trzymać, ażeby jakaś budowla nie runęła.

A potem znalazłem się w Luizjanie, mając po prawej w ciemnościach Lake Charles, ale moje reflektory lśniły na lodzie i błyskały na diamentowym szronie, a ludzie, którzy wiecznie brną nocą po szosach, byli grubo opatuleni od zimna. Parłem dalej przez La Fayette i Morgan City i o wczesnym świcie dojechałem do Houma, które wymawia się podobnie jak Homer i pozostało mi w pamięci jako jedno z najprzyjemniejszych miejsc na świecie. Mieszka tam mój stary przyjaciel, doktor St. Martin, człowiek łagodny, uczony, Cajun ¹⁷, który odbierał dzieci i leczył kolkę pośród Cajunów rozrzuconych na całe mile wokoło. Zdaje się, że wie on więcej o Cajunach niż ktokolwiek dzisiaj, ale wspominam też z sentymentem inne talenty doktora St. Martina. Sporządza on najlepszy i najdelikatniejszy na świecie cocktail martini metodą zbliżoną do czarów. Jediną znaną mi częścią jego przepisu jest to, że na lód używa wody destylowanej i dla pewności destyluje ją sam. U jego stołu jadłem czarne kaczkę - dwa martini St. Martina i para czarnych kaczek z burgundem pobieranym z butelki tak, jak można odbierać noworodka, a wszystko to w zaciemnionym domu, gdzie o świcie zapuszczono zasłony i zachowano chłodne powietrze z nocy. Przy owym stole, z miękko matowymi srebrami o połysku cyny, pamiętam wzniesiony kielich świętej krwi winogron, trzymany pieścotliwie w mocnych, malarskich palcach doktora, i jeszcze mam w ustach miły toast i pozdrowienia w śpiewnej mowie z Acadii, która niegdyś była francuska, a dzisiaj jest sobą. Ten obraz wypełniał teraz zamarznąłą szybę przede mną i gdyby na szosie był ruch, uczyniłby ze mnie niebezpiecznego kierowcę. Ale w Houma był bladożółty, zmrożony brzask i wiedziałem, że gdybym się zatrzymał, by złożyć swe uszanowanie, moją wolę i determinację rozpuściłby ów lotos podawany przez doktora i gadalibyśmy

O sprawach wieczystych, kiedy by przyszedł wieczór, a potem następny. Toteż jedynie skłoniłem się w kierunku mojego przyjaciela i popędziłem dalej ku Nowemu Orleanowi, bo chciałem zdążyć na występ Wodzirejek.

Nawet ja jestem za ostrożny, aby podejżdzać wozem blisko niespokojnych miejsc, zwłaszcza Rosynantem z nowojorskimi numerami. Nie dalej jak poprzedniego dnia poturbowano pewnego reportera i rozbito mu kamerę, bo nawet przekonani wyborcy niechętnie widzą opisywanie

1 utrwalanie swoich historycznych momentów.

Dlatego też na samym skraju miasta zajechałem na parking. Obsługujący podszedł do mojego okna.

- Rany, o rany, a ja myślałem, że pan tam ma czarnucha. Rany, o rany, a to pies. Zobaczyłem ten czarny pysk i pomyślałem, że to jakiś czarnuch.

- On ma pysk szarogranatowy, kiedy jest czysty - powiedziałem zimno.

- Ano, widziałem szarogranatowych czarnuchów, a czyści nie byli. Nowy Jork, co?

Wydawało mi się, że do jego głosu zakradł się chłód podobny do tego porannego powietrza.

- Tylko tędy przejeżdżam - odparłem. - Chcę zaparkować wóz na kilka godzin. Mógłby pan znaleźć mi taksówkę?

- Powiem panu, o co się założyć. Założę się, że pan chce zobaczyć Wodzirejki.

.- Tak jest.

- Ano, mam nadzieję, że pan nie jesteś żaden rozrabiaka ani reporter.

- Po prostu chcę to zobaczyć.

- Rany, o rany, to pan się napatrzysz nie byle czego. No, bo czy te wodzirejki to nie jest coś? Rany, o rany, iak się rozkręca, to człowiek nigdy nie słyszał czegoś podobnego.

Zamknąłem Charleya w domku Rosynanta oprowadziwszy najpierw mojego rozmówcę po lokalu i wręczywszy mu szklanekę whisky oraz dolara.

- Niech pan uważa z otwieraniem drzwi, kiedy mnie nie będzie - powiedziałem. - Charley traktuje swoje obowiązki raczej poważnie. Mógłby pan stracić rękę.

To było oczywiście bezczelnym kłamstwem, ale tamten powiedział:

- Tak jest. Nie przyłapiesz mnie pan na wygłupianiu się z obcym psem.

Kierowca taksówki, mizerny, żółtawy na twarzy, skurczony z zimna jak strączek grochu, rzekł:

- Nie podwożę pana bliżej jak o kilka ulic. Nie chcę, żeby mi wóz rozwalili.

- To jest aż tak źle?

- Nie idzie o to, co jest. Ale co może być. A może być tak źle.

- Kiedy to się zaczyna?

Spojrzał na zegarek.

- Tyle, że dzisiaj zimno, ale tak to się schodzą od świtu. Teraz jest za kwadrans. Idź pan, to pan nic nie stracisz, tyle, że zimno.

Zamaskowałem się przy pomocy starej granatowej kurtki oraz mojej czapki marynarki brytyjskiej, wychodząc z założenia, że w morskim porcie nikt nie zwraca uwagi na marynarza tak jak na kelnera w restauracji. W swojej naturalnej ostoi marynarz nie ma twarzy i z pewnością żadnych zamiarów poza upiciem się i może zamknięciem w areszcie za bijatykę. Taki przynajmniej jest ogólny pogląd na marynarzy. Sprawdziłem go. Co najwyżej łaskawy głos władzy mówi: „Dlaczego nie wróćcie na statek, kolego? Chyba nie chcecie siedzieć w mamrze i spóźnić się na odpływ, no nie, kolego?” I mówiący nie poznałby was w pięć minut później. A Lew i Jednorożec na mojej czapce czyniły mnie jeszcze bardziej anonimowym. Jednakże muszę przestrzec każdego, kto by wypróbował moją teorię, ażeby nigdy tego nie robił gdzie indziej niż w mieście portowym.

- Pan skąd? - zapytał kierowca z kompletnym brakiem zainteresowania.

- Z Liverpoolu.

- Anglik, hę? No, panu nic nie będzie. To te cholerne nowojorskie Żydy są wszystkiemu winne.

Spostrzegłem, że mówię z intonacją brytyjską, i to bynajmniej nie z Liverpoolu.

- Żydzi, co? A dlaczego są winni?

- Cóż, psiakrew, panie, my wiemy, co trzeba robić. Każdy jest zadowolony i dobrze mu z tym. Ba, ja nawet lubię czarnuchów. A te cholerne nowojorskie Żydy przyjeżdżają i podbechtują ich. Jakby siedzieli w Nowym Jorku, nie byłoby kłopotu. Powinno się ich załatwić.

- Chce pan powiedzieć: zlinczować?

- Nie chcę powiedzieć niczego innego, panie.

Wypuścił mnie i ruszyłem dalej pieszo.

- Nie próbuj pan podchodzić za blisko! - zawołał za mną. - Napatrz się pan, ale się w to nie mieszaj.

- Dziękuję - odparłem i zdławiłem brytyjskie „szalenie”, które nasunęło mi się na język.

Idąc w kierunku szkoły znalazłem się w potoku ludzi, wyłącznie białych i zmierzających w tę samą stronę. Szli w napięciu, jak ludzie zdążający do pożaru, który już trwa od jakiegoś czasu. Uderzali rękami o biodra albo wtulali je pod palta, a wielu mężczyzn miało uszy obwiązane chustkami pod kapeluszem.

Naprzeciwko szkoły policjanci ustawili drewniane bariery dla powstrzymania tłumu i teraz przechadzali się tam i z powrotem ignorując rzucone im dowcipy. Przed frontem szkoły chodnik był pusty, natomiast wzdłuż krawężnika stali w pewnej odległości jeden od drugiego funkcjonariusze federalni, nie umundurowani, ale z opaskami na rękach dla rozpoznania. Pod paltami sterczały im godnie rewolwery, ale ich oczy skakały nerwowo to tu, to tam, badając twarze ludzi. Miałem wrażenie, że przyjrzeni mi się, czy jestem stałym widzem, po czym uznali mnie za nieważnego.

Widać było, gdzie stoją Wodzirejki, bo ludzie przepychali się próbując dotrzeć blisko nich. Miały dobre miejsce przy barierze na wprost wejścia do szkoły: zgrupowani w tym punkcie policjanci przytupywali i zabijali w dłonie obleczone w niezwyczajne im rękawiczki.

Nagle pchnięto mnie gwałtownie i rozległ się krzyk:

- O, idzie! Przepuście ją... Gdzieś ty była? Spóźniłaś się do szkoły. Gdzieś była, Nellie?

Imię jej nie brzmiało Nellie. Nie pamiętam, jakie było. Ale owa kobieta przepchała się przez zbity tłum dostatecznie blisko mnie, abym mógł dojrzeć jej palto ze sztucznej wełny i złote kolczyki. Nie była wysoka, ale masywna i z pełnym biustem. Oceniam, że miała około pięćdziesiątki. Była grubo upudrowana, przez co fałdy jej podbródka wydawały się bardzo ciemne.

Z drapieżnym uśmiechem precyzyjnie się przez falujący tłum trzymając garść wycinków z gazet w wysoko podniesionej ręce, ażeby ich nie zgnieciono. Ponieważ była to jej lewa ręka, więc poszukałem wzrokiem obrączki na palcu i zauważyłem, że jej nie ma. Wsunąłem się za nią, ażeby dać się ponieść fali, ale ścisk był okropny i usłyszałem ostrzeżenie:

- Uważaj, panie marynarz. Każdy chce posłuchać.

Nellie została przyjęta powitalnymi okrzykami. Nie wiem, ile tam było Wodzirejek. Nie było żadnego wyraźnego odstępu między Wodzirejkami a stojącym za nimi tłumem. Zobaczyłem tylko, że grupa ludzi podaje sobie z rąk do rąk wycinki z gazet i czyta je na głos, popiskując z uciechy.

Po chwili tłum zaczął się niecierpliwieć tak jak publiczność, kiedy opóźnia się podniesienie kurtyny. Ludzie dokoła mnie spoglądali na zegarki. Spojrzałem na swój. Była za trzy minuty dziewiąta.

Przedstawienie rozpoczęło się o czasie. Wycie syren. Policjanci na motocyklach. A potem zajechały przed szkołę dwa duże czarne samochody pełne rośliwych mężczyzn w jasnych filcowych kapeluszach. Tłum jakby wstrzymał oddech. Z obu wozów wysiadło po czterech masywnych funkcjonariuszy federalnych, którzy gdzieś spomiędzy samochodów wydobyli najdrobniejszą murzyńską dziewczynkę, jaką w życiu widziałem, ubraną w lśniącą, wykrochmaloną biel, w nowiutkich białych pantofelkach na stopach tak małych, że były prawie okrągłe. Jej twarz i drobne nóżki były bardzo czarne na tle bieli.

Potężni strażnicy ustawili ją na chodniku, a wtedy zza barier wzbiła się fala drwiących wrzasków. Mała dziewczynka nie patrzyła na wyjący tłum, ale białka jej oczu błyskały jak u wystraszonej sarenki. Mężczyźni okręcili ją jak lalkę i ten dziwny orszak ruszył szerokim chodnikiem do szkoły, przy czym dziecko wydawało się tym drobniejsze, że tamci byli tacy ogromni. I wtedy dziewczynka jakoś dziwnie podskoczyła, i myślę, że wiem, co to było. Przypuszczam, że w ciągu całego swego życia nie uszła dziesięciu kroków bez podskakiwania, ale teraz, w połowie tego pierwszego podskoku, brzemie ją przytłoczyło i jej małe, krągłe stopki jęły stawiać odmierzone, niechętnie kroki między rośliwymi strażnikami. Z wolna wstąpili na schody i weszli do szkoły.

Gazety pisały, że szyderstwa i drwiny są tam okrutne, a czasem sprośne, i takimi też się okazały, ale to jeszcze nie było wielkie przedstawienie. Tłum czekał na białego człowieka, który ośmielał się przyprowadzać do szkoły swoje białe dziecko. I oto nadszedł strzeżonym chodnikiem, wysoki, w jasnoszarym ubraniu, prowadząc za rękę wylęknione dziecko. Cały był napięty jak twarda sprężyna wygięta do punktu pęknięcia, twarz miał poważną, szarą, a oczy utkwione w ziemię tuż przed sobą. Mięśnie policzkowe sterczały mu od zaciskania szczęk; był to człowiek przestraszony, który wysiłkiem woli trzymał swój strach na wodzy, tak jak wyborowy jeździec kieruje spłoszonym koniem.

Zabrzmiał przenikliwy, chrapliwy głos. Nie krzyczano chóralnie. Każda z kobiet odzywała się po kolei i za każdym razem tłum wybuchał wyciem, rykiem i pochwalnymi gwizdami. To właśnie przyszedł tutaj zobaczyć i usłyszeć.

Żadna gazeta nie wydrukowała słów wykrzykiwanych przez te kobiety. Napomykano, że były niedelikatne, niektórzy pisali nawet, że ordynarne. W telewizji zamazywano dźwięk albo dla zagłuszenia wmontowywano głos tłumu. Teraz jednakże usłyszałem te słowa, bestialskie, ohydne i zwyrodniałe. W ciągu długiego i nie chronionego życia słyszałem nieraz rzeczy wyrzygiwane przez szatańskich ludzi. Dlaczego więc te krzyki napęłniły mnie zgrozą i straszliwym smutkiem?

Słowa napisane są brudne. Jednakże tutaj było coś dużo gorszego niż brud: jakiś przerażający sabat czarownic. Nie był to spontaniczny krzyk gniewu, szalonej furii.

Może to właśnie przypравиło mnie o bezsilne mdłości. Tutaj nie było zasady, dobrej czy złej, ani żadnego kierunku. Te rozczochrane kobiety ze swymi małymi kapelusikami i wycinkami z gazet łaknęły uwagi. Chciały być podziwiane. Mizdrzyły się w radosnym, nieledwie niewinnym tryumfie, gdy je oklaskiwano. Było w nich obłąkane okrucieństwo egocentrycznych dzieci i w jakiś sposób to właśnie czyniło ich bezrozumne zezwierzęcenie o wiele bardziej bolesnym. To nie były obłąkane aktorki grające dla obłąkanej publiki.

Tłum za barierą ryczał i wiwatował, i poszturchiwał się wzajemnie z radości. Nerwowo przechadzający się policjanci wypatrywali, czy ktoś nie przedziera się przez barierę. Wargi mieli zaciśnięte, ale paru z nich uśmiechnęło się i zaraz spoważniało. Po drugiej stronie ulicy stali nieruchomo funkcjonariusze straży federalnej. Nogi szaro ubranego człowieka na sekundę przyspieszyły kroku, ale powściągnął je siłą woli i wszedł na chodnik szkolny.

Tłum ucichł i przyszła kolej następnej Wodzirejki. Jej głos był rykiem byka, grubym, potężnym wrzaskiem o spłaszczonych tonach jak głos zapowiadacza cyrkowego. Nie ma potrzeby notować jej słów. Układ był ten sam, tylko rytm i tonacja inne. Każdy, kto otarł się o teatr, wiedziałby, że te mowy nie były spontaniczne. Wypróbowano je, nauczono się ich na pamięć i starannie sobie przepowiedziano. To był teatr. Obserwowałem baczne twarze słuchającego tłumu i były to twarze publiczności. Kiedy następowały brawa, oklaskiwano aktora.

Moim ciałem targały bezsilne mdłości, ale nie mogłem pozwolić, aby mnie oślepiła słabość, skoro dojechałem tak daleko, aby popatrzeć i usłyszeć. I nagle zrozumiałem że coś jest nie w porządku, że coś się wypaczyło i skrzywiło. Znałem Nowy Orlean, w ciągu lat miałem tam wielu przyjaciół, rozumnych, delikatnych ludzi z tradycją uprzejmości i kurtuazji. Pamiętałem Lyle'a Saxona, ogromnego mężczyznę o cichym śmiechu. Ileż dni spędziłem z Roar-kiem Bradfordem, który zbierał odgłosy i widoki Luizjany i tworzył Boga i Zielone Pastwiska, ku którym On nas wiedzie. Szukałem w tłumie twarzy podobnych ludzi i nie było ich tam. Widywałem takich jak tutaj, kiedy rykiem domagali się krwi na meczach bokserskich, mieli orgazmy, gdy byk przebijał rogiem człowieka na arenie, z pożądliwością widza oglądali wypadki drogowe, stali

cierpliwie w kolejce, aby uzyskać przywilej obserwowania wszelkiego bólu czy wszelkiej męki. Ale gdzież byli inni - ci, którzy byliby dumni z należenia do tego samego gatunku, co ów szaro ubrany człowiek, ci, których ramiona wyciągałyby się, ażeby objąć tę małą, przelęknioną, czarną okruszynę?

Nie wiem, gdzie byli. Może czuli się równie bezradni jak ja, lecz przyzwolili, aby świat nabrał błędnego pojęcia o Nowym Orleanie. Tłum bez wątpienia pognał do domów, żeby zobaczyć siebie w telewizji, a to, co ujrzał, poszło na cały świat, nie przesłonięte przez inne rzeczy, o których wiem, że tam są.

Przedstawienie było skończone i nasza ludzka rzeka zaczęła odpływać. Następnym seans miał się odbyć, kiedy zadzwoni dzwonek na zakończenie lekcji, a mała czarna twarzyczka będzie zmuszona znów spojrzeć na swoich oskarżycieli. Byłem w Nowym Orleanie wielkich restauracji. Znam je wszystkie i większość ich zna mnie. I nie byłem w stanie pójść do Gallatoira na omlet z szampanem, tak samo jak bym nie mógł zatańczyć na grobie. Nawet przelewanie tego na papier budzi znów we mnie tamto bezsilne, beznadziejne uczucie mdłości. Nie jest to pisane dla zabawy. Mnie to nie bawi.

Kupiłem sobie taniego sandwicza i wyjechałem z miasta. Niezbyt daleko znalazłem przyjemne miejsce wypoczynkowe, gdzie mogłem zasiąść, pożywić się, rozmyślać i spoglądać na dostojnie płowego, z wolna płynącego Ojca Wód *, tak jak tego wymagał mój stan ducha. Charley nie biegał wokół, ale usiadł przy mnie i przycisnął ramię do mego kolana, a robi to tylko, kiedy jestem chory, przypuszczam więc, że byłem chory z jakiegoś zmartwienia.

Straciłem rachubę czasu, ale niedługo po przejściu słońca przez zenit ukazał się jakiś mężczyzna i wymieniliśmy powitanie. Był porządnie ubrany, w starszym wieku, o twarzy z El Greca, z pięknymi rozwianymi białymi włosami i przystrzyżonym białym wąsem. Poprosiłem go, aby się do mnie przysiadł, a kiedy wyraził zgodę, wszedłem do mego domku, nastawiłem kawę i przypomniawszy sobie, jaką lubił Roark Bradford, podwoiłem dozę - dwie czubate łyżki kawy na każdą filiżankę i dwie czubate na garnek. Rozbiłem jajko, usunąłem żółtko i wrzuciłem białko oraz skorupki do garnka, bo nie znam niczego, co by tak wygładzało kawę i dodawało jej takiego blasku. Powietrze było wciąż bardzo zimne i nadchodziła zimna noc, toteż napój, przechodzący od chłodnej wody do bulgoczącego wrzątku, wydawał tę dobrą woń, która zwycięsko współzawodniczy z innymi dobrymi woniami.

Mój gość był zadowolony i ogrzał sobie dłonie o plastikową filiżankę.

- Sądząc po pańskim numerze rejestracyjnym jest pan tu obcy - powiedział. - Skąd pan się zna na kawie?

- Nauczyłem się tego na Bourbon Street od olbrzymów tej ziemi - odrzekłem. - Ale oni zażądaliby mocniej palonych ziaren i chętnie by widzieli kawałek cykorii dla ostrości. - Pan się zna - powiedział. - Więc jednak nie jest pan obcy. A umie pan robić diablo?

- Na przyjęcia, tak. Pan jest stąd?

- Od dłuższego szeregu pokoleń, niż bym to mógł udowodnić ponad wszelką wątpliwość, z wyjątkiem tych, które są zaklasyfikowane pod *ci git* * w St. Louis.

- Rozumiem. Pan jest z tego plemienia. Cieszę się, że pan tu zaszedł. Znałem St. Louis, nawet zbierałem tam epitafia. - Doprawdy? To pan pewnie pamięta tamto dziwaczne.

- Jeżeli panu idzie o to samo, próbowałem nauczyć się go na pamięć. Pan ma na myśli to, które się zaczyna od słów: „Niestety ten, którego doczesna radość...?”

- O właśnie. Robert John Cresswell, zmarły w roku 1845 w wieku lat dwudziestu sześciu.

- Szkoda, że tego nie pamiętam.

- Ma pan kawałek papieru? Może pan sobie zapisać.

A kiedy położyłem blok na kolanie, powiedział:

* Rzeka Missisipi.

- „Niestety ten, którego doczesna radość często musiała mieć ufność w niebiosy, tak nagle wszelakich pozbawion jest nadziei i mimo swej miłości ową pozostawił plagę w dowód swych cierpień na tym padole”.

- To nadzwyczajne - powiedziałem. - Mógłby to napisać Lewis Carroll. Bez mała rozumiem, co to znaczy.

- Tak jak każdy. Czy pan podróżuje dla przyjemności?

- Owszem, do dzisiejszego dnia. Dzisiaj widziałem Wodzirejki.

- A, tak, rozumiem - powiedział i opadł na niego ciężar i mrok.

- Co będzie dalej?

- Nie wiem. Po prostu nie wiem. Nie mam odwagi

o tym myśleć. Dlaczego miałbym o tym myśleć? Jestem za stary. Niech inni tym się zajmują.

- Czy pan tu widzi jakiś cel?

- O, cel tak, z pewnością. Idzie o środki - o środki. Ale pan jest z Północy. To nie pański problem.

- Myślę, że to jest problem każdego. Wcale nie lokalny. Czy pan by wypił jeszcze filiżankę kawy i porozmawiał o tym ze mną? Nie mam w tej sprawie żadnego stanowiska. To znaczy chciałbym posłuchać.

- Nie ma tu nic, czego by się można dowiedzieć - odrzekł. - Sprawa wydaje się zmieniać oblicze w zależności od tego, kim się jest, gdzie się było i co się czuje - nie myśli, ale czuje. Panu nie podobało się to, co pan widział?

- A panu by się podobało?

- Może jeszcze mniej niż panu, bo ja znam całą bolesną tego przeszłość, a także coś niecoś ze śmierdzącej przyszłości. To jest brzydkie słowo, proszę pana, ale nie ma innego.

- Murzyni chcą być ludźmi. Czy pan jest temu przeciwny?

- Ależ skąd, drogi panie. Tylko na to, żeby zostali ludźmi, muszą walczyć z tymi, co nie są zadowoleni, że są ludźmi.

- Panu idzie o to, że Murzyni nie zadowolą się żadną zdobyczą?

- A pan? Albo ktokolwiek panu znany?

- Czy pan byłby zadowolony, gdyby im pozwolono być ludźmi?

- Owszem, ale bym tego nie zrozumiał. Za dużo mam tu ci gitów na cmentarzu.

Jakby to panu powiedzieć? Więc przypuśćmy, że tu obecny pański pies... on wygląda na psa bardzo inteligentnego.

- I jest.

- Więc przypuśćmy, że umiałby mówić i stać na tylnych łapach. Może robiłby to doskonale pod każdym względem. Może pan mógłby zaprosić go na kolację, ale czy mógłby pan myśleć o nim jako o człowieku?

- Panu idzie o to, czy chciałbym, żeby moja siostra za niego wyszła?

Roześmiał się. - Ja panu tylko pokazuję, jak trudno jest zmienić zapatrywania na pewne rzeczy. I czy pan da wiarę, że Murzynom będzie równie ciężko zmienić stosunek do nas, jak nam stosunek do nich? To nie jest nic nowego. To trwa od długiego czasu.

- W każdym razie ten temat odciąga radość z dzbana rozmowy.

- Tak jest, proszę pana.

* Tutaj spoczywa — napis nagrobny (franc.).

Jak mi się zdaje, jestem tym, co pan mógłby nazwać oświeconym południowcem, biorącym zniewagę za komplement. Jako taka nowo narodzona hybryda, wiem, co się stanie w ciągu stuleci. Już teraz to się zaczyna w Afryce i w Azji.

- Pan ma na myśli wchłanianie... że Murzyni znikną?
 - Jeżeli przewyższą nas liczebnie, znikniemy my, czy też, co bardziej prawdopodobne, znikniemy jedni i drudzy wtapiając się w coś nowego.
 - A tymczasem?
 - Właśnie to „tymczasem” mnie przeraża, proszę pana. Starożytni składali miłość i wojnę w ręce blisko spokrewnionych bogów. To nie był przypadek. To, proszę pana, była głęboka znajomość człowieka.
 - Doskonale pan rozumuje.
 - Ci, których pan widział dzisiaj, nie rozumują w ogóle. Oni są tymi, którzy mogą zaalarmować boga.
 - Więc pan uważa, że to nie może się odbyć pokojowo?
 - Nie wiem! - zawołał. - Myślę, że to jest najgorsze. Po prostu nie wiem. Czasami już mi pilno przybrać mój prawowity tytuł Ci Git.
 - Chciałbym, żeby pan mógł ze mną pojeździć. Czy pan gdzieś się stąd rusza?
 - Nie. Mam taką małą posiadłość zaraz za tym laskiem. Spędzam tam dużo czasu, głównie czytam - różne starocie - i głównie oglądam, też stare rzeczy. To jest moja rozmyślna metoda unikania problemu, bo go się boję.
 - Mam wrażenie, że wszyscy po trosze tak robimy.
- Uśmiechnął się.
- Mam starą murzyńską parę, równie starą jak ja, która się mną opiekuje. I czasem wieczorem zapominamy. Oni zapominają mi zazdrościć, ja zapominam, że mogą, i jesteśmy po prostu trojgiem przyjemnych... istot, żyjących razem i wachających kwiaty.
 - Istot - powtórzyłem. - To ciekawe: nie człowiek i zwierzę, nie czarny i biały, tylko przyjemne istoty. Moja żona opowiadała mi o jednym bardzo, bardzo starym człowieku, który mówił: „Pamiętam czasy, kiedy Murzyni nie mieli dusz. Wtedy było o wiele lepiej i łatwiej. Teraz wszystko się poplątało”.
 - Ja tego nie pamiętam, ale musiało tak być. Mam wrażenie, że możemy pokrajać i rozdzielić naszą odziedziczoną winę jak tort urodzinowy - powiedział i z wyjątkiem wąsów wyglądał jak tamten Święty Paweł El Greca, który trzyma w rękach zamkniętą książkę. - Z pewnością moi przodkowie mieli niewolników, ale możliwe, że pańscy chwyтали ich i sprzedawali nam.
 - Mam purytańskich przodków, którzy mogli to robić.
 - Jeżeli ktoś zmusza siłą jakąś istotę, by żyła i pracowała jak zwierzę, musi o niej myśleć jak o zwierzęciu, bo inaczej współodczuwanie przyprawi go o szaleństwo. Z chwilą gdy zakwalifikujemy takiego człowieka w naszym umyśle, uczucia nasze są zabezpieczone. - Popatrzał na rzekę, a powiew poruszył jego włosami jak białym dymem. - I jeśli mamy w sercu ludzkie ślady odwagi i gniewu, co u mężczyzny jest cnotą, wówczas czujemy obawę przed niebezpieczną bestią, ponieważ zaś nasze serce posiada inteligencję i wyobraźnię i zdolność ich ukrywania, więc żyjemy w lęku. Wtedy musimy zdławić męskie skłonności tego drugiego i uczynić zeń powolne zwierzę, którego nam potrzeba. A jeśli potrafimy od początku uczyć nasze dziecko, że ma do czynienia ze zwierzęciem, to nie będzie podzielało naszej rozterki.
 - Mnie mówiono, że za dawnych czasów Murzyn śpiewał i tańczył, i był zadowolony.
 - A także uciekał. Prawa o uciekinierach dowodzą, jak często.
 - Pan nie jest taki, jakim Północ wyobraża sobie południowca.

- Może i nie. Ale nie jestem jedyny. - Wstał i otrzepał sobie spodnie palcami. - Nie, nie jestem jedyny. A teraz pójdę do swoich przyjemnych istot.

- Nie zapytałem pana o nazwisko ani nie podałem swojego.

- Ci Git - powiedział. - Monsieur Ci Git; liczna rodzina, pospolite nazwisko.

Kiedy odszedł, doznałem uczucia słodczy przypominającego muzykę, o ile muzyka może ucieszyć ciało odrobiną chłodu.

Dla mnie był to dzień większy od dnia, niedający wymierzyć się miarą innych dni z jakąkolwiek dozą podobieństwa. Wiedziałem, że ponieważ mało spałem poprzedniej nocy, powinienem się zatrzymać. Byłem bardzo zmęczony, ale zmęczenie potrafi czasem być bodźcem i nakazem. Zmusiło mnie do nabrania benzyny i kazało przystanąć i zaproponować podwiezienie staremu Murzynowi, który brnął powłócząc ciężko nogami po trawiastym poboczu asfaltowej szosy. Ociągał się z przyjęciem tej propozycji i uległ tylko dlatego, że jakby nie mógł się zdobyć na odmowę. Miał na sobie podniszczone ubranie robotnika rolnego i przedpotopowy sukieny płaszcz, wyświecony od noszenia i starości. Jego twarz była koloru kawy, pokreskowana milionem małych zmarszczek, a powieki obrzeżone czerwono jak oczy posokowca. Splótł złożone na kolanach dłonie, sękate i gruzłowate niczym gałęzie wiśni, i cały rzekłbyś skurczył się na siedzeniu, jak gdyby wciągał do wewnątrz swoje ciało, ażeby stało się mniejsze.

Nie patrzył na mnie. Nie zauważyłem, żeby patrzył na cokolwiek. Ale najpierw zapytał:

- Pies gryzie, panie szefie?

- Nie, on jest łagodny.

Po długiej chwili milczenia spytałem:

- Jak panu się powodzi?

- Dobrze, całkiem dobrze, panie szefie.

- Co pan myśli o tym, co się tu dzieje?

Nie odpowiedział.

- Mnie idzie o te szkoły i manifestacje.

- Ja nic o tym nie wiem, szefie.

- Pan pracuje na farmie?

- Zbieram bawełnę.

- I utrzymuje się pan z tego?

- Dobrze mi się wiedzie, panie szefie.

Przejechaliśmy w milczeniu kawałek w górę rzeki. Drzewa i tropikalne trawy były zwarzone i bure od drapieżnego, północnego mrozu. Po jakimś czasie powiedziałem bardziej do siebie niż do niego:

- Właściwie dlaczego pan miałby mi ufać? Pytanie to pułapka, a odpowiedź to wetknięcie w nią nogi.

Przypomniałem sobie pewną scenę - coś, co zdarzyło się w Nowym Jorku - i już chciałem mu to opowiedzieć, ale szybko porzuciłem tę myśl, bo dostrzegłem kątem oka, że odsunął się i wcisnął jak najdalej w kąt szoferki. Jednakże wspomnienie to było silne.

Mieszkałem wtedy w małym ceglany domu na Manhattanie, a będąc wówczas dobrze sytuowany zatrudniałem u siebie Murzyna. Po drugiej stronie ulicy, na rogu, był bar i restauracja. Któregoś zimowego wieczora, kiedy chodniki były oblodzone, stałem w oknie wyglądając na dwór i zobaczyłem, że z baru wyszła podpita kobieta, pośliznęła się na lodzie i upadła. Próbowwała się podnieść, ale pośliznęła się znowu i wywróciła, i leżała wrzeszcząc żałośliwie. W tej chwili wyszedł zza rogu ów Murzyn,

który u mnie pracował, zobaczył ją i natychmiast przeszedł na drugą stronę ulicy trzymając się możliwie jak najdalej od kobiety.

Kiedy wrócił do domu, powiedziałem:

- Widziałem, jak wiałeś. Dlaczego nie pomogłeś tej kobiecie?
- A bo, proszę pana, ona jest pijana, a ja jestem Murzyn. Jak bym ją dotknął, mogłaby bardzo łatwo zacząć wrzeszczeć, że ją gwałcę, a wtedy zaraz zbiega się tłum i kto mi uwierzy?
- Trzeba szybko myśleć, żeby zrobić taki błyskawiczny unik.
- O, nie, proszę pana! - odrzekł. - Ja od dawna mam zaprawę do tego, żeby być Murzynem.

A teraz w Rosynancie niemądrze próbowałem przekreślić zaprawę całego życia.

- Nie będę panu więcej zadawał pytań - powiedziałem.

On jednak kręcił się niespokojnie.

- Panie szefie, mógłby mnie pan tu wysadzić? Mieszkam niedaleko stąd.

Wypuściłem go i widziałem w lusterku, że znowu po-brnął obok drogi. Wcale nie mieszkał niedaleko stąd, ale iść było bezpieczniej niż jechać ze mną.

Zmęczenie zwałało mnie z nóg, więc zatrzymałem się w przyjemnym motelu. Łóżka były dobre, ale nie mogłem zasnąć. Miałem w oczach szaro ubranego mężczyznę i twarz Wodzirejek, lecz przede wszystkim widziałem tego starego, wciśniętego w kąć możliwie najdalej ode mnie, jak gdybym był nosicielem zarazy, którym może i byłem. Wyjechałem w tę podróż, żeby się uczyć. Czego się uczyłem? Nie wyczułem tu ani jednego momentu wolnego od napięcia, od brzemienia dzikiego strachu. Bez wątpienia odczuwałem je bardziej jako obcy, ale to tu istniało, ja tego nie przyniosłem. Każdy, biały i czarny, żył w tym i tym oddychał - ludzie wszelkiego wieku, wszelkich zawodów, wszelkich klas. A napór wzbierał jak wrzód. Czy nie mogło być żadnej ulgi, dopóki by nie pękł?

Zobaczyłem tak mało z całości. Niewiele widziałem z drugiej wojny światowej - jedno lądowanie ze stu, kilka momentów boju, parę tysięcy zabitych na całe miliony - ale widziałem dosyć i dosyć odczułem, by wojna nie była mi obca. Tak samo tutaj - jakiś drobny epizod, paru ludzi, ale tchnienie strachu było wszędzie. Miałem ochotę uciekać: może to jest postawa tchórzowska, ale większym tchórzostwem byłoby się tego wypierać. Natomiast otaczający mnie ludzie żyli tutaj. Przyjmowali to jako stały tryb życia, nigdy nie znali niczego innego ani nie oczekiwali, że to się skończy. Dzieci londyńskich cockneyów były zaniepokojone, kiedy bombardowanie ustało zakłócając porządek rzeczy, do którego przywykły.

Rzucałem się na łóżku, aż Charley rozgniewał się na mnie i powiedział mi: „Ftt” kilka razy. Ale Charley nie ma naszych problemów. Nie należy do gatunku dostatecznie mądrego, ażeby rozbić atom, ale nie dość mądrego, by żyć ze sobą w pokoju. W ogóle nic nie wie o rasie ani nie martwi się o małżeństwo swej siostry. Wręcz przeciwnie. Charley zakochał się raz w jamniczce, co było romansiem rasowo nieodpowiednim, fizycznie śmiesznym, a technicznie niemożliwym. Ale Charley ignorował te wszystkie problemy. Kochał głęboko i próbował z psim uporem. Trudno byłoby wyjaśnić psu dobre i moralne cele tysięcy istot ludzkich zgromadzonych dla przeklinania jednej małej istoty ludzkiej. Widywałem w oczach psów pewien wyraz, szybko znikający wyraz zdumienia i pogardy, i jestem przekonany, iż w zasadzie uważają ludzi za pomyleńców.

Nie wybierałem sobie mojego pierwszego klienta nazajutrz. To on wybrał mnie. Siedział obok na stołku jedząc hamburgera, którego bliźniaka trzymałem w ręku. Miał od trzydziestu do trzydziestu pięciu lat, był wysoki i żylasty, o miłym wyglądzie. Jego długie, proste włosy były prawie popielistoblond, widocznie zapuszczane i

pielęgnowane troskliwie, bo przeczesywał je kieszonkowym grzebykiem często i nieświadomie. Miał na sobie szare ubranie, pomięte i poplamione od podróżowania; marynarkę nosił zarzuconą na ramiona. Kołnierzyk jego białej koszuli był rozpięty, na co pozwalało obciągnięcie w dół węzła wzorzystego krawata. Mówił z najsilniejszym południowym akcentem, jaki dotychczas słyszałem. Zapytał, dokąd jadę, a kiedy powiedziałem, że w stronę Jacksonu i Montgomery, poprosił, żebym go podwiózł. Gdy zobaczył Charleya, pomyślał w pierwszej chwili, że mam w wozie czarnucha. Widocznie już musiało tak być.

Usadowiliśmy się wygodnie. Przeczesał sobie włosy i powiedział mi komplement na temat Rosynanta.

- Oczywiście - rzekł - od razu poznałem, że pan jest z Północy.
- Ma pan dobre ucho - powiedziałem, jak mi się zdawało, krotochwilnie.
- A, jestem oblatany - przyznał.

Wydaje mi się, że byłem winien tego, co się stało. Gdybym siedział cicho, mógłbym dowiedzieć się czegoś wartościowego. Trzeba to złożyć na karb niespokojnej nocy i długiej podróży, i nerwowości. A poza tym zbliżała się Gwiazdka i rozmyślałem o powrocie do domu częściej, niż było potrzeba.

Ustaliliśmy, że podróżuję dla przyjemności i że on poszukuje pracy.

- Pan jedzie od ujścia rzeki - powiedział. - Widział pan, co się dzieje w Nowym Orleanie?

- Owszem, widziałem.
- Prawda, że one są fajne, szczególnie ta Nellie? Ale robi ruch, co?
- Tak, robi.
- Człowiekowi lżej na sercu, jak widzi, że ktoś spełnia swój obowiązek.

Zdaje się, że właśnie wtedy diabli mnie wzięli. Powinienem był coś mruknąć i pozwolić mu odczytać w tym, co by chciał. Ale zaczął poruszać się we mnie zły robak gniewu.

- A one to uważają za obowiązek?
- Jasne, niech im Bóg da zdrowie. Ktoś musi nie dopuszczać tych cholernych czarnuchów do naszych szkół. - Wzniosłość samopoświęcenia ożywiającego Wodzirejki oszałamiała go. - Przychodzi taka chwila, kiedy człowiek musi sięgnąć i pomyśleć, a wtedy trzeba się zdecydować oddać życie za coś, w co się wierzy.
- A pan się na to zdecydował?
- Jasne, że tak, i jeszcze wielu takich jak ja.
- W co pan wierzy?

- Nie mam zamiaru pozwolić, żeby moje dzieciaki chodziły do szkoły z jakimiś czarnuchami. O nie. Oddam własne życie, ale nim skonam, najpierw wytłukę całe cholerne stado czarnuchów.

- Ile pan ma dzieci?

Obrócił się do mnie.

- Jeszcze ich nie mam, ale chcę mieć, i powiadam panu, że nie będą chodziły do szkoły z żadnymi czarnuchami.

- Czy pan ma zamiar oddać własne życie przed czy po urodzeniu pańskich dzieci?

Musiałem uważać na drogę, więc tylko przelotnie dojrzałem jego wyraz, a nie był on przyjemny.

- Pan mi wygląda na miłośnika czarnuchów. Powinienem był wiedzieć. Rozrabiacze... Przyjeżdżają tutaj

i uczą nas, jak mamy żyć. No, to wam płazem nie ujdzie. Mamy oko na was, komunistycznych murzyńskich opiekunów.

- Po prostu zobaczyłem piękny obraz pana oddającego swoje życie.
- Jak pragnę Boga, miałem rację. Pan jesteś miłośnik czarnuchów.
- Nie, nie jestem. I nie jestem też miłośnikiem białych, jeżeli to obejmuje te szlachetne Wodzirejki.

Jego twarz była bardzo blisko mojej.

- Chcesz pan usłyszeć, co o panu myślę?
- Nie. Słyszałem wczoraj, jak Nellie używała tych słów.

Nacisnąłem hamulec i zjechałem Rosynantem na bok drogi. Był zaskoczony.

- Dlaczego pan staje?
- Wysiadać - powiedziałem.
- A, pan chce zawrócić.
- Nie. Chcę się pana pozbyć. Wysiadaj pan.
- A co, zmusi mnie pan?

Sięgnąłem w szparę między siedzeniem a drzwiami, gdzie nie było niczego.

- Okej, okej - powiedział, wysiadł i trzasnął drzwiczkami tak mocno, że Charley stęknął z rozdrażnienia.

Ruszyłem natychmiast, ale słyszałem, jak wrzeszczał, a w lusterku widziałem jego twarz pełną nienawiści

i otwarte, zaplute usta. Krzyczał: „Miłośnik czarnuchów, miłośnik czarnuchów, miłośnik czarnuchów”, dopóki go widziałem, a nie wiem, jak długo potem. To prawda, że mu dopiekle, ale nie mogłem się powstrzymać. Zdaje się, że kiedy będą werbować ludzi do pokojowych misji, lepiej, żeby mnie pominęli.

Zabrałem jeszcze jednego pasażera między Jacksonem a Montgomery, młodego studenta-Murzyna o ostrej twarzy oraz wyglądzie i zachowaniu znamionującym niecierpliwą zjadłość. Miał trzy wieczne pióra w kieszonce marynarki, a jego wewnętrzna kieszeń wypchana była papierami. Wiedziałem, że jest studentem, bo go o to spytałem. Był czujny. Mój numer rejestracyjny i akcent odprężyły go na tyle, na ile w ogóle mógł się odprężyć.

Omawialiśmy okupowanie miejsc w barach przez Murzynów. Brał udział w tym i w bojkocie autobusów. Opowiedziałem mu, co zobaczyłem w Nowym Orleanie. Był tam. Spodziewał się tego, co mnie tak oburzyło.

W końcu zaczęliśmy mówić o Martinie Lutherze Kingu i jego nauce o biernym, ale nieugiętym oporze.

- To jest za powolne - rzekł. - Za długo potrwa.
- Jest pewna poprawa, stała poprawa. Gandhi udowodnił, że to jedyna broń, jaka może zwyciężyć gwałt.

- Ja to wszystko wiem. Studiowałem te rzeczy. Zdobycze są kroplami w morzu, a czas ucieka. Chcę, żeby to szło szybciej. Chcę działania - działania w tej chwili.

- To może rozbić całą sprawę.
- A ja mogę być starcem, zanim w ogóle będę mężczyzną. Mogę już nie żyć do tego czasu.

- To prawda. I Gandhi nie żyje. Czy wielu jest takich jak pan, co chcą działania?

- Tak. To znaczy jest ich trochę... właściwie nie wiem, ilu.

Rozmawialiśmy potem o wielu rzeczach. Był młodzieńcem wymownym i pełnym pasji, w którym niepokój i zaciekłość tkwiły tuż pod powierzchnią. Ale kiedy wysiadł w Montgomery, wetknął głowę przez okno szoferki i roześmiał się.

- Wstyd mi - powiedział. - To po prostu samolubstwo. Ale chcę to zobaczyć... ja... zanim umrę. Tutaj! Ja! Chcę to zobaczyć... niedługo.

A potem okręcił się, przetaił oczy dłonią i szybko odszedł.

Wobec wszystkich tych ankiet i badania opinii, i gazet przynoszących raczej opinie niż wiadomości, tak że nie odróżniamy już jednych od drugich, chcę bardzo jasno powiedzieć jedną rzecz. Nie zamierzałem przedstawiać tutaj

i nie uważam, żebym przedstawił, żadnego przekroju, tak aby któryś czytelnik mógł powiedzieć: „Zdaje mu się, że pokazał prawdziwy obraz Południa”. Wcale mi się tak nie zdaje. Powtórzyłem tylko to, co mi mówiło paru ludzi i co sam zobaczyłem. Nie wiem, czy byli typowi ani czy można stąd wyciągnąć jakiś wniosek. Natomiast wiem, że jest tam niepokój i że ludzie schwytani są w sidła. I wiem, że rozwiązanie, gdy przyjdzie, nie będzie łatwe ani proste. Zgadzam się z Monsieur Ci Git, że nie idzie o cel. Idzie o środki - o straszliwą niepewność co do środków.

Na początku niniejszej relacji usiłowałem przeanalizować podróże i ich naturę, to że są czymś samym w sobie, że każda jest indywidualna i nie ma dwóch jednakich. Rozmyślałem z pewnym zadziwieniem nad siłą ich indywidualności i zatrzymałem się na twierdzeniu, że ludzie nie robią podróży - podróże robią ludzi. Rozważanie to nie wniknęło jednak w okres życia podróży. Wydaje się on zmienny i nieobliczalny. Któż nie znał takiej, która skończyła się i umarła, zanim podróżnik powrócił? Zdarza się także odwrotnie, niejedna wędrówka trwa nadal, długo po ustaniu ruchu w przestrzeni i czasie. Pamiętam w Salinas pewnego człowieka, który będąc w średnim wieku pojechał do Honolulu i z powrotem, i owa wyprawa trwała dalej przez resztę jego życia. Obserwowaliśmy go siedzącego na frontowym ganku w bujającym fotelu, z przymrużonymi, na wpół zamkniętymi oczyma, bez końca podróżującego do Honolulu.

Moja wędrówka zaczęła się na długo przed odjazdem, a skończyła się, zanim wróciłem. Dokładnie wiem, gdzie i kiedy to nastąpiło. W pobliżu Abingdonu, w odnodze Wirginii, o czwartej godzinie pewnego wietrznego popołudnia, bez ostrzeżenia czy pożegnania, czy choćby jakiegoś „wypchaj się”, moja podróż odeszła i zostawiła mnie jak rozbitka, daleko od domu. Próbowałem przywołać ją z powrotem, dopędzić - ale było to niemądre i beznadziejne, bo skończyła się ostatecznie i nieodwołalnie. Droga stała się nieskończoną kamienną wstęgą, wzgórza zawadami, drzewa zielonymi smugami, a ludzie po prostu ruchomymi postaciami, z głowami, lecz bez twarzy. Każde jedzenie po drodze smakowało jak zupa - nawet zupa. Moje łóżko było nie pościelone. Wsuwałem się doń na drzemkę w długich, nieregularnych odstępach czasu. Piecyk się nie palił, a bochenek chleba obrastał pleśnią w szafce. Mile przetaczały się podę mną nie zauważone. Wiem, że było zimno, ale tego nie czułem, wiem, że krajobraz musiał być piękny, ale go nie widziałem. Parłem na ślepo przez Wirginię Zachodnią, dałem nura w Pensylwanię i wcisnąłem Rosynanta na wielką, szeroką autostradę. Nie było dnia ani nocy, ani odległości. Musiałem stawać, aby napełnić bak, wypuścić na spacer i nakarmić Charleya, zjeść coś, zatelefonować - ale nic z tego nie pamiętam.

Bardzo to dziwne. Aż do Abingdonu w Wirginii mogę odwijać podróż jak film. Mam prawie pełne wspomnienie, jest w nim każda twarz, każde wzgórze i drzewo, i kolor, każdy dźwięk mowy i małe sceny, gotowe rozegrać się na nowo w mojej pamięci. Po Abingdonie - nic. Droga stała się szarym, bezczasowym, bezwydarzeniowym tunelem, ale na jego końcu była ta jedna błyszcząca rzeczywistość - moja własna żona, mój własny dom na mojej własnej ulicy, moje własne łóżko. Tam było wszystko i brnąłem przed siebie ku temu. Rosynant potrafi być chyży, ale dotąd nie jeździłem nim szybko. Teraz cwałował pod moją ciężką, nieustępliwą stopą, a wiatr świszcział wokoło ścianek dom-ku. Jeżeli sądzicie, że wdaję się w fantazjowanie na temat podróży, to jak zdolacie wyjaśnić, iż Charley też wiedział, że jest zakończona? On przynajmniej nie jest marzycielem, urabiaczem nastrojów. Ułożył się do snu z głową na moich kolanach, ani razu nie wyrzął przez okno, ani razu nie powiedział: „Ftt”, ani razu nie nalegał, żeby go wypuścić. Spełniał swoje funkcje jak lunatyk, ignorował całe rzędy pojemników na śmiecie. Jeżeli to nie jest dowodem prawdziwości mojego twierdzenia, to nic nim być nie może.

W New Jersey była następna autostrada. Moje ciało tkwiło w jakiejś otępiełej, niepożytej próżni. Narastająca rzeka pojazdów zmierzających do Nowego Jorku niosła mnie z sobą i oto nagle już była powitalna paszcza tunelu Holland, a na drugim końcu dom.

Jakiś policjant wyciągnął mnie gestem ręki z węża samochodów i zatrzymał.

- Nie może pan przejechać przez tunel z tym butanem - powiedział.

- Kiedy on jest zakręcony.
- Obojętne. Taki jest przepis. Nie wolno wjeżdżać z gazem do tunelu.

I nagle rozleciałem się, rozpadłem w galaretę znużenia.

- Ale ja chcę się dostać do domu - jęknąłem. - Jak mam się dostać do domu?

Był dla mnie bardzo dobry, a także cierpliwy. Możliwe, że gdzieś miał dom.

- Może pan podjechać dalej, a potem przez Most Waszyngtona albo przepłynąć promem.

Była godzina nasilenia ruchu, ale ów policjant o łagodnym sercu musiał dojrzeć we mnie potencjalnego szaleńca. Zatrzymał dziką falę pojazdów, przeprowadził mnie i pokierował bardzo troskliwie. Mam wrażenie, że mocno go kusilo, żeby mnie odwieźć do domu.

Jak za zakłębieniem znalazłem się na promie z Hoboken, a potem na brzegu, daleko w dole miasta, wśród codziennego, panicznego kotłowiska ludzi wracających z pracy, którzy pędzili, biegli, uskakiwali przed wozem, nie oglądając się na żadne sygnały. Każdy wieczór jest Pamploną w dolnym Nowym Jorku. Skręciłem raz, potem drugi, wjechałem od niewłaściwej strony w ulicę o jednokierunkowym ruchu i musiałem się wycofać, zostałem zablokowany na środku skrzyżowania przez skłębiony, rwący potok ludzi.

Nagle podjechałem do krawężnika w miejscu, gdzie nic wolno się zatrzymywać, wyłączyłem motor, odchyliłem su;

w tył na siedzeniu i zacząłem się śmiać, i nie mogłem przestać. Dłonie, ręce i ramiona dygotały mi od wstrząsów jazdy.

Staroświecko wyglądający policjant o świetnej, rumianej twarzy i mroźnie błękitnych oczach pochylił się ku mnie.

- Co z panem, kolego? Pijany? - zapytał.

Odpowiedziałem:

- Panie, jeździłem tym wozem po całym kraju, przez góry, równiny, pustynie. A teraz jestem z powrotem w moim własnym mieście, gdzie mieszkam - i zabłądziłem.

Wyszczrzył wesoło zęby.

- Nie przejmuj się pan - powiedział. - Nie dalej jak w sobotę zabłądziłem w Brooklynie. No, a gdzie pan chciał jechać?

I tak to wędrowiec powrócił do domu.